

Hrabal cieszy, Krauze śmieszy, wróżka grzeszy

PRZE

Numer 13/2962

31 marca 2002 r.

Indo

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

RELIGIA ZE SZKÓŁ?

– relacja katechety
z pierwszej linii frontu
szkolnej wojny religijnej

Biblioteka Aleksandryjska

– nadzieja na cud świata

Oscary, które – nie wiedzieć czemu

– ominęły Polaków

Zamrożeni ludzie w lodówkach

czekają na zmartwychwstanie



ISSN 0033-2488

13



Indeks 371424 • Y-9013-C

Generalny przedstawiciel w Polsce, M. A. Kareński-Tschurl,
Poznań, ul. Paderewskiego 8, tel. 851 62 96, 855 75 17, fax 852 78 17

Biała Maria

— legendarny serwis zaprojektowany przez samego Filipa Rosenthala i nazwany imieniem jego żony powstał przed 80 laty, a niezmiennie zachwyca swą klasyczną formą i nieskazitelną bielą porcelany.

Zestaw śniadaniowy

21 części – 1085 zł

(cena z dnia 01.01.2002)



Zapraszamy do naszych sklepów:

Białystok ul. Lipowa 10, Bielsko-Biała ul. Barlickiego 20, Bielsko-Biała CH SFERA, Bydgoszcz ul. Długa 26, Częstochowa ul. Kościuszki 1, Gdynia ul. Świętojańska 100, Gliwice ul. Dolnych Wałów 1, Gorzów Wlkp. ul. Spichrzowa 6, Kalisz ul. Staszica 23, Katowice ul. Stawowa 13, Kielce ul. Sienkiewicza 4c, Konin ul. Dworcowa 4, Koszalin ul. 1 Maja 22/3, Kraków ul. Floriańska 15/4, Kraków ul. Św. Marka 15a, Lublin ul. Krakowskie Przedmieście 41, Olsztyn ul. Stare Miasto 9/10, Opole ul. Koraszewskiego 3-5, Poznań ul. Paderewskiego 8, Poznań ETC Swarzędz, Racibórz ul. Londzina 4, Radom ul. Żeromskiego 9, Rzeszów ul. Rynek 8, Szczecin ul. Ks. Bogusława 15/1a, Tarnów ul. Legionów 32, Toruń ul. Szeroka 46, Wrocław ul. Kościuszki 13, Wrocław ul. Świdnicka 18/20, Zielona Góra ul. Kościelna 1a, Warszawa CH PROMENADA ul. Ostrobramska 75c, Warszawa Hotel MARRIOTT, Warszawa Hotel EUROPEJSKI ul. Krakowskie Przedmieście 13, Warszawa CITY CENTER ul. Złota 44/46, Warszawa ul. Żurawia 33/35

NA WIELKANOC
O jedzeniu, piciu i poplądaniu gramatycznym

Staropolskim zwyczajem dzielimy się wzajem kielbasą i jajem. Ja-jem, ty-jesz, on je; my-jemy, wy-jecie dosyć dużo i dobrze – jak mało gdzie w świecie.

Jak to? ja jem, a tyjesz ty? Coś tu chyba nie tak!

Miesza się gramatyka, apetyt i smak.

Dziecko też nie je mało, gdy się je zachęci: „za tatusia”, „mamusie” – ci na szynkę cięci z babcią oraz dziadkami podjedli już sporo.

Tak na oko sądząc, każdy je za czworo, choć to wagi przydaje i w pasie poszerza.

Ach, co to był za obiad, a jaka wieczerza?

Dużo mięsów my jemy, z musztardą i chrzanem, wypijamy kieliszki, jeśli są nalane, a potem je myjemy jako i talerze.

Jak się je – i pić trzeba! Bez tego? Nie wierzę.

My jemy kieliszki? Szkło i porcelanę?

Nie, tych rzeczy się nie je, tylko myje się je, a kieliszki wychyla, bo znów są nalane.

Potem towarzystwo dobrze już zawiane prawi o polityce, stopach, gospodarce i wciąż jeszcze popija, przebieając w miarce.

A stoły zastawione obficie i drogo

prawie się uginają. Nie dziw, że nie mogą jakoś tego zrozumieć Niemcy czy Anglicy.

Polak wie, co je (dobre) i chociaż pożycz, nie będzie sobie skąpił. Prawdę mówiąc po co?

Skoro jeszcze nie musi. Więc podkreślam z mocą, potrafia nas zrozumieć, ucząc się polskiego, a gdy jemy za swoje – co komu do tego?

JÓZEF PILCH, Poznań 2002

Od redakcji: Dziękujemy za wiersz, a jak Anglik postrzega polskie świętowanie czytaj na s. 75.

Pięknie pogodnych świąt
swoim Czytelnikom

życzy

„PRZEKRÓJ”

MOWA OD RĘKI

Z przyjemnością przeczytałam w ostatnim „P” (11/2960) tekst „Mowa od ręki” zdający sprawę z najnowszych badań nad relacją mowy i gestów w rozwoju osobniczym człowieka. Sama zajmuję się od lat badaniem rozwoju językowego człowieka i czytając popularne artykuły dotyczące tego tematu (było ich ostatnio kilka), zdumiewam się, jakie głupstwa potrafią dziennikarze wypisywać na ten temat.

Moje zastrzeżenie dotyczy sprawy ważnej: nie należy używać terminu „głuchoniemy” czy „język głuchoniemych”. W Polsce jest taka tradycja, w innych krajach też była (ang. *deaf-mute*, fr. *sourd-muet*), ale tam nikt już tak nie mówi, a u nas niestety wciąż się używa tego terminu. Ludzie, którzy nie słyszą, mają tylko upośledzony słuch. Owszem, istnieje zjawisko niemoty, ale trzeba by naprawdę mieć niezwykłego pecha, żeby będąc niesłyszącym, być także niemym. To, co my nazywamy tu „niemotą” w złożeniu „głuchoniemota”, to fakt niemówienia w taki sposób jak

mówimy my, ludzie słyszący – bo używanie języka migowego jest mówieniem. „Niemówienie” nie jest odrębnym upośledzeniem, a jedynie konsekwencją głuchoty. Używanie tego terminu jest zatem szkodliwe dla ludzi niesłyszących, ponieważ wzmacnia ich upośledzenie, dokładając dodatkowe obciążenie, którego faktycznie nie mają. O kimś, kto niepewnie chodzi, bo jest niewidomy, nie mówimy „śleponiegrabny”.

Kto jak kto, ale prasa powinna nie tylko nie szerzyć takich piętnujących etykiet, ale przede wszystkim uświadamiać ludziom, że pewne ich nawyki językowe mogą pogarszać sytuację tych z nas, którzy i tak już zostali przez los poszkodowani.

Czy to jakieś idiotyczne wymagania? Czy to obrzydliwe miazmaty zgniłego liberalizmu? Mnie osobiście kojarzy się to bardziej z szacunkiem dla słabszych, wrażliwością na cierpienia innych ludzi, krótko mówiąc, z miłością bliźniego.

doc. dr hab. MAGDALENA
SMOCZYŃSKA
Uniwersytet Jagielloński

„REDAKTOR WSZĘDOBYSKI” — ANDRZEJ MLECZKO.

PANIE DOKTORZE, NIE OBAWIA SIĘ PAN, ŻE PRZEPROWADZANE PRZEZ PANA EKSPERYMENTY GENETYCZNE SĄ ZBYT RYZYKOWNE I MOGĄ SPÓWODOWAĆ NIEKORZYŚNE ZMIANY W ORGANIZMIE?

NIE OBAWIAM SIĘ, WRĘCZ PRZECIWNIE! Z WŁASNEGO DOŚWIADCZENIA WIEM, ŻE ZMIANY GENETYCZNE SĄ POZYTYCZNE. MUSIMY KOŃCZYĆ, PANIE REDAKTORZE, BO NIEŚTĘT MUSZĘ JUŻ LECIEĆ.....



mac omg

SPOTKAJMY SIĘ W KINIE!

Drodzy Czytelnicy „Przekroju”, będzie nam szalenie miło spotkać się z Wami podczas pokazu specjalnego nominowanego do Oscara filmu „Męska sprawa” w reżyserii Sławomira Fabickiego.

Pokaz odbędzie się 8 kwietnia w warszawskiej Kinotece na placu Defilad 1.

Aby otrzymać zaproszenie dla dwóch osób, wystarczy zadzwonić pod podany niżej numer telefonu i zostawić swoje dane. Pierwsze 60 osób, które się do nas dodzwonią, będzie naszymi gośćmi na pokazie.

O wygranej powiadomimy Państwa telefonicznie.

Linia będzie czynna od 27.03 do 3.04.2002 przez całą dobę.

Telefony*: ze stacjonarnego: 0-700 683 037, z komórkowego: 700 683 037, dla abonentów IDEI: *740 883 037

*Legion Polska, koszt połączenia wynosi 2 zł + VAT za minutę



BIBI



NIE TRZEBA JECHAĆ AŻ Z GDAŃSKA DO KRAKOWA

Wystarczy trochę oddalić się od swego domostwa i zobaczyć to samo. Mieszkam blisko lasu. 20 lat temu było pięknie i zielono. Dziś las jest bajecznie kolorowy: od puszek, papierów, gazet, barwnych jeszcze, ale już niemodnych babskich kiecek, starych pierzyn. A im jest nam lepiej, tym bardziej to widać. Łatwo pozbyć się rzeczy zbędnych. Gdy zapadnie zmrok – las wszystko przyjmie.

Mieszkam nie tylko koło lasu. W pobliżu rozciąga się również staw. To dopiero jest raj: telewizory, puszki po farbach, stare rondle, dziurawe kociołki. A co na dnie – lepiej nie wiedzieć!

Andrzej Stasiuk w „Jechałem z Gdańska” (10/2959) poruszył problem, który powinien nam spędzać sen z powiek. Autor użył tu kilku „męskich” słów – jakże one świetnie tu zrobiły! Nic lepiej nie mogło odzwierciedlić oburzenia człowieka wrażliwego na nasze nowobogactwo.

Byliśmy kiedyś biedniejsi – za to przyroda kwitła w całej krasie, nieskażona naszym chamstwem.

**CZYTELNICZKA
LUBIĄCA „PRZEKRÓJ”**
PS Autor felietonu jest świetny i dla naszego dobra niech dużo podróżuje.

JĘZYK ULICZNIKÓW!

„...żebrakowi grosz, psu kość, wysrać się byle gdzie, byle nie na swoim”; „Jakby jechał ze mną tym pociągami w kwietniu, toby się wyrzygał przez okno...”; „A w najgorszych pipidowach wyjebane neonowe szyldy...” oraz „Europa zadupczała przez trzeci świat”.

To są cytaty z artykułu „Jechałem z Gdańska” autorstwa Andrzeja Stasiuka (10/2959). I chociaż zgadzam się z opinią autora, to jednak czegoś podobnego nie było jeszcze do tej pory w żadnej znanej mi gazecie. Jest sztuką wyrazić swoją dezaprobatę wobec ohydnej rzeczywistości normalnym językiem, odpowiednim do tego, który jest używany przez stałych miłośników oraz nowych czytelników „Przekroju”, a nie językiem uliczników.

„Przekrój” zawsze był wzorem stylu. Czy ta zmiana jest skutkiem zmiany redakcji i jej siedziby?

AGRA13@POCZTA.ONET.PL

Redakcja PRZEKROJU
ul. Wiejska 16
00-490 Warszawa
e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

ASYSTENTKA REDAKTORA NACZELNEGO:

Maria Świetlik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała,

Magda Gędziorowska, Lucyna Olszewska

ODDZIAŁ W KRAKOWIE:

Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Kazimierz Targosz

Bogdan Krężel (foto)

tel. (0-prefiks-12) 422 59 54 (redakcja),

(0-prefiks-12) 422 70 61 (biuro reklamy)

DZIAŁY:

KULTURA: Marcin Baran (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA: Dariusz Rosiak (szef), Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Wawrzyniec Smoczyński, Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ: Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino

NAUKA: Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA: Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominica@Dominica

FOTOEDYCJA: Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański

KOREKTA: Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Tercjak

ARCHIWUM: Wanda Lacrampe

PRODUKCJA: Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor

ADRES REDAKCJI: ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 627 23 06 do 08, faks (0-prefiks-22) 627 23 05 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 628 05 29, faks (0-prefiks-22) 621 19 76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW

MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit

DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 233,

Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY: Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek,

Bartek Kluczny, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 12, tel./faks (0-prefiks-22) 627 23 09,

626 96 17

DRUK: Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła,

tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska,

Agnieszka Bogdańska tel./faks (0-prefiks-22) 625 08 20,

tel. (0-prefiks-22) 628 05 29 w. 210

przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe

na terenie całego kraju

przez Ruch SA – informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31,

faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.



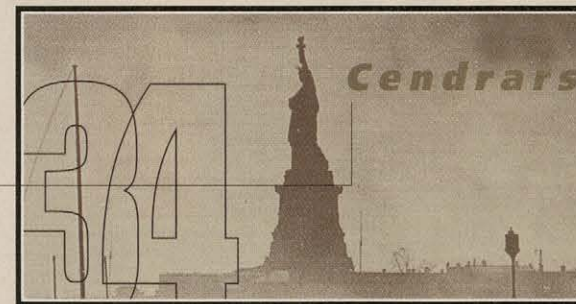
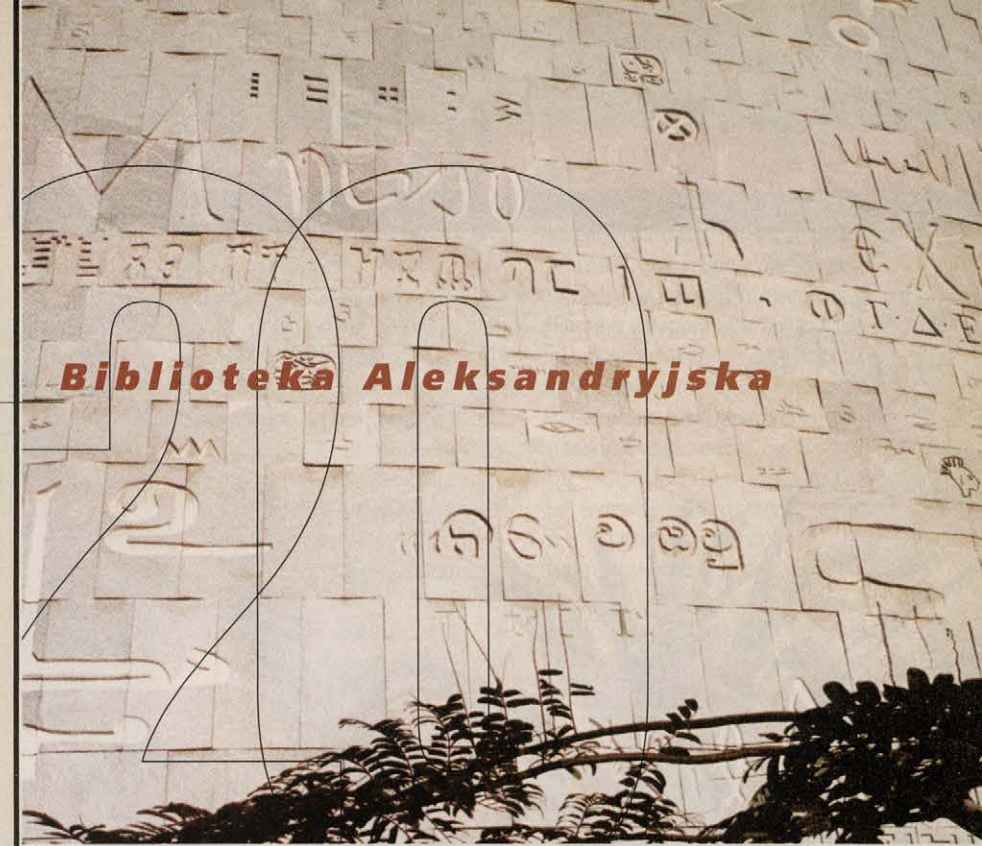
Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

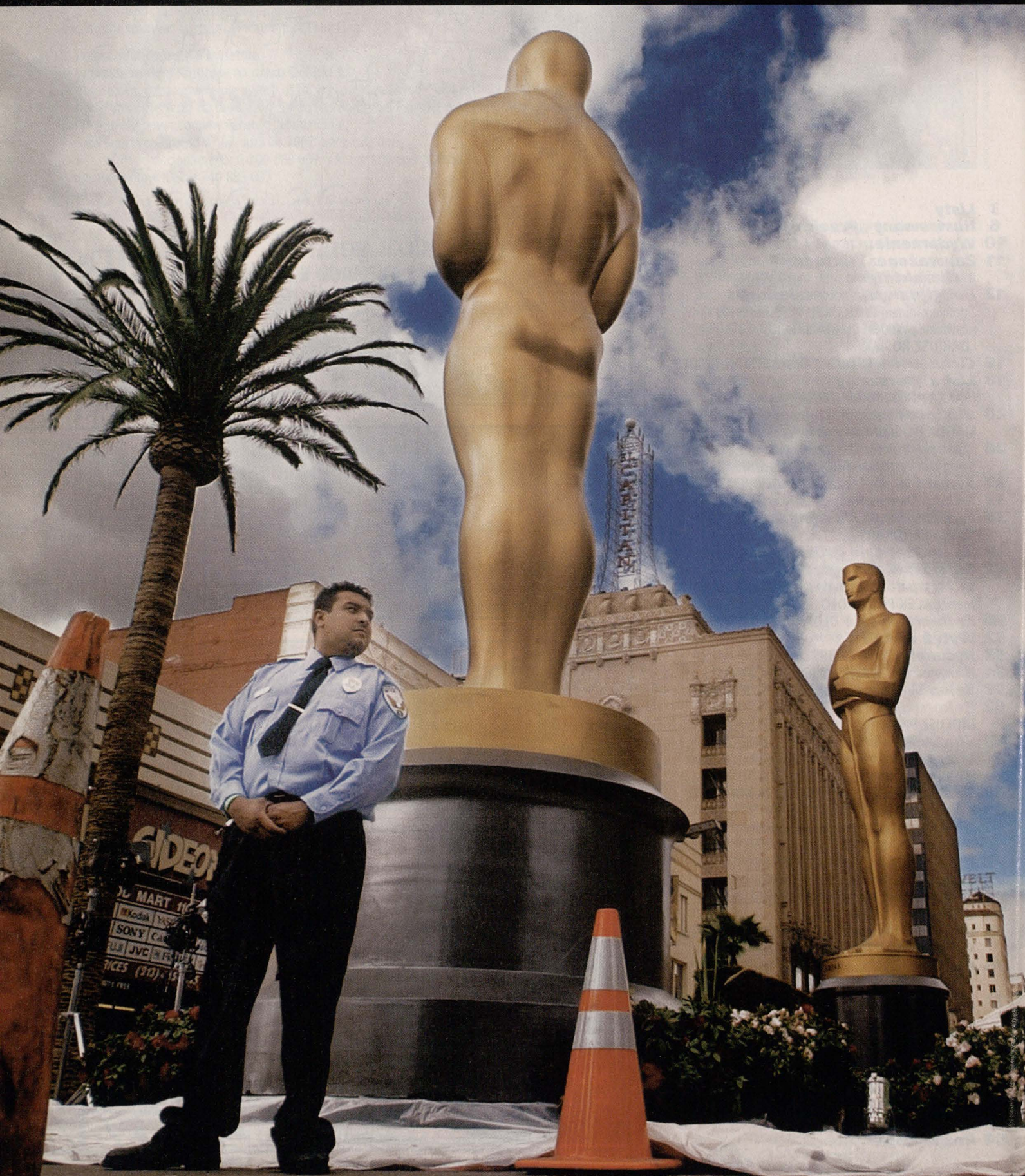
NUMER 13/2962
31.03.2002



OKŁADKA: RYS. ANDRZEJ DUDZIŃSKI

- 3 **Listy**
- 6 **Ilustrowany „Przekrój” tygodnia**
- 10 **Wydarzenie: Oscary '2002**
- 11 **Zauważone: „Autograf” z charakterem**
- 12 **Religijna wojna w szkołach – z dominikaninem WOJCIECHEM JĘDRZEJEWSKIM rozmawiają WOJCIECH MAZIARSKI i DARIUSZ ROSIAK**
- 16 **Cicha noc – Wielka Noc** STEFAN RIEGER
- 18 **List z Warszawy** MAKKA ABDURAHMANOWA
- 20 **Biblioteka przy Aleksandrii** MAGDA PAPUZIŃSKA
- 28 **Dawno temu w Ameryce – opowieść o ostatnim kowboju** KAROL JAŁOCHOWSKI
- 32 **Święta w Patistanie** JACEK PODSIADŁO
- 33 **Rebus humanistyczny**
- 34 **Wielkanoc w Nowym Jorku** BLAISE CENDRARS
- 38 **Ile wróżb, tyle grózb** MAGDA WEJROCH
- 42 **Galeria: Mądra głowa w tarapatach** zdjęcia ANDRZEJ KRAMARZ, wiersz JACEK PODSIADŁO
- 50 **Zrobieni w jajo** OLGA WOŹNIAK
- 52 **Wyteż wzrok**
- 53 **Rysunek** TOMASZA BRODY
- 54 **Zamrożeni** WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI
- 58 **Salon Wyrzeźwien** TADEUSZ NYCZEK
- 62 **Rekordzista Hari Kunzru** TADEUSZ PIÓRO
- 63 **Skazani na sukces** TADEUSZ NYCZEK
- 64 **Literatura: Jeden powszedni dzień** BOHUMIL HRABAL
- 68 **Diabeł w szczególe** BARBARA HOFF
- 69 **Konkurs filmowy**
- 70 **Muzyka: Łódź na horyzoncie** FILIP ŁOBODZIŃSKI
- 72 **Rysunek** ANDRZEJA DUDZIŃSKIEGO
- 73 **Inne pytania:** BOŻENA i MARIUSZ WALTEROWIE w rozmowie z MARIĄ CZUBASZEK
- 74 **Kulinarne Pióro Polski**
- 75 **Współczucie święt** CHRISTIAAN VAN LIEROP, **Antykwaret** ZBIGNIEW MENTZEL
- 76 **Kici kici Jak się nazywa prima aprilis, rysunek** ANDRZEJA CZECZOTA
- 77 **Kocham radio** STEFANIA GRODZIŃSKA, **Za 1000 zł można...**, **rysunek** WILHELMASASNAŁA
- 78 **Święta** JERZY BRALCZYK, **Matka kurcząt** PAULUS MAZUR
- 79 **Rysunek** ANDRZEJA KRAUZE
- 80 **Krzyżówka, jolka i zagadka**
- 82 **Co Pan na to, Panie Lem?**
- 84 **Różności**





OSCARY 2002

Najlepszy film

„Piękny umysł”

Najlepszy reżyser

Ron Howard – „Piękny umysł”

Najlepsza rola męska

Denzel Washington – „Dzień próby”

Najlepsza rola żeńska

Halle Berry – „Monster’s Ball”

Najlepszy film animowany

„Shrek”

Najlepszy film zagraniczny

„Ziemia niczyja” (Bośnia i Hercegowina)

Buty, pióra i łyzy

Oscarowy wieczór w Hollywood rozpoczął się w niedzielę o 17.30 czasu lokalnego, czyli w poniedziałek o 2.30 czasu polskiego. Przejście przez czerwony, a raczej purpurowy dywan do nowiutkiego Teatru Kodaka położonego przy słynnym Hollywood Boulevard, dokąd Oscary powróciły po 42 latach nieobecności, odbyło się zaskakująco

sprawnie i bez większych niespodzianek.

Mimo że po raz pierwszy w historii tej imprezy gwiazdy MUSIAŁY najpierw przyjechać w ściśle określonym przez producentów czasie, a potem przejść przez postawiony na drodze wielki namiot, gdzie oprócz detektorów metalu czekali na nich pracownicy ochrony zaglądający nawet do najmniejszych torebek wielkich diw dzisiejszego kina, nikt nie narzekał. Tak wygląda świat po 11 września 2001 roku.

Po raz czwarty w historii ceremonię poprowadziła czarnoskóra aktorka Whoopi Goldberg przybrana w złote pióra (fot. 2), która w tym roku rozpoczęła swe występy od... zjazdu na cyrkowym trapezie, wołając: „Come and get me, boys!”. Oczywiście są to słowa Nicole Kidman z „Moulin Rouge”.

I tak ponad trzy godziny. Cięte uwagi, błyskotliwe żarciki, a wszystko w dobrym tonie, choć

czasami balansując na krawędzi („Wierzcie w tę kampanię, gdzie rzucono tyle błota, że wszyscy nominowani wyglądają jak czarni” – to aluzja do negatywnej kampanii przeciwko „Pięknemu umysłowi” dotyczącej antysemitów).

W ciągu całej imprezy publiczności zaprezentowano kilka naście specjalnie na ten cel wyprodukowanych filmów. Jednym z bardziej wzruszających był ten dotyczący Nowego Jorku, który zapowiedział ni mniej ni więcej, tylko najbardziej nowojorski z nowojorskich reżyserów – Woody Allen. – Gdy w słuchawce usłyszałem, że dzwonią z Amerykańskiej Akademii Filmowej, przestraszyłem się. Przyjdą zabrać mi moje Oscary! – mó-

wił, jak zwykle rozśmieszając publiczność do łez.

Honorowego Oscara wręczono legendarnemu aktorowi, reżyserowi, zdobywcy Oscarów, a także twórcy festiwalu filmowego Sundance (i całego nurtu związanego z tym przedsięwzięciem) Robertowi Redfordowi.

Wieczór okazał się absolutnie doskonały i przy tym... dość nudny. Panie po 11 września prawie jak jeden (sic!) mąż zrezygnowały z błyskotliwych kreacji na rzecz bezpiecznej czerni. Powszechną uwagę zwróciły odbiegającymi od obowiązującego trendu kolorowymi kreacjami aktorka-prezenterka Cameron Diaz w sukni-kimonie dzieła Ungaro, Halle Berry w przezroczystej burgundowej kreacji przeplatanej kwiatami (fot. 1) i oczywiście najseksowniejsza kobieta XX wieku Jenifer Lopez (prezenterka) cała w różach dzieła Versace. Uwagę zwracano również na wartę milion dolarów buty (fot. 3), w których występowała aktorka z filmu „Mulholland Drive” Laura Harring.

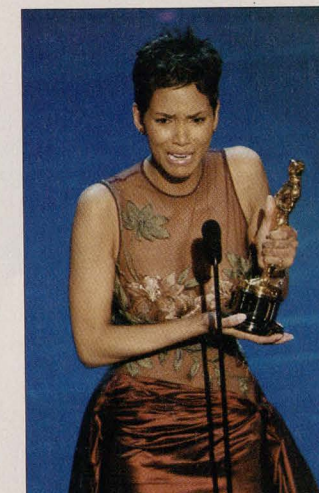
Równie stonowane (czytaj: nudne) były podziękowania szczęśliwców. Składano hołd producentom, reżyserom, żonom, mężom... Drżały głosy, płynęły łyzy radości, z trudem wyciągane były z kieszeni marynarek kartki z listą tych najważniejszych.

Ale były też prawdziwe emocje. Halle Berry po prostu płakała przez kilka minut na scenie, aby potem w potoku słów podziękować nawet swojemu prawnikowi. Berry po raz pierwszy w historii Akademii otrzymała statuetkę za pierwszoplanową rolę kobiecą przyznaną czarnoskórej aktorce.

Wzruszający również był Randy Newman, który wykrzykiwał: „Nie żałujcie mnie!”. Newman był nominowany do Oscara aż 16 razy! W końcu w 2002 roku spełnił się jego marzenie – Oscar w kategorii najlepszej piosenki za „If I Didn’t Have You” w „Monsters, Inc.”

KATARZYNA KUBIAK,
Nowy Jork

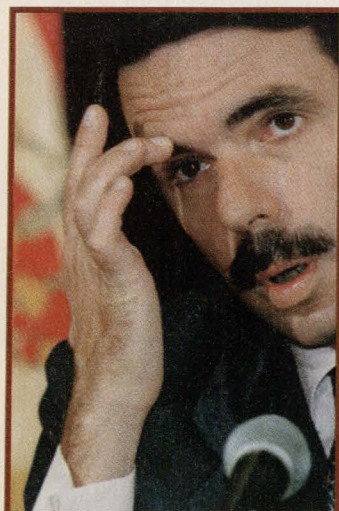
Gorzko o oscarowych tortach
pisze Krzysztof Kłopotowski (s. 10.)



W Niedzielę Palmową

uroczysta procesja przemaszerowała ulicami Bilbao.

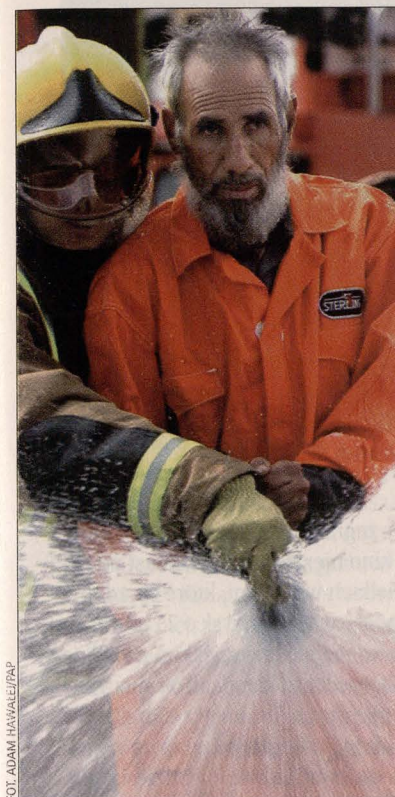
Po raz pierwszy w historii swego pontyfikatu Jan Paweł II nie odprawił tego dnia mszy w Bazylice świętego Piotra w Rzymie. Lekarze zabronili mu forsować chore kolano.



MYŚL TYGODNIA

**Co za nonsensy
ja tu wygadywałem**

Hiszpański premier José María Aznar tuż po zakończeniu przemówienia na szczycie UE w Barcelonie



Nauką polewania rozpoczęły się szkolenia kandydatów do straży ogniowej lotniska w Kabulu. Szkolenia prowadzą strażacy brytyjscy.

W obronie ładunku tego TIR-a zginął policjant. Znalezioną przez policję ciężarówkę ze skradzionym sprzętem RTV wartym około miliona złotych próbowało odbić kilkunastu uzbrojonych w pistolety i karabiny mężczyzn.

Ze strachu przez odwetowymi atakami izraelskimi palestyńscy policjanci unikają swoich posterunków i wolą odpoczywać na ulicy. W Syrii ponad sto tysięcy ludzi wzięło udział w demonstracji poparcia dla Palestyńczyków.



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY O...

...„Sercu na temblaku”, czyli najnowszej książce Katarzyny Grocholi.
...zmianie czasu, która nastąpi w świąteczny weekend, a dzięki której odniesiemy wrażenie, że dzień zaczyna się wcześniej, kończy później, zaczyna się i nie kończy lub odwrotnie.
...wezwanie arcybiskupa Józefa Żyzińskiego do bojkotu programów telewizyjnych z gatunku *reality show*, które nazwał inwazją barbarzyństwa.
...tym, jaki konkretnie gatunek polskiej wódki otrzymali uczestnicy oscarowej gali w zestawie upominków.
...o subtelnościach nowelizacji ustawy o telewizji i radiofonii, dzięki którym Adam Michnik nie będzie miał szans na posiadanie prywatnej telewizji.

Bez Oscarów dla Polaków

Oscary są narzędziem amerykańskiego imperializmu kulturalnego (Gina Lollobrigida)



Laureaci Oscarów Denzel Washington i Sidney Poitier z reżyserem Walterem Mirischem

Ilekoć oglądam rozdanie Oscarów, czuję się tak, jakbym objadł się tortem. Za dużo bakalii w przesłodzonym cieście. Ani to posilne, ani zdrowe, aczkolwiek kuszące. Także i w tym roku nie oparłem się pokusie, ale... nie dajmy się wciągać w rywalizację między amerykańskimi gwiazdami i filmami. Najmniej chodzi tu o wartości artystyczne. Oscary mają znaczenie przede wszystkim pieniężne. Podnoszą sprzedaż nagrodzonych filmów i gaże zwycięzców, a nam nic do tego.

Jedyne realne znaczenie miały dla nas nominacje Polaków. Ale nawet ta realność okazała się wątpliwa jak magiczne uczestnictwo kibica w sukcesie sportowca, choć sam palcem nie kiwnął.

Sukces Sławomira Idziaka (nominacja w kategorii najlepszych zdjęć za film „Helikopter w ogniu”) jest więc jego własny i systemu technicznego, który umiał stworzyć sobie na Zachodzie. Już większy udział mamy w sukcesie reżysera Sławomira Fabickiego (wraz z operatorem Bogumiłem Godfrejowem nominowany w kategorii najlepszego krótkometrażowego filmu aktorskiego). W końcu „Męska sprawa” to szkolny film studenta łódzkiej filmówki.

Prawdziwym świętem naszej kultury był natomiast Oscar dla Wajdy, ponieważ jego kino nie istniałoby bez Polski. Pamiętam wzruszenie, gdy trzy lata temu pan Andrzej wyszedł w Los Angeles na estradę, po czym wypowiedział słowa: „Mówię po polsku, bo myślę po polsku”. Czy wiecie, jak to zabrzmiało w Ameryce, gdzie oglądałem transmisję? „Mówię po rumuńsku, bo myślę po rumuńsku”.

Tak mógłby odezwać się Ionesco. Gdybyż tylko oscarowa publiczność wiedziała, kto to jest Ionesco!

Nawet cudzoziemiec nieznający języka powinien za nagrodę dziękować po angielsku. To świadczy o przynależności do wspólnoty *Pax Americana*. Kto nie zna jej języka ani reguł gry, ten jest barbarzyńcą w nowym łańdźcie globalnym. Albo buntownikiem, co dla Amerykanów na jedno wychodzi.

„Oscary są narzędziem amerykańskiego imperializmu kulturalnego”. Tego nie powiedział zapiekły marksista. Tako rzekła Gina Lollobrigida. Są to słowa tak mądre, jak ona była piękna. W Ameryce rozdanie nagród oglądało prawie 50 milionów widzów, ale na świecie miliard. Dla tego miliarda nie ma większego znaczenia, kto wygrał, kto przegrał a kto został całkiem pominięty. Ważne, że ogląda Hollywood w roli globalnego arbitra gustu i elegancji, z dostawą do domu próbki towaru, który tam się wytwarza – zwiastunów filmowych i twarzy gwiazd oraz gwiazd. Jest to przepiękna reklama kina amerykańskiego i sposobu życia, które ono wyraża.

Co innego werdykt. Członkowie Amerykańskiej Akademii Filmowej wprowadzie bardzo do brze znają się na swoim warsztacie, ale mają gust kiepski lub konwencjonalny. Mniejsza o moje upodobania skażone polskością. Ciekawsz, co o tegorocznych kandydatach powiedział dobry krytyk Peter Traves z magazynu „Rolling Stone”, który na pewno mówi i myśli po amerykańsku: „Gdyby to krytycy wysuwali nominacje do Oscara, to o tytuł najlepszego filmu ubiegłyby się takie jak »Mulholland Drive«, »Memento«, »The Royal Tenenbaums«, »Człowiek, którego nie było«. Żaden nie dostał nominacji w tej kategorii, gdyż wiek członków Akademii wypada między emeryturą a śmiercią. W aktorstwie wolą oni oczywistą wyrazistość od subtelności. Tępią też buntownicze doku-

menty, filmy zagraniczne, animowane fabuły i lekceważą kino niezależne. Natomiast popierają filmy wielkich wytwórni, które po zdobyciu Oscara mogą zwiększyć zysk o 25 procent”.

Chodzi tu więc przede wszystkim o wielkie pieniądze. Dlatego koszt kampanii promocyjnej w kategorii najlepszego filmu sięga 15 milionów dolarów. Walka była zacięta, ponieważ o wygranej może zdecydować ledwie kilkadziesiąt głosów przy wyrównanej stawce. Studia starają się nie zaniedbać żadnego z 5739 członków Akademii. Trzeba przy tym zachować pozory odpowiedzialności społecznej. „Piękny umysł” nie dostałby Oscara, gdyby film o genialnym matematyku powiedział całą prawdę o swym bohaterze – że był rozwodnikiem, miał skłonności homoseksualne tudzież antysemickie. Dla Hollywood byłaby to mieszanka nazbyt wybuchowa. Woli poprawność polityczną, obdarzając w tym roku aż trzech czarnoskórych aktorów (Halle Berry, Denzela Washingtona i Sidneya Poitiera) najwyższymi nagrodami.

Również Robert Altman zaszkodził sobie w walce o tytuł najlepszego reżysera, waląc w gazetach prosto z mostu, co (złego) myśli o prezydencie Bushu i polityce amerykańskiej. Co tam warsztat mistrza, gdy liczy się poprawność patriotyczna. Ten wielki reżyser musiał porzucić na czwartej nominacji.

W historii Oscarów złotej statuetki nie dostał też żaden wielki komik w konkursie filmowym, od Chaplina przez braci Marx po Cary’ego Granta. Urodzony aktor komediowy Tom Hanks musiał umrzeć na AIDS w „Fildelfii”, żeby dostać nagrodę aktorską.

Ale cóż, ta akademia pracowników rozrywkę chce uchodzić za śmiertelnie poważną.

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

AUTOGRAF Z CHARAKTEREM

Jeśli na początku jest hejnał, a nie rozpoczyna się kolejna godzina na płycie krakowskiego rynku, to czy można oczekiwać czegoś zajmującego, inteligentnego i prawdziwie groźnego a kulturalnego? Okazuje się, że tak. Kiedy Tomasz Stańko odegrał na trąbce wariacje hejnałowe, co było wstępem do rozmowy o jego ostatniej płycie „Soul of Things”, w programie „Autograf” Jacka Żakowskiego (niedziela, 24 marca, 2 TVP) już było niezłe. A potem było jeszcze mocniej.

Okazało się, że może się udać rozmowa z wyśmienitym trębaczem o tym, czym i dla kogo jest jego muzyka, że geniuszami improwizacji byli Mozart i Chopin, o tym, jakie są dla współczesnego muzyka granice kompromisu pomiędzy furją tworzenia a respektem przed najboleśniejszą z recenzji – weryfikacją rynku, kto to jest producent z wyobraźnią (nie był to, niestety, polski producent muzyczny).

Czy telewizyjny magazyn comiesięczny może sprawiać wrażenie aktualnego? To wydanie

„Autografu” dowiodło, że może. Kiedy telewizji przysłuchiwali się wymianie zdań z nominowanym do Oscara Sławomirem Idziakiem na temat podziału ról pomiędzy reżyserem a operatorem w amerykańskich produkcjach filmowych, on sam przymierzał już frak przed mającą się rozpocząć za kilka godzin uroczystością wręczenia statuetek.

Czy w polskiej rozmowie o kulturze, w której i Stańko, i Idziak zajmują uznaną pozycję, jest miejsce na prozatorskiego debiutanta, na dodatek heroinistę? W głowach twórców „Autografu” znalazło się takie miejsce. Tomasz Piątek, autor „Heroiny” wydanej właśnie przez małą, niezależną, ale ważną oficynę Czarne (Moniki Sznajderman i Andrzeja Stasiuka), zaproszony do programu przez Stefana Chwina wywołał przejmującą i niespotykaną w tonie rozmowę o źródłach popularności i fascynacji narkotykami coraz powszechniej obecnymi w naszej rzeczywistości. Piątkowi jako autorowi powieści udało się swoim tekstem nawet w Jacku Żakowskim wywołać przelotne pragnienie „spróbowania”. W książce Piątka heroina dlatego cieszy się taką miłością, że staje się doświadczeniem czystego szczęścia. Pragnienie takiego szczęścia samego w sobie jest jednak śmiertelnym zagrożeniem – dowodził już jako nie tylko autor. I do żywej rozmowy o tym rozdaniu udało się w studiu doprowadzić.

Po raz pierwszy od dawna nie miałem poczucia, że oglądam zbędny, wymyślony program o kulturze, która jest pustym słowem. Wolałbym oczywiście, żeby Stańko na telebimie miał tę samą czapkę co Stańko grający w tym samym momencie w studiu. Ale to drobiazg. Chciałbym, żeby taka rozmowa mogła trwać dłużej, ponieważ była po prostu pasjonująca. I pokazywała, dlaczego kulturalne doświadczenie filmowca, muzyka i pisarza jest dla mnie osobiście istotne. A to rzadkość. A już w polskiej telewizji to prawdziwie dojmująca rzadkość. I dlatego myślę o tym wydaniu „Autografu” jak o wydarzeniu.

MAREK NIRUKOWICZ

FILM PRAWDZIWIY DO BÓLU

MĘSKA SPRAWA

POLSKI FILM
NOMINOWANY
DO OSCARA 2002
W KATEGORII
KRÓTKOMETRAŻOWY
FILM FABULARNY

ZDOBYWCA
22 NAGROD
NA PRESTIZJOWYCH
FESTIWALACH
FILMOWYCH

reżyseria: Sławomir Fabicki
zdjęcia: Bogumił Godfrejow

W KINACH OD 22 MARCA

www.kinoswiat.pl

KINO ŚWIAT

ING NATIONALE-NEDERLANDEN

2

Newsweek

stopklatka.pl

PRZE KROJ

Radio 26T

Religijna wojna w szkołach

Z OJCEM WOJCIECHEM JĘDRZEJEWSKIM, DOMINIKANINEM, ROZMAWIAJĄ WOJCIECH MAZIARSKI I DARIUSZ ROSIAK

Dla większości księży lekcje religii w szkołach to katorga i przekleństwo. Gdyby ktoś ich od nich uwolnił, zrezygnowaliby natychmiast

WOJCIECH MAZIARSKI, DARIUSZ ROSIAK:
Co o sprawie arcybiskupa Juliusza Paetza powiedział Ojciec swoim uczniom na lekcjach religii?

O. WOJCIECH JĘDRZEJEWSKI: Nic, bo nikt mnie o to nie zapytał. Z tego, co się orientuję, młodzi ludzie nie uznali sprawy arcybiskupa Paetza za rzecz szczególnie bulwersującą.

Jak to? Fakt, że arcybiskup jest oskarżany o molestowanie homoseksualne kleryków, nie bulwersuje młodzież?

- To dziwne, ale nie bulwersuje. Wielu spośród tych młodych ludzi uważa, że to nic nadzwyczajnego, bo po prostu taki jest prawdziwy obraz Kościoła.

Wśród młodzieży negatywna ocena Kościoła przybiera różne for-

my, w zależności od środowiska. Grupy najuboższe, najgorzej wykształcone, plebejskie cechuje zaciekle antyklerykalizm. Bezpośrednio zetknąłem się z nim w szczecińskiej „budowlance”, gdzie niemal wszyscy uczniowie wieszali psy na Kościele. Osoby chodzące na mszę i przywiązane do religii stanowiły wręcz margines.

Ten antyklerykalizm ma charakter bezrefleksyjny - młodzi ludzie sami nie mają negatywnych doświadczeń związanych z Kościołem, a jedynie powtarzają to, co usłyszą w domach rodzinnych, gdzie przy kolacji tata mówi do mamy: „Wiesz, stara, co wyczytałem dzisiaj w »Nie«? Taki a taki ksiądz ma kochankę i czwórkę dzieci, a w kazaniach opowiada, że trzeba być wiernym małżonkiem. Co za kawał sukinyń!”. No i potem ich dziecko atakuje mnie tym na lekcjach religii...

WOJCIECH JĘDRZEJEWSKI

Dominikanin, magister teologii, duszpasterz młodzieży w Warszawie, wykładowca teologii pastoralnej i katechetyki w Kolegium Filozoficzno-Teologicznym dominikanów w Krakowie. Pracuje w Radiu Plus, publikował artykuły w „Tygodniku Powszechnym”, „Więzi”, „Znaku”, „Gazecie Wyborczej”, „Życiu”, „Polonistyce”, „Cogito”. Autor książki „Fascynujące zaproszenie”.

Chodzi na religię mimo tak krytycznego stosunku do Kościoła?

- Zdumiewające, ale w tej „budowlance” wszyscy chodzili na religię, chociaż nie musieli. Mogli zamiast niej wziąć lekcje etyki.

Dlaczego chodzili? Z konformizmu?

- Po części tak. Myśleli: skoro większość chodzi, to i ja będę chodzić. Poza tym kiedyś trzeba będzie wziąć - choćby dla świętego spokoju - ślub kościelny, więc warto się zabezpieczyć i mieć świadectwo zaliczenia katechezy.

Lekcje religii traktowali jako formalność niezbędną do bierzmowania, które z kolei jest formalnością niezbędną do zawarcia ślubu. Myślę, że wielu spośród tych chłopaków z „budowlanki” nie chodziłoby na religię, gdybym dał im zaświadczenia, że „odwalili” katechezę.

Teraz uczy Ojciec maturzystów w katolickim liceum społecznym Przymierza Rodzin w Warszawie. Czy i tutaj występują takie postawy?

- Także ta młodzież wywodzi się ze środowisk wielkomiejskich, lepiej wykształconych i lepiej sytuowanych, jest negatywnie nastawiona do Kościoła, jednak jej krytycyzm ma inny charakter. Wyczuwam w nim rozgorzycenie i bunt. Ci młodzi ludzie nie egzaltują się plotkami o kochankach księży, lecz oskarżają Kościół o hipokryzję i fasadowość. Widzą w katolicyzmie religię sloganów. Oburza ich łatwość, z jaką księża głoszą te slogany z ambon, i wkurza ich brak krytycyzmu wiernych, którzy gładko to przeżykają.

Informacje, że któryś z księży jest grzesznikiem, nie robią na tej młodzieży większego wrażenia. Oburza ją natomiast fałsz i krycie grzechu.

Mam przyjaciela, księdza, który kiedyś na spotkaniu z młodymi ludźmi - choć nie była to lekcja religii, lecz spotkanie grupy wsparcia psychologicznego - szczerze opowiedział o problemach, jakie miał w przeszłości z alkoholem i z zaburzonym stosunkiem do seksualności. Jego słuchacze powiedzieli mu potem, że to wyznanie zrobiło na nich ogromne wrażenie i wręcz zmieniło ich stosunek do księży. Przekonał ich do siebie szczerością i uczciwością.

Z tego, co Ojciec mówi, wynikałoby, że odwróciły się znane z historii postawy i role społeczne. Dawniej to raczej prosty lud był skłonny bezkrytycznie uznawać autorytet Kościoła i księży, natomiast nastroje antyklerykalne silnie dochodziły do głosu wśród zlaicyzowanych elit i w środowiskach wielkomiejskich. Tymczasem dziś to plebejska młodzież z zawodówek ostrzej formułuje krytykę Kościoła.

- Rzeczywiście, jest coś na rzeczy, choć twierdzenie, że radykalny antyklerykalizm występuje tylko w środowiskach uboższych i gorzej wykształconych, byłoby dużym uproszczeniem. Jest bowiem jeszcze antyklerykalizm, który nazwałbym ideologicznym i który nie jest związany z przynależnością do jakiejś konkretnej grupy społecznej. Jego zwolennicy są zdania, że Kościół to organizacja nieomal zbrodnicza, pragnąca zdobyć władzę i wsadzać ludzi do więzienia za rozwody czy oglądanie pornografii.

Jak w kategoriach socjologicznych opisać grupę wyznającą takie poglądy?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale myślę, że takie nastawienie wynosi się z domów, w których jeszcze w czasach PRL-u wyznawano ideologiczny ateizm. W tej chwili do głowy przychodzą mi trzy przykłady osób reprezentujących ten rodzaj postawy - i wszystko były to dzieci z rodzin PRL-owskich żołnierzy i milicjantów.

Z tymi ludźmi w żaden sposób nie mogłem nawiązać kontaktu ani podjąć rzeczowej rozmowy. Natomiast prości chłopcy z „budowlanki”, którzy na lekcjach religii atakowali Kościół i twierdzili, że wszyscy księża to zbrodnie, po zajęciach odprowadzali mnie do klasztoru, rozmawiali ze mną, opowiadali o swoim życiu - o tym, jak ich





Młodzież nie chce potępiać grzeszników. Raczej im współczuje

ojcowie piją i jak oni sami jeżdżą do Niemiec kraść towary ze sklepów. Łapałem z nimi kontakt.

Czy jest coś, co łączy wszystkie te grupy?

– Ich stosunek do grzechu. Cała młodzież inaczej postrzega dziś grzech niż poprzednie generacje. W świecie na dobre już zadowoliła się i upowszechniła wiedza psychologiczna zmieniająca nasz sposób myślenia o złu. Współczesna psychologia mówi coś innego niż tradycyjna kaznodziejska teologia grzechu. Ludowy kaznodzieja stawiał sprawę jasno: masz wolną wolę i jeśli robisz coś złego, postępujesz w sposób hańbiący i poniżający, staczasz się do poziomu zwierzęcia, zasługujesz na potępienie.

Tymczasem dziś każdy już chyba na tyle liczył wiedzy psychologicznej, by wiedzieć, że takie rzeczy, jakie na przykład zarzuca się arcybiskupowi Paetzowi, mają me-

dyczną nazwę. Utrata kontroli nad zachowaniami seksualnymi i niezdolność do ich powstrzymania, mimo że stoją w rażącym konflikcie z sytuacją społeczną i zawodową człowieka, noszą nazwę erotomanii. To jest choroba, którą się leczy. Choroba często niezawiniona. Generalnie jest tak, że czyniąc zło, jesteśmy nie tylko jego sprawcami, lecz także ofiarami. Tak więc grzech coraz częściej jest dziś postrzegany także jako niezawiniony ciężar, który człowiek nosi na swoich barkach.

Dlatego młodzi ludzie nie gorszą się i nie chcą potępiać grzesznika, a raczej wykazują dla niego współczucie i zrozumienie. Są chyba bardziej miłośni niż poprzednie generacje.

To miłosierdzie przychodzi im o tyle łatwo, że lepiej niż my znają smak pokusy i więcej wiedzą o uleganiu jej. Ja urodziłem się w roku 1968. W latach szkolnych nie miałem żadnej styczności z narkotykami, pornografia była towarem rzadkim, mocniejsze przytulenie dziewczyny w tańcu na imprezie to już był wielki sukces. A dziś? Młodzi ludzie mają to wszystko podane na tacy, dzień w dzień muszą dokonywać wyboru: skusić się czy nie skusić? Taka sytuacja ich hartuje, ale przecież każdemu człowie-

kowi zdarzają się chwile słabości. Oni pamiętają o momentach własnej słabości, więc nie chcą potępiać innych za to samo.

Sądzą, że w ten sposób sprzeciwiają się chrześcijańskiej teologii grzechu, podczas gdy w rzeczywistości występują jedynie przeciw kaznodziejsko-ludowej tradycji potępienia grzeszników. Tak naprawdę postawa tych młodych ludzi odpowiada nauczaniu Chrystusa, który na krzyżu mówił: „Ojcze, wybacź im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Są bardziej miłośni i wyrozumiali, a jednocześnie wkurza ich fałsz i hipokryzja, także w Kościele. Z jednej strony większa tolerancja, z drugiej – większa pryncypialność. Jak to pogodzić?

– Czym innym jest słabość, a czym innym obłuda. Oni potrafią zrozumieć i wybaczyć słabość, ale nie tolerują obłudy ani fałszu, i to nie tylko w Kościele, ale w ogóle w żadnej instytucji, na przykład w szkole. Gdy rozmawiam z tymi młodymi ludźmi i oni orientują się, że na nich nie nakabluje, zaczynają walić w nauczycieli jak w kaczki kuper. Suche nitki na nich nie zostawiają.

Tyle że Kościół jest instytucją szczególną. Chyba stawiają mu wyższe wymagania moralne niż na przykład szkole?

– Z pewnością. Jednak katecheza jest prowadzona w szkole, więc siłą rzeczy w tym momencie obie te instytucje koegzystują na wspólnym polu. Bardzo często obserwuję zmianę, jaka dokonuje się w młodych ludziach, gdy przychodzą do duszpasterstwa młodzieży. To są często te same osoby, które wcześniej poznałem na katechezie w szkole i które wręcz balansowały na granicy odejścia od wiary. Na lekcjach religii bez przerwy starały się wejść ze mną w konflikt, atakowały mnie, wypominały mi kompromitujące fakty z dziejów Kościoła...

Na przykład jakie?

– Przede wszystkim inkwizycję, to dyżurny hak na katachecie. Ale potem wystarcza, żeby taki człowiek raz trafił do duszpasterstwa młodzieży, na przykład na spotkanie dyskusyjne, i cała ta pełna agresji złość momentalnie z niego spływa. Przychodzi tu i nagle na nowo odkrywa dla siebie Kościół.

Spotyka rówieśników, którzy są głęboko religijni, a zarazem normalni. Spotyka księży, którzy mówią normalnym językiem. Dla tych buntujących się młodych ludzi taki Kościół to prawdziwe objawienie.

Jednak ta szokująca przemiana dokonuje się tylko w duszpasterstwie. Na katechezie nie miałbym szans, by roztopić zapięklą niechęć uczniów.

A co tak na nich działa w duszpasterstwie młodzieży?

– Normalność. Młodzież najbardziej boi się dziwactwa. Powiedzieć komuś: „Jesteś dziwny”, to dziś najgorsza obelga.

Młodzi ludzie są przekonani, że człowiek, angażując się w życie Kościoła, musi zdziwaczać, stać się nawiedzonym dewotem chcącym innych na siłę nawracać na swoją wiarę. Wydaje im się, że aktywni wierni to cudacy, którzy żyją w jakimś nierealnym świecie odległym od doświadczeń reszty społeczeństwa. Tymczasem w duszpasterstwie spotykają się same normalne osoby, nie ma dewotów, oszołomów i nawiedzonych.

Pryska tu też mit, że Kościół zamyka wiernych w jakimś sekciarskim getcie, które młodzi ludzie nazywają ciemnogrodem. Wydaje im się, że katolicyzm nakłada kłótnie

na niewierzących albo na wierzących inaczej. Sądzą, że angażując się w życie wspólnoty katolickiej, będą musieli odciąć się od reszty społeczeństwa. Bardzo często pytają: „A dlaczego Kościół mówi, że niewierzący będą potępieni?”.

Tymczasem przychodzą do duszpasterstwa i nagle dociera do nich, że nikt tu nie potępia niewierzących ani nie wymaga od przybyłych deklaracji lojalności. Pełno tu normalnych, swobodnie się zachowujących i samodzielnie myślących młodych ludzi. Nikt nikomu niczego nie narzuca ani nie mówi, jak ma myśleć. Każdy ma prawo do wątpliwości, pytań, a nawet sprzeciwu. Ci młodzi ludzie nagle uświadamiają sobie, że duszpasterstwo jest miejscem, gdzie można duchowo dojrzewać, ale każdy sam sobie wyznacza tempo i sposób tego dojrzewania.

Jeżeli w duszpasterstwie cokolwiek mi się udaje, to tylko dlatego, że staram się naśladować postawę papieża, który cieszy się wśród młodzieży niesłuchaną popularnością. On nie poucza młodych ludzi, nie daje im prostych wskazówek, co jest dobre, a co złe, ale mówi mniej więcej tak (oczywiście nie tymi słowami): wy doskonale widzicie cały ten syf, jaki was otacza, widzicie, że wielu dorosłych nie ma odwagi żyć w prawdzie; więc to wy macie to zmienić; macie pracować nad sobą i macie stawić czoła złu swoim młodzieńczym entuzjazmem, buntem i bezkompromisowością.

W ten sposób w duszpasterstwie rozwiewają się dwa największe lęki odpychające młodzież od Kościoła: lęk przed zdziwaczeniem i lęk przed zasklepieniem się w getcie wrogości i pogardy dla niewierzących.

Na ile skutecznie oba te lęki odpychają młodzież od Kościoła?

– Myślę, że nawet buntując się na lekcjach religii, młodzi ludzie czują się rozdarci i boleśnie przeżywają fakt, że nie mogą poczuć się w Kościele swojsko i ciepło. Niektórzy mieliby ochotę po prostu machnąć ręką i odejść od Kościoła – ale z różnych powodów nie umieją tego zrobić. Jedni dlatego, że się boją i mają wątpliwości: a co będzie, jeśli okaże się, że to wszystko prawda? Inni myślą, że są kulturo-

wo zaprogramowani, bo przecież w Polsce katolicyzm niesłuchanie silnie wrósł w tożsamość narodową. Jeszcze inni instynktownie wy czuwają tajemnicę Kościoła i domyślają się, że tam jest to, czego szukają, mimo że instytucjonalna fasada zdaje się temu przeczyć.

Wiem, co czuje wielu z nich, bo sam przeżywałem podobny konflikt, gdy byłem nastolatkiem. Regularnie chodziłem wtedy na spotkania grup protestanckich, które serdecznie mnie przyjęły. Czułem się w nich bardzo dobrze. Jednak w tych wspólnotach panowały antyklerykalne nastroje, o Kościele katolickim mówiono „wielka nierządnicą”, „Babilon” itp. Ten antykościelny przekaz dzień po dniu sączył się do mojej głowy. A mimo to co rano chodziłem do kościoła na mszę, klękałem gdzieś z boku i tak tkwiłem na kolanach niczym babcia dewotka. Coś mnie tam ciągnęło i nie pozwalało odejść. Dzisiejsi młodzi ludzie odeszli dalej niż ja wówczas, bo najczęściej nie chodzą już na msze, ale ich też coś trzyma, przyciąga i nie pozwala ostatecznie zerwać więzi łączącej z Kościołem.

Młodzież buntuje się i nie lubi lekcji religii. A katecheci?

– Dla większości księży te lekcje to katorga i przekleństwo. Gdyby ktoś ich od tego uwolnił, zrezygnowaliby natychmiast. Z rozręwnieniem wspominają dawne dobre czasy, gdy uczyli młodzież w salkach katechetycznych przy parafiach.

Nie przesadzam, dobrze znam sytuację w tej dziedzinie, bo jeździłem po całej naszej prowincji zakonnej jako referent do spraw katechezy i przygotowywałem raport na ten temat dla kapituły.

Dlaczego księża tęsknią do katechezy w parafiach?

– Bo wtedy był spokój, nikt nie rozrabiał. Szkoła to miejsce, którego młodzi ludzie nie lubią. Ona ich męczy, frustruje, złości. Przed otwartym buntem powstrzymuje ich jedynie strach – szkoła ma narzędzia przemocy, które pozwalają utrzymać dyscyplinę. Tymczasem ksiądz na lekcji religii nie dysponuje żadnymi środkami nacisku.

I dlatego dziś te lekcje to prawdziwy Sajgon, zaciełka bitwa między uczniami a katechetą, który

stale czuje się upokarzany. Próbuje coś powiedzieć, a uczniowie go olewają, przerywają mu, gadają, grają w karty. I co on na to? Nic, może tym dzieciakom naskoczyć.

Czasem, jeśli ma szczęście, trafi mu się jakaś pojedyncza osoba, która na niego patrzy i go słucha. To jest deska ratunku – jest na kim oko zawiesić i jest do kogo mówić.

Do niedawna wielu księży przestawało przychodzić na lekcje. Najzwyczajniej uciekali na wagary. Teraz nawet tego nie mogą robić, bo dostają od szkół pensje i muszą się wywiązać z obowiązku pracy.

Ja sam próbowałem sobie radzić tak, że starsze klasy zabierałem na lekcje religii ze szkoły do klasztoru. Tu, na moim terenie, miałem nad nimi przewagę. A i oni normalnie poza szkołą, coś się w nich zmieniło, łąpałem z nimi lepszy kontakt.

To może w ogóle wprowadzenie religii do szkół było błędem?

– Trudno dać jednoznaczną odpowiedź. Po pierwsze, nie idealizujmy dawnej katechezy w salkach

parafialnych. To rozumiałe, że księża tęsknią za spokojem, ale ten medal ma też drugą stronę. Sam pamiętam swoje lekcje: przychodził ksiądz i czytał katechizm. To była śmiertelna nuda.

Po drugie, problem leży nie tyle w miejscu, ile przede wszystkim w pedagogicznych talentach i przygotowaniu nauczycieli religii. Gdy katecheta jest kiepski, lekcje religii w szkole przynoszą więcej złego niż dobrego: odpychają uczniów od Kościoła i wiary. Wtedy lepiej, żeby takich zajęć w ogóle nie było.

Jeśli jednak trafi się katecheta ze zdolnościami pedagogicznymi i odpowiednimi kwalifikacjami, potrafiący nawiązać z dzieciakami kontakt, wówczas religia w szkole daje olbrzymią szansę dotarcia także do tych, którzy bez tego całkowicie straciliby więź z Kościołem. Przecież te dzieciaki w większości nie chodzą na mszę – a na lekcje religii z niewiadomych powodów przychodzą.

Rozmawiali

WOJCIECH MAZIARSKI
I DARIUSZ ROSIAK

Dieta Cambridge Bezpieczna i skuteczna

Opracowana przez angielskich naukowców
/Uniwersytet Cambridge/

Bardzo niskoenergetyczna – ułatwia spalanie zapasów tłuszczowych.
Idealnie zbilansowana – zapewnia prawidłowe funkcjonowanie organizmu, nie wymaga suplementacji.

Urozmaicona smakowo (zupy, koktajle – ponad 10 smaków).
Łatwa w przygotowaniu – gotowe produkty mieszają się z wodą lub chudym mlekiem.

Może być wyłącznym źródłem odżywiania, lub stanowić uzupełnienie konwencjonalnego żywienia.

Adresowana jest do osób:

- z dużą nadwagą i otyłością
- stosujących inne diety bez odnotowywania ubytków masy ciała
- odchudzających się z powtarzającym się efektem jo-jo
- mających problemy z zaparciami (uzupełnienie diety błonnikiem Cambridge 89 – błonnik roślinny).

Przed zastosowaniem diety konieczna jest fachowa konsultacja.
Powrót do normalnego żywienia odbywa się stopniowo z jednoczesną kontrolą masy ciała.

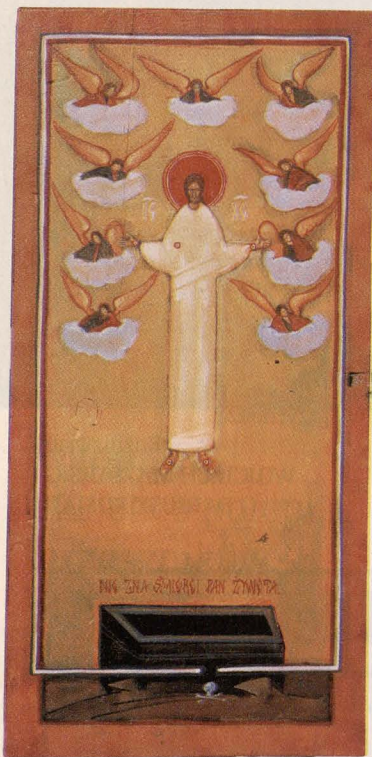
Podstawą sukcesu jest zmiana stylu życia i żywienia po diecie.

Informacje: Centrum Diety Cambridge
02-793 Warszawa, ul. Belgradzka 4
tel/fax (0-22) 859-03-04

Podajemy telefony regionalnych konsultantów (dystrybutorów)

Cicha noc – Wielka Noc

STEFAN RIEGER
OBRAZY ROBERT RUMIN



Polska internetowa wyszukiwarka, której zadałem hasło „Wielkanoc”, uszczęśliwiła mnie setkami różnych stron. Nigdzie nie znalazłem najmniejszej wzmianki o muzyce

Pamiętne wykłady prof. Stanisławskiego „o wyższości Świąt Bożego Narodzenia nad Świątami Wielkiej Nocy” (i *vice versa*) w surrealistycznym ujęciu streszczają nasz polsko-katolicki paradoks. Świąta w naszej tradycji najprzód są rodzinno-gastronomiczne, a dopiero potem, ewentualnie, duchowo-religijne. Rodzinna komunika wokół opłatka i jajeczka, piękna w swym idealizmie, jest też swoistym egzorcyzmem, koncertem pobożnych życzeń, wzięciem życia w nawias. Jakże miły, powierzchowny rytuał zwalniający od myślenia i rachunku sumienia. Taki też jest w dużej mierze polski katolicyzm: wszystko na zewnątrz, cała para w gwizdek – święcenia, ferytony, procesje i kadzidła. Pisał o tym swego czasu Miłosz, zanim nie poszedł do Canossy.

Z bałamutnym dylematem prof. Stanisławskiego jako dziecko nie miałem żadnych problemów. Aniołek, prezenty, migające lampki. Wirujące płatki śniegu. Kolędy tryskające w niebo Mendelssohnowskimi akordami spod palców mego ojca lub skraplające się w zimnym kościele zaparowanym oddechami zakutanych w kożuski rodaków fałszujących zgodnie *unisono* jak przy imieninowym „Sto lat!”. Gwiazdka była poza konkurencją. Pisanka i baranek mimo swego uroku nie stanowiły poważnej alternatywy. Jajeczko w zasadzie nie śpiewa, a baranek nawet gdyby chciał, raczej nie powinien.

Gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że Wielkanoc jest największym chrześcijańskim świętem, albo parsknąłbym śmiechem, albo zadał sobie pytanie, czy na pewno jestem chrześcijaninem i wśród chrześcijan żyję?

W świecie, w którym duchowość ogranicza się do deklaracji i gestykulacji, *sacrum* sprowadza się do najprostszego logarytmu

pocieszenia i nadziei. Odpędza smutek tropików i ośnieżonych stepów naiwno-radosnym, magicznym zaklęciem przemieniającym glinę w złoto, grzech w cnotę, a wiekiuste potępienie w wieczną szczęśliwość. *Alleluja!* W jakiej muzyce znaleźć może wyraz retoryka tak prostodusznej alchemii? Chyba tylko takiej, która udziela gotowych, quasi-automatycznych odpowiedzi na pytania, jakich od dawna nikt już sam sobie nie stawia, zdając się na mechaniczny proces odkupienia. Znajdując pociechę w zbiorowym transie pomagającym – jak u ludów prymitywnych – wypędzić złego ducha. Ducha czasu. Muzyka, język absolutnej szczerości, stanowi bezlitosny sprawdzian. Tego, co powierzchowne, nie wyrazi głębią. Próżno szukać wielkiej muzyki tam, gdzie szuka się pocieszającej, szybkiej odpowiedzi na pytania zasadnicze, unikając konfrontacji z Wielką Tajemnicą.

Gra o duszę

Muzyka jest dla mnie najlepszym probierzem uduchowienia społeczeństw. Pisał o tym już Platon. W chrześcijaństwie w pewnym momencie rozeszły się drogi. Już w roku 813 na soborze w Tours Kościół zatrzaskał przed muzyką bramę świątyni: „Wszystko, co uwodzi słuch i wzrok i co może stłumić zapal duszy, powinno być trzymane z dala od Bożych kapłanów, zaiste bowiem mnogość pokus, pieszcząc ucho i oko, wnika całkowicie w duszę”.

W późniejszych wiekach katolicyzm uchylił wrota muzyce, lecz nie wyzbył się zasadniczej nieufności. Lody przełamała dopiero Reformacja. Nikt nie posunął się dalej od Marcina Lutera, który niemalże zrównał w prawach muzykę ze Słowem Bożym, wynosząc ją ponad wszystkie inne formy ekspresji i widząc w niej funda-

ment edukacji. „Muzyka jest wzniosłym darem Boga, podobnym do teologii. Czyni ludzi cierpliwiejszymi, łagodniejszymi, skromniejszymi i rozumniejszymi, przepędza złego ducha i napawa szczęściem. Kto ją lekceważy, jak postępują wszyscy fanatycy, nie będzie mógł się z tym zgodzić”.

Luter pisał o „fanatykach”, dzisiaj niestety należałoby raczej mówić o społeczeństwach głuchych na muzykę. Luteriańskie *credo* rozpisane na chorały składające się na śpiewany katechizm zaważyło na historii muzyki, przynajmniej w sferze protestanckich wpływów. Słowo muzyką się stało, i odwrotnie: każdemu dźwiękowi – od Bacha po Schönberga – przypisano była od tej chwili w jakimś sensie metafizyczna misja. To była odtąd gra o duszę.

Między Crucifixus a Alleluja

Dla chrześcijanina najważniejszym poligonem gry o duszę jest Wielki Tydzień i Niedziela Wielkanocna. Historia męki Pańskiej, śmierci i Zmartwychwstania: wiecznie odnawiane misterium będące kołem napędowym wiary i nadziei. Nawet ateuszowi gardzącemu gotowymi receptami na zbawienie trudno nie ulec mocy tej eschatologicznej symboliki. A cóż powiedzieć o twórcach muzyki sakralnej pojmujących swą artystyczną misję jako służbę Bogu?

Istnieje w samej rzeczy od wieków wspólna tradycja pasyjna polegająca na muzycznej inscenizacji dramatu, którego kulminacją jest ukrzyżowanie Chrystusa. Lecz uderzył mnie fakt, że wszystkie niemal arcydzieła odwołujące się do symboliki Krzyża i martyrologii – „Lekcje ciemności” Charpentiera i Couperina, niezliczone pasje Schützta i innych poprzedników Bacha, najwyższe wzloty ludzkiego ducha, jakimi są

obie Bachowskie pasje, Mateuszowa i Janowa – wpisują się w tradycję Wielkiego Tygodnia, a szczególnie Wielkiego Piątku. Innymi słowy, zatrzymują się przed ową Niedzielą, podczas której dokonuje się misterium Zmartwychwstania – „akt założycielski” chrześcijańskiej wiary. Czyżby dlatego, że poprzednie etapy dramatu ze względu na ich „epicki” charakter łatwiej poddają się przełożeniu na muzyczną narrację – podczas gdy tutaj mamy do czynienia z nieuchwytną Tajemnicą, duchową sublimacją, transfiguracją śmierci, dialektyką cierpienia, które – dzięki swej odkupicielskiej mocy – niesie radość i wyzwolenie? A może i dlatego, że radosny motyw Rezurekcji muzycznie jest mniej nośny?

Muzyka „smutna” niemal zawsze jest piękniejsza i dużo głębsza od „radosnej”. Zwłaszcza jeśli potraktujemy je odrębnie. Misterium Wielkiej Nocy traci wszelki metafizyczny – a co za tym idzie artystyczny – sens, jeśli nie postrzegamy go jako procesu wielkiej przemiany, której materią jest ból i cierpienie. *Alleluja!* wyrwane z kontekstu nie znaczy nic. Już w samym pojęciu *happy endu* tkwi niebezpieczny ładunek kiczu, a cóż powiedzieć o *happy endzie* „samowystarczalnym”, który niczego w zasadzie by nie kończył? Nie, Wielkanoc, jeśli zapomnieć o Wielkim Piątku, nie może zaainspirować wielkiej muzyki.

Piąty ewangelista

Tylko u Bacha znajdziemy być może próbę przezwyciężenia tego paradoksu. Ale nie w jego Oratorium Wielkanocnym: to w sumie „zwykła” kantata, jedna z kilku napisanych przezeń na Wielkanoc. Większość z nich to zresztą parodie świeckich, uroczystych kantat i żadna z nich nie wznosi się na poziom powyżej średniej.

Jeśli jest jedno absolutne arcydzieło przypisane liturgicznie Niedzieli Wielkanocnej, to jest nim młodzieńcza IV Kantata „Christ lag in Todesbanden” podejmująca kolejno, w różnych konfiguracjach, każdą z siedmiu zwrotek chorału „Christus spoczywał w pętach śmierci”. Cudowna, idealnie symetryczna konstrukcja, w której każdy z wersów (jak pisał Albert Schweitzer) jakby „wykuty był w muzyce”. Dzieło tak poruszające w tym właśnie sensie, że poprzez swą dwuznaczność – nieustanne oscylowanie między molową symboliką krzyża i śmierci a radosnym *Alleluja* z durowych, przyspieszonych kadencji – próbuje dotrzeć do sedna owej Tajemnicy transfiguracji i odkupienia. Tylko wielka sztuka, a muzyka bardziej niż cokolwiek, pozwala naprawdę do niej się zbliżyć. Nawet niewierzącym. Bez Bacha Bóg byłby figurą trzecioplanową, pisał Émil Cioran. Bach nadaje sens religii.



Feministka, typowa muzułmanka

W głębi serca jestem wierna swojej religii i obyczajom. Doskonale czuję, gdzie są granice, których nie chcę przekroczyć. Dlatego nie dyskutuję z kolegami o seksie, nie chodzę na imprezy i randki jak moje polskie koleżanki

Mam wrażenie, że tutaj wszyscy ciągle się spieszą. Kiedy idę z koleżanką i widzimy nadjeżdżający autobus, ona zawsze wrywa się do przodu i krzyczy: „Szybko, jeszcze go złapiemy!”. Po co? Przecież za pięć-dziesięć minut przyjdzie następny.

Tutaj nie sposób umówić się z koleżanką po południu. Trzeba dokładnie określić godzinę, a potem pędzić na złamanie karku – być może ona będzie mogła poświęcić ci tylko godzinę, ponieważ jest umówiona na kolejne spotkanie. Przyjść do kogoś bez zapowiedzenia raczej nie należy. Gość nie jest tutaj aż taką świętością jak u nas, żeby rzucić wszystko i zająć się tylko nim.

Mam kilkoro koleżanek i kolegów, ale z nikim się nie przyjaźnię. Być może to, co przeżyłam, sprawia, że czuję się od nich dojrzała i trudno mi poważnie traktować problemy dziewczyny, która lamentuje z powodu rozstania z chłopakiem. A bez przerwy któraś zostaje porzucona albo sama porzuca. I po jakimś czasie ma nowego chłopaka. Nikt tu nie śpieszy się z zamążpójściem. Wiele par mieszka razem jeszcze przed ślubem. Podoba mi się ten zwyczaj (zupełnie niemożliwy u nas), bo ludzie mają szansę poznać się lepiej, zanim zdecydują się na wspólne życie. Chociaż tutaj też jest dużo nieszczęśliwych małżeństw.

Wszyscy spieszą się z seksem, a pogląd, że panna młoda powinna być dziewicą, uważają za przestarzały. Rozmowy o seksie na szkolnym korytarzu nie należą do rzadkości. Już przestało mnie to bulwersować. Podobnie jak pary całujące się na ulicy. Ale nie myśl, że stałam się kobietą wy-



Makka Abdurahmanowa: „Dziwne jest u Polaków pomieszanie uprzejmości i chłodu. Pozdrawiają sąsiadów na schodach, ale w ogóle ich nie znają”

zwołoną. W głębi serca jestem wierna swojej religii i obyczajom. Doskonale czuję, gdzie są granice, których nie chcę przekroczyć. Dlatego nie dyskutuję z kolegami o seksie, nie chodzę na imprezy i randki jak moje koleżanki. One postrzegają mnie jako typową muzułmankę, kobietę uległą i poddaną tradycji.

A tymczasem moja rodzina i czeczeńscy znajomi mówią, że stałam się bardziej europejska od Polek albo że jestem feministką. Bo noszę dzinsy, bo w kawiarni płacę sama, dyskutuję z mężczyznami, mam swoje zdanie, dopytuję się, dlaczego nie chcą, żeby kobiety uczyły się i pracowały.

W Polsce bardzo dużo dziewczyn studiuję, większość kobiet pracuje. Ja też chciałabym pracować, ale nie za wszelką cenę. Rodzina jest dla mnie najważniejsza i jeśli pokocham mężczyznę, który nie będzie chciał, żebym pracowała – a będzie w stanie mnie utrzymać – to zrezygnuję z pracy. Moje polskie koleżanki oburzają się: „Jak to? Zrezygnujesz ze swoich zainteresowań, pasji i zdolności, pozwolisz zamknąć

się w domu?!”. Wtedy ja pytam je, co to za szczęście poświęcić się dla kariery i być samotną. One nie ustępują i mówią, że prawdziwa miłość polega na akceptacji drugiej osoby, szanowaniu jej zainteresowań, wspieraniu jej pasji. Na pewno mają rację, ale nasi mężczyźni wyrażają miłość poprzez otoczenie kobiety opieką.

Wczoraj w tramwaju pijany mężczyzna obrzucał obelgami kobietę. Nikt nie zareagował, żaden mężczyzna nie stanął w jej obronie. Wyobrażasz sobie taką sytuację u nas? Tam zawsze czułam się pod opieką odpowiedzialnych i mądrych mężczyzn. Tutaj mi tego brakuje. Dobrze, że mam wujka Isę. Mimo że stałam się samodzielna – studiuję, pracuję, wynajmuję mieszkanie – zawsze pytam go o zdanie. To również dziwi moje koleżanki. Mówią: „Przecież sama wiesz najlepiej, co dla ciebie dobre”. A ja nie zawsze wiem. Rozmowa z wujkiem, którego darzę zaufaniem, jest dla mnie wytchnieniem.

Polacy są otwarci. Czasem tylko denerwują mnie ich stereotypy

na temat muzułmańskich kobiet. „To w Czeczenii nie musiałas chodzić z zakrytą twarzą? Mogłaś spotykać się z kolegami na podwórku? Mogłaś studiować?”. Takie pytania zadają mi często. No i uparcie namawiają do wypicia alkoholu. „No, spróbuj – mówią – nikomu nie powiem”. Śmiesz mnie to, naprawdę nie jestem ciekawa, jak smakuje i działa wino czy wódka. Niektórym Polakom bardzo trudno to zrozumieć. Albo to, że nie mogę dotykać psów. A jest tu ich bardzo dużo, wielu ludzi trzyma psy w domu.

Trudno mi jest zaakceptować to, że dziewczyny tutaj palą papierosy. I strasznie przeklinają. Dziwne jest u Polaków pomieszanie uprzejmości i chłodu. Przepraszają na ulicy, gdy cię potracą. Powiedzą „dzień dobry”, gdy jesteś ich sąsiadem. Ale mogą mieszkać obok siebie latami i nigdy się nie poznać. Kiedy wynajmowałam pierwszą kawalerkę, zaprzyjaźniłam się ze starszą panią, która mieszkała nade mną. Była bardzo samotna, ale nie nawiązała kontaktu z żadnym z sąsiadów. Podobno to tutaj normalne. Ludzie żyją obok siebie i jeden o drugim nic nie wie. A przecież większość z nich jest bardzo ciepła i serdeczna w bliższym kontakcie.

W grudniu znajoma zaprosiła mnie na wigilię. Bardzo mi się to podobało. Wszyscy byli dla siebie tacy mili, dawali sobie prezenty, dzielili się takim cieniutkim białym wafelkiem, życząc sobie pomyślności i Bożego błogosławieństwa. Aż mnie samej zrobiło się ciepło w sercu. Potem jedliśmy dużo dobrych rzeczy. Polska kuchnia bardzo mi odpowiada. Niektóre potrawy są dziwne, słone ze słodkim, na przykład kura w sosie z rodzynkami.

MAKKA ABDURAHMANOWA

Autorka jest 22-letnią Czeczenką. Od dwóch lat mieszka w Warszawie, studiuje dziennikarstwo, utrzymuje się ze sprzątania.

Spisała JUSTYNA MASELLA

Urodo trwaj...

Intensywna terapia odmładzająca dla kobiet dojrzałych. Idealne połączenie fitohormonów, witamin i składników roślinnych dla utrzymania promiennego wyglądu skóry.

Seria dostępna w aptekach, sklepach zielarskich i wybranych kosmetycznych.

Cena:
od 16 do 23 zł.



FITO odnowa



Laboratorium
Kosmetyków Naturalnych

FARMONA
Włókna

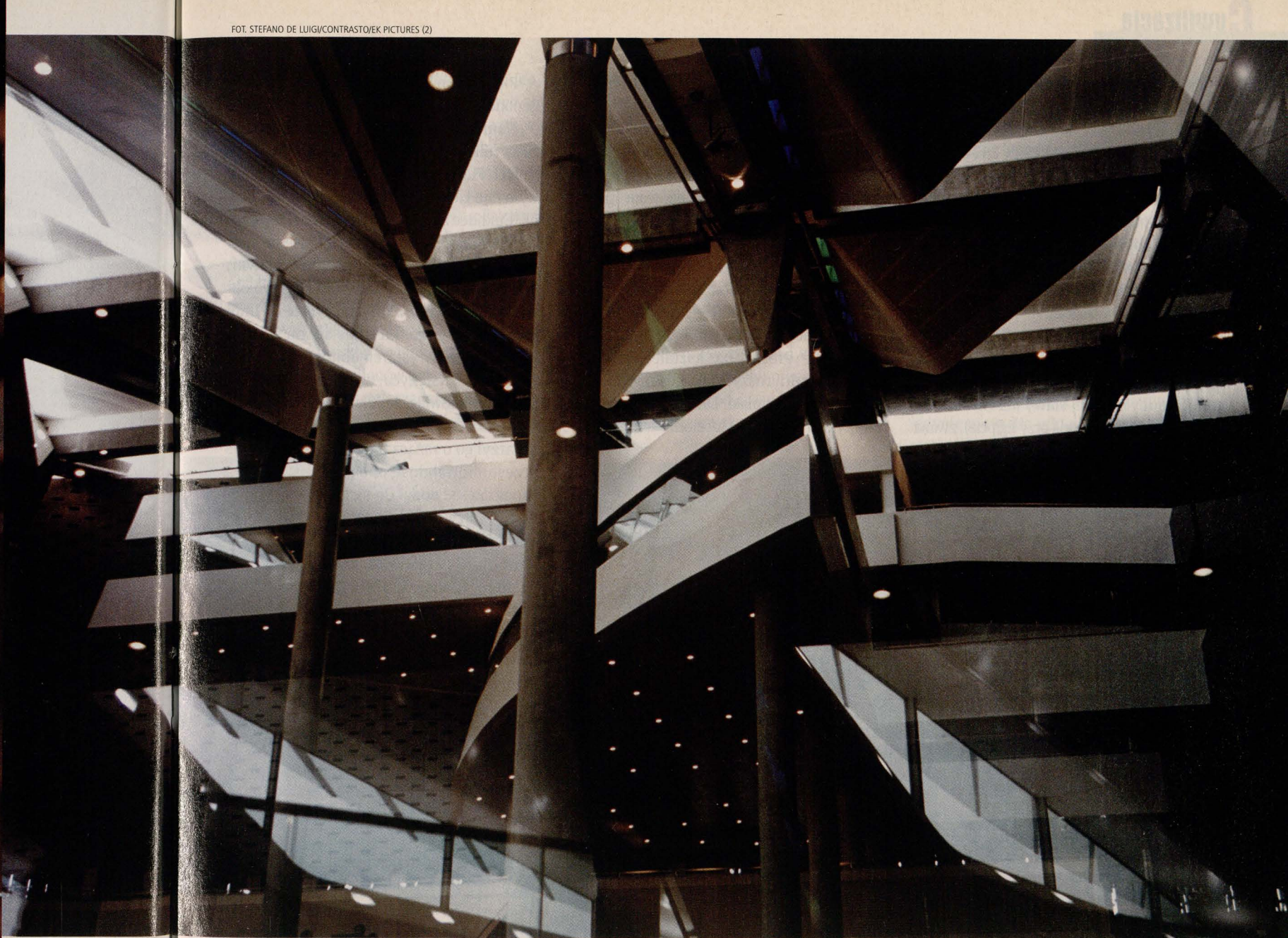
30-016 Kraków, ul. Łokietka 26,
tel. (012) 292 66 02, tel./fax (012) 633 51 22, www.farmona.com.pl



Biblioteka przy Aleksandrii

Była największą
biblioteką
starożytności.
Samo miasto
- Nowym Jorkiem
świata Ptolemeuszy
i Cezarów,
a latarnia na Faros
- jednym
z cudów świata.
W nowej Bibliotece
Aleksandryjskiej
otwieranej
w kwietniu
jest już więcej słów
niż w tej dawnej.
Ale cud
jest niepoliczalny

MAGDA PAPUZIŃSKA



Mebles wykonane na zamówienie, kolumny zwieńczone stylizowanymi kwiatami lotosu, wystawa arabskich rękopisów – Biblioteka prawie gotowa do użytku – brakuje jeszcze trochę książek i komputerów

Stoję nad brzegiem morza i nic mi się nie zgadza. Gdzie ta cholerna wyspa?

Przecież było napisane wyraźnie:

„Jest tam na grzmiącym morzu wyspa, tuż naprzeciw Egiptu, nazywa się Faros...”.

Egipt, morze – są. Tylko wyspy ani śladu.

Miasto za plecami miało wyglądać tak:

„Jest cała biała i błyszcząca nocą i dniem. Ściany i chodniki wyłożone są białym marmurem (...). Jego blask czyni miasto nocą tak jasnym, że krawiec może nawlec igłę”.

Odwracam się więc, ale widzę tylko przebiegającą ośmiopasmową szosę, którą pędzą, wesoło potrabując i łamiąc wszelkie zasady, gromady rozklekotanych samochodów. Głównie łady w wieku emerytalnym, choć nie brakuje swojskich fiatów 125p. Tuż obok mnie jakiś człowiek w galabii zstępuje z chodnika i zanurza się w rwącej rzece aut. „Samobójca” – myślę, ale samochody, nie zwalniając,

w jakiś cudowny sposób pozwalają mu przepłynąć na drugi brzeg.

Szosa nazywa się Corniche, oddziela morze od miasta i jest dokładnie tu, gdzie powinna. Wiedziałam o jej istnieniu, od czasu gdy tłumaczyłam dla kilku polskich architektów warunki konkursu UNESCO i rządu Arabskiej Republiki Egiptu na odbudowę Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej. Trochę mnie rozpraszał włączony telewizor, ale nie mogłam darować sobie obrad Okrągłego Stołu.

Warunki wykupiło prawie 1400 zespołów architektonicznych z 77 krajów. Wybrano projekt nikomu wówczas nieznaną norweską grupę architektów Snøhetta.

Minęło 13 lat.

Zanim odważę się przekroczyć Corniche, mam okazję obejrzeć z daleka wschodzące nad Aleksandrią słońce nowej Biblioteki. Obok ukośnej, kolistej płaszczyzny częściowo białej

w ziemię, czyli przeszklonego dachu głównej Biblioteki, wisi symbolizująca księżyc czarna kula planetarium.

Przechodnie na Corniche, patrząc na to wszystko, cmokają z podziwu. Umalowana dziewczyna bierze mnie za rękę i przeprowadza przez stado rozjuszonych pojazdów. – Piękna – mówi o Bibliotece, której uroczyste otwarcie nastąpi 23 kwietnia i wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi, a już na pewno według słów polityków, będzie jednym z ważniejszych wydarzeń trzeciego tysiąclecia. Nowy budynek stanie się tętniącym życiem ośrodkiem łączącym Wschód z Zachodem, Północ z Południem, kulturę islamu z dziedzictwem Europy, Azji, Ameryki, przeszłość z przyszłością. Tak mówią politycy. Jednak czy to jest możliwe?

– Tak! – odpowiadają z entuzjazmem biblioteczni specjaliści od *public relations*.

Pomysł na odbudowę Biblioteki zrodził się w głowach polityków – podobnie jak cała Aleksandria.

Aleksander Macedoński, gdy 2334 lata temu rozłożył swoją chlamidę na piasku pustyni, by pokazać architektowi Dejnokratesowi, jaki kształt ma przybrać miasto na brzegu morza, był zdobywcą połowy ówczesnego świata. Miał zaledwie 25 lat. Nakreślił plan miasta, nadał nazwy przyszłym dzielnicom i powędrował podbijać Wschód.

Osiem lat później już nie żył. Zmarł w Babylonie na febrę, a może z pijaństwa. Zdążył założyć jeszcze kilka miast swego imienia, ale żadne nie zdobyło takiej sławy jak *Alexandria ad Aegyptum* (Aleksandria przy Egipcie), zwana

drii przybył Demetriusz z Faleronu, filozof z Likejonu, szkoły założonej pod Atenami przez Arystotelesa. Namówił króla, by sprowadził kilka książek niezbędnych przyszłemu władcy, na przykład „Państwo” Platona, bo bez porządných podręczników nie ma nauki. Demetriusz wciąż wymyślał nowe niezbędne tytuły. Postanowiono wybudować dla nich osobny budynek. W ten lub podobny sposób mógł powstać zaczątek Biblioteki Królewskiej.

Przez morze poszła wieść, że Ptolemeusz nie żałuje grosza na kształcenie syna. Do Aleksandrii ruszyła fala uczonych i artystów z greckich miast. Dla nich zbudowano świątynię muz, czyli Museion.

Pierwszym Bibliotekarzem mianowano Zenodota z Efezu.

Naukowcy już dawno przestali sądzić, że są tutaj tylko po to, by wychowywać kolejnych Ptolemeuszów. Znaleźli się w naukowym raju i ich umysły pracowały jak nakręcone. Euklides z ekiem w rękę pisał „Elementy”, Archimedes demonstrował kolegom swoje niepraktyczne mechaniczne zabawki, Eratostenes kombinował, jak zmierzyć obwód ziemi, po czym oświadczył, że do Indii można dopłynąć, kierując się na zachód od Hiszpanii. Arystarch obliczył odległość do Słońca i Księżyca, a potem wyprzedził swój czas, mówiąc, że Ziemia kręci się wokół Słońca, za co spokojny zwykle stoik Kleantus oskarżył go o rażącą bezbożność. Herofilus przestudiował dostępne na miejscu dzieła Hipokratesa i dodał do nich, że mózg z nerwami tworzą całość. Erystratos, by nie wchodzić mu w parę, zajął się układem pokarmowym, ale i tak wyszło mu, że nieodpowiednie jedzenie może wpływać na układ nerwowy i powodować choroby umysłowe.

Ale miasto nie składało się z samych uczonych. Już Aleksander kazał przesiedlić tutaj mieszkańców okolicznych wiosek – Egipcjan, którzy stali się najniższą klasą społeczną, tą od czarnej roboty. Inni przyjeżdżali z własnej woli. Macedończycy – urodzeni żołnierze – tworzyli gwardię królewską. Grecy nosili się godnie jako arystokracja i wolni obywatele. Byli też Persowie, Syryjczycy i Cypryjczycy, a także spora grupa Żydów. Pod koniec panowania dynastii miasto miało 300 tysięcy obywateli, nie licząc

na mnie ze ścian, słupów i billboardów. Jedynie, czego mu brakuje, to kufrów pełnych złota. Dlatego budowa Biblioteki trwała prawie tyle czasu co zbudowanie całej Aleksandrii i otwarcie zapowiadane początkowo na rok 1999 nastąpi dopiero teraz.

Współczesnym Demetriuszem z Faleronu, jednym z pomysłodawców i wielkim entuzjastą nowej Biblioteki, jest Moshen Zahran, architekt i planista, który poświęcił się tej idei od początku lat 80. Dzięki jego wysiłkom w 18 krajach powstały Stowarzyszenia Przyjaciół Biblioteki Aleksandryjskiej (w budowie), a z zagranicy napłynęło 30 milionów dolarów pomocy.

Prezydent Mubarak rządzi za pomocą dekretów. W roku 2001 wskazał, kto zostanie

Zenodotem z Efezu, czyli Pierwszym Bibliotekarzem. Dyrektorem z dekretu mianowano Ismaila Serageldina, absolwenta Uniwersytetu Kairskiego (1964 r.) i Harvardu, posiadacza 13 doktoratów honorowych (m.in. socjologii, nauk przyrodniczych, ekonomii i rolnictwa), wiceprezesa Banku Światowego do spraw środowiska i zrównoważonego rozwoju.

Przewodniczącą Rady Biblioteki została pierwsza dama Egiptu pani Suzanne Mubarak. Nie ma swojego odpowiednika w starożytności.

Gdy jej mąż już wydał stosowne dekrety, wygłosiła w nowym gmachu przemówienie.

– Minęło 1600 lat od czasu spalenia Biblioteki – powiedziała między innymi.

Być może to prawda. Jednak oprócz pani Mubarak nikt nie ma pewności, kiedy Biblioteka spłonęła ani kto się do tego przyczynił. Wiadomo o trzech podejrzanych.

Gdy Juliusz Cezar przybył do Aleksandrii, 18-letnia Kleopatra kłóciła się właśnie o władzę ze swoim młodszym bratem-mężem Ptolemeuszem Dionysosem. Cezar, z powodu nosa, rozstrzygnął ten spór na korzyść Kleopatry, co nie wszystkim Egipcjanom przypadło do gustu, tym bardziej że Rzymianin zażądał od mieszkańców miasta kontrybucji. Toteż słodkie *tête-à-tête* z piękną królową przerwała mu wkrótce wojna nazwana później aleksandryjską. Cezarowi towarzyszył jedynie niewielki oddział wojska, a w porcie stały bez opieki jego okręty, które łatwo mogły się stać łupem Egipcjan. W desperacji postanowił je podpalić. Ogień przeniósł się na zabudowania portowe, a potem na dzielnicę królewską. Wielka Biblioteka zamieniła się w kupę popiołu. Działo się to 2050 lat temu.

Historycy uważają jednak, że jeśli nawet ten pożar miał miejsce, to z pewnością spłonęła jedynie część Biblioteki – od 40 do 90 tysięcy zwojów.

Następny rzymski kochanek Kleopatry Marek Antoniusz, pragnąc pocieszyć ją po stracie rodzinnej kolekcji, złożył u jej stóp 200 tysięcy rękopisów wydartych konkurencji, czyli biblioteki w Pergamonie.

Koniec dynastii Ptolemeuszów nie oznaczał końca Aleksandrii, chociaż pod władzą odległych cesarzy nic już nie było tak jak dawniej.

Rzymianie olśnieni urodą miasta stawiali nowe budynki, często na gruzach dawnych,



FOT. STEFANO DE LUIGI/CONTRASTO PICTURES

CZY NOWA BIBLIOTEKA BĘDZIE POMOSTEM POMIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM, ISLAMEM A DZIEDZICTWEM EUROPY?

tak przez wieki. Być może żadnego innego nie wskazał mu we śnie sam Homer słowami „Odysei”: „Jest tam na grzmiącym morzu wyspa...”.

W efekcie kłótni diadochów, czyli towarzyszy broni i spadkobierców Macedończyka, Aleksandria przypadła w udziale Ptolemeuszowi – przyjacielowi, a jak sądzą niektórzy, przyrodniemu bratu Aleksandra.

Ptolemeusz I ogłosił się królem Egiptu i nadał kształt nowej stolicy: wybudował pałac królewski, latarnię morską na wyspie Faros, uznaną za jeden z siedmiu cudów świata, most na wyspę zwany Heptastadionem, mauzoleum Aleksandra Wielkiego, świątynię nowego boga Serapisa. Między lądem a wyspą powstały dwa porty: Wschodni i Zachodni zwany Portem Szczęśliwego Powrotu.

Kiedy syn Ptolemeusza, Ptolemeusz oczywiście, mógł zacząć naukę, do Aleksan-

Kiedy chłopiec przejął ster władzy, nie skąpił pieniędzy na powiększanie Biblioteki i zapraszanie wciąż nowych uczonych. Aż do końca dynastii po szerokich ulicach miasta zbudowanego na planie siatki hipodamejskiej (osiem ulic podłużnych i osiem poprzecznych przecinających się pod kątem prostym) pałętał się roztargnieni naukowcy, a książki w bibliotece wciąż przybywało.

W pewnym momencie Ptolemeusze dostali wręcz bzika na tym punkcie. Zapragnęli zgromadzić u siebie wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane. Ptolemeusz III wystosował listy do władców świata, prosząc o wypożyczanie dzieł do skopiowania. Rewidowano wpływające do portu statki w poszukiwaniu ksiąg, a nad znaleziskami pracował w pocie czoła sztab skrybów.

kobiet i niewolników, czyli w sumie ponad pół miliona. Żydzi zhellenizowali się błyskawicznie i już w drugim pokoleniu nie umieli przeczytać Biblii po hebrajsku.

Ptolemeusz II Filadelfos zaprosił do Aleksandrii 72 najznakomitszych rabinów, aby przetłumaczyli żydowskie księgi na język grecki. Legenda głosi, że każdy z nich zamknięty w osobnej celi na wyspie Faros miał 70 dni na przełożenie całości. Ptolemeusz porównał potem wszystkie wersje. Okazały się identyczne. Septuaginta była pierwszym przekładem Biblii na grecki i przyczyniła się do rozpowszechnienia Pisma Świętego wśród nie-Żydów.

Rolę Ptolemeusza I Zbawcy pragnie dzisiaj odegrać prezydent Egiptu Hosni Mubarak. Jego twarz z dobrotliwym uśmiechem, powielona w setkach tysięcy egzemplarzy i pięknie wyretuszowana, spogląda



FOT. JACQUES BERLIN

Juliusz Cezar w 48 roku p.n.e. podpalił własne okręty. Ogień wymknął się spod kontroli, strawił dzielnicę królewską i zbiory Wielkiej Biblioteki. Możliwe było tak, a może zupełnie inaczej

i upiększali ulice na własną modłę. Od czasu do czasu wybuchały krwawe zamieszki na tle narodowościowym i – coraz częściej – religijnym, ale na razie poganie wciąż mogli czcić Serapisa, a Żydzi chodzić do synagogi.

Evangelie przyniósł do miasta – wedle tradycji – sam św. Marek Apostoł i jego nauka spotkała się z dużym zainteresowaniem. Wkrótce zbudowano kościół dla wyznawców nowej religii, ale zaniepokojeni nagłym rozkwitem nowej sekty poganie przy pierwszej okazji zaatakowali kościół i rozerwali świętego na strzępy.

Po 300 latach role się odwróciły: chrześcijaństwo uznano za oficjalną religię państwową i nakazano likwidację pogańskich świątyń.

Wtedy patriarcha Teofil zaopatrzonego w cesarskie przyzwolenie poprowadził swoje owieczki po stu stopniach do górującej nad

miastem świątyni Serapisa. Oprócz boskich posągów mieściła się tam filia głównej biblioteki. Owieczki po drodze zmieniały się w stado rozjuszonych fanatyków. Kamienny gmach został dosłownie zrównany z ziemią, a pogańskie książki spalane w wielkich stosach na ulicach miasta około 1600 lat temu.

Ale historycy są niemal pewni, że w świątyni Serapisa była tylko część zbiorów Wielkiej Biblioteki, nie więcej niż 40 tysięcy zwojów.

Kiedy wódz Amr ibn al-As, który w roku 641 (19. roku hidzry) na czele wojsk arabskich po 14-miesięcznym oblężeniu wkroczył do Aleksandrii, był oszołomiony tym, co zobaczył: „Zająłem miasto, o którym mogę powiedzieć, że zawiera cztery tysiące pałaców, cztery tysiące łaźni, 400 teatrów, 12 tysięcy sprzedawców zieleniny i 40 tysięcy żydów płacących podatk” – pisał w liście do kalifa Omara. Nie omieszkał też zapytać władcy, co ma zrobić z tymi tysiącami zwo-

ciwnie. Starannie przetłumaczyli greckie księgi i czerpali z nich garściami. Tylko dzięki nim europejskie średniowiecze odzyskało wiedzę starożytnych.

Może więc pani Mubarak miała rację, rzucając oskarżenie na biskupa Teofila.

Historycy Wschodu i Zachodu są zgodni co do jednego: gwiazda Aleksandrii zgasła ostatecznie w XVI wieku, kiedy Egipt i miasto Iskandrija stały się częścią imperium otomańskiego.

Dzisiejsza Aleksandria nie powinna zatem rozczarowywać, nawet jeśli w niczym już nie przypomina białej chlamidy Aleksandra Wielkiego. Wygląda raczej jak obszarpany pasek od spodni rozciągnięty wzdłuż wybrzeża. Można tu znaleźć restauracje i hotele, ale pourywane resztki szyldów i plastikowe, poszarzałe ze starości stoliki bardziej odstraszaają, niż zapraszają. Im dalej od morza, tym gęstsze blokowiska, śmieci, kurz

centrum prasowego. Rozmowa z Thabetem ma w sobie coś z atmosfery kafkowskiej.

Wychodzimy na pusty plac Kultury przed Biblioteką. Naprzeciwno, w Centrum Kongresowym, odbywa się międzynarodowa konferencja architektów. Przewodniczy jej dyrektor biblioteki Ismail Serageldin.

– Wkrótce nastąpi wręczenie nagrody Fundacji Agi Khana – mówi Thabet uroczyscie. Dziwi go mój brak entuzjazmu dla tego wydarzenia.

– Nie wiesz? To taki Nobel w dziedzinie architektury islamskiej.

Czuję, że między nami otwiera się przepaść. Chyba cywilizacyjna. Nigdy nie słyszałam o takiej nagrodzie i nigdy nie dowiem się mnóstwa innych rzeczy, które wie Thabet. Jednego mogłabym się dowiedzieć, ale nie śmiem zapytać:

Gdzie jest wyspa?

Czy widział ją Napoleon, gdy wylądował w Aleksandrii ze swoim korpusem ekspedycyjnym w roku 1798? Nie miał zamiaru podbić Egiptu, chciał tylko popłatać szyki Brytyjczykom zdążającym tędy do Indii, a przypadkiem przyczynił się do powtórnego przywrócenia Aleksandrii Europie.

Napoleon wziął ze sobą 40 tysięcy żołnierzy i grupę naukowców, specjalistów od starożytności. Uczeń, gdy dotarli do miejsca zwanego niegdyś Aleksandrią, ze zdumienia szeroko otworzyli oczy. Oczekiwali wspaniałości, a zastali morze ruin i wysypisko śmieci, „którego ciszę zakłócało tylko miauczenie kotów”.

Opodał gnieździło się maleńkie i biedne pięcio- lub siedmiotysięczne arabskie miasteczko. Obok Arabów mieszkała tu grupa Żydów. Oni jedni przetrwali *ab urbe condita*. Synagogę zburzyli dopiero Francuzi.

Napoleon po zdobyciu, hm, Aleksandrii wygrał jeszcze bitwę pod piramidami, podczas której zasłynął prawdziwie ptolemejską troską o szacowne umysły. W chwili zagrożenia wydał rozkaz: „Formuj czworobok! Ośły i uczeni do środka!”.

Już wkrótce jednak admirał Horatio Nelson rozniósł w proch i pył francuskie okręty w bitwie pod Abu Kirem i przyszły cesarz Francji na zawsze zniknął z Aleksandrii.

Francuscy naukowcy ani myśleli iść w jego ślady. Bogactwo tutejszych starożytności odjęło im dech w piersiach, ale tylko na chwilę, bo zaraz rozpoczęła się bezpardonowa grabież.

W roku 1826 Aleksandria była jeszcze arabska: „Krzątania, zamieszanie w wąskich uliczkach, nieustannie zapchanych niezliczoną mnogością wielbłądów, mułów i osłów”. A już 20 lat później: „Jako miejsce na rezydencję nadaje się lepiej niż jakiekolwiek miasto w Egipcie, pod wieloma względami wytrzymuje porównanie z niektórymi portowymi miastami Włoch i Francji”.

Aleksandrii niewiele przeszkodził nawet otwarty w roku 1869 Kanał Sueski z Port Saidem i bombardowanie w 1882. W jego wyniku Anglicy przejęli kontrolę nad Egiptem, ale samej Aleksandrii nie zdołali opanować.

Pod koniec wieku była 300-tysięczną metropolią z własną wybieralną radą miejską, która formalnie podlegała władcy Egiptu, ale w rzeczywistości wywalczyła sobie niezależność. Zbudowano Corniche, stadion, gmach giełdy, zakładano ogrody publiczne; powstawały szpitale i hotele, wyposażano plaże i dbano o biedniejsze dzielnice. Rada miasta miała fundusze na teatry, przeglądy literackie, muzeum i prace archeologiczne. W przeddzień I wojny światowej zgłosiła kandydaturę 600-tysięcznej Aleksandrii na organizatora igrzysk olimpijskich.

Gdyby ta *prosperity* potrwała chwilę dłużej, Biblioteka Aleksandryjska – międzynarodowa, a przynajmniej europejska – odrodziłaby się zapewne w sposób naturalny.

Kosmopolityczna Aleksandria przetrwała – w lepszej czy gorszej kondycji – aż do II wojny. Pierwsi wyjechali Włosi, w roku 1940. Zaraz po wojnie Ormianie – do Związku Radzieckiego. Potem biedniejsi Żydzi, do utworzonego w 1948 Izraela. W 1956 po kryzysie sueskim wyrzucono z Egiptu Brytyjczyków, Francuzów i ostatnich Żydów. W 1961, po ogłoszeniu nacjonalizacji i reformy rolnej, wyjechali Grecy i ci Włosi, którzy zdążyli przyjechać po wojnie.

Aleksandria stała się miastem jednonarodowym i jednowyznaniowym. Wróciła do Arabskiej Republiki Egiptu. Razem z nią budowała socjalizm, fabryki, huty i bloki z wielkiej płyty. Do portu, *via* Gdańsk, wpływały transporty broni od wielkiego brata, a potem także węgiel z Katowic dla egipskich hut. Etap industrializacji zakończył się tradycyjnie: katastrofą gospodarczą, zadłużeniem i inflacją.

Z pomocą MFW kraj próbuje powoli wydobyć się z dna. Reformy – prywatyzacja przemysłu, banków, wspieranie rodzimego biznesu – zaczęły się mniej więcej w tym samym czasie co u nas. Jednak Egipt ma prawie 70 milionów mieszkańców i co roku o milion

więcej. 50 proc. nie umie czytać i pisać. Nigdy nie będzie im potrzebna Biblioteka Aleksandryjska.

Nabieram z wolna przekonania, że to komuniści w jakiś perfidny sposób unicestwili wyspę, ale jestem w błędzie. Ptolemejski Heptastadion, most prowadzący na Faros, rozrósł się szeroko przez kilkanaście wieków i wraz z wyspą utworzył solidny półwysep obśadzony domami.

Na wyspę, której już nie ma, jadę tramwajem, jedyną w pięciomilionowym mieście linią zbudowaną 150 lat temu. W miejscu latarni morskiej zniszczonej jakieś 800 lat temu przez trzęsienie ziemi stoi mamelucki fort odbudowany w roku 1984. Naprzeciwko fortu jest Muzeum Morskie, nieczynne. Ekspozycje pozdychały, bo zepsuły się urządzenia do wymiany wody w akwariach, a nie było za co kupić części zamiennych.

Do centrum wracam bryczką, a może dorózką, przyczepioną do zmartwychwstałej naszej szkapki. – Chudy ten pana koń – mówię. Dorożkarz kiwa głową i podnosi umówioną cenę o 100 proc., bo koń taki chudy. Po drodze bez pytania zajeżdża pod wszystkie napotkane meczety i wygłasza ich nazwy. W Aleksandrii jest 1819 meczetów. Wołałabym zobaczyć pałac Ptolemeusza, Museion, świątynię Serapisa albo chociaż grób Aleksandra. Nic z tego. Nie przetrwał najmniejszy materialny ślad po Ptolemeuszach.

Zrodzony w arabskim kraju pomysł odbudowy Wielkiej Biblioteki Ptolemeusza wywołuje poruszenie w Europie. Wśród członków honorowej rady znaleźli się wybitni przedstawiciele 20 krajów: laureaci Nagrody Nobla, artyści, działacze społeczni, pisarze. Europę reprezentują między innymi Umberto Eco, Jacques Attali oraz hiszpański historyk sztuki i archeolog Luis Monreal. Ich zadaniem będzie ogłoszenie światu nowiny o odrodzeniu wielkiej idei porozumienia ponad podziałami.

– Na uroczystość otwarcia przybędzie 35 królów i prezydentów, premierzy, ministrowie... – wylicza Thabet El-Barshoumy.

Fakt położenia kamienia węgielnego przez prezydenta Mubarakę odnotowały w roku 1989 wszystkie europejskie dzienniki. Aleksandryjczyk Eglal Errera napisał ze zdziwieniem: „Mówią, że nie będzie w niej książek. Ich miejsce zajmą mikrofilmy”. A jednak na ukrytych pod ziemią czterech piętrach magazynów może się zmieścić osiem milionów tomów.

– Do tej pory zgromadziliśmy 200 tysięcy – mówi Thabet.

– Czytałam, że 500.

– Może 500.

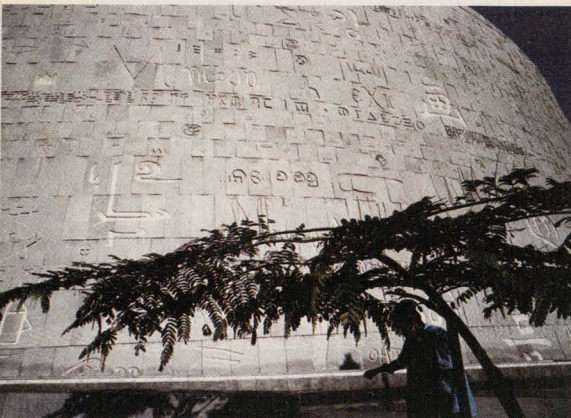
Thabet nie przywiązuje do tego większej wagi. Komu by się chciało liczyć?

Zresztą zdaniem pani Mubarak w czasach rewolucji informatycznej biblioteka nie musi gromadzić książek. Dzięki łączom internetowym będzie miała dostęp do najważniejszych instytucji świata, razem z Biblioteką Kongresu w Waszyngtonie (90 milionów tomów).

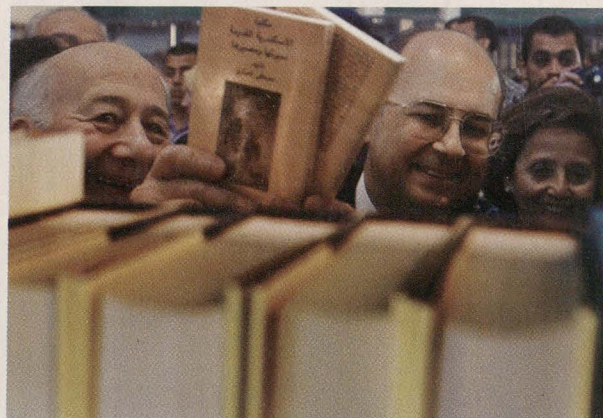
Wielka Biblioteka Ptolemeusza liczyła 500 tysięcy zwojów. A może 700.

Dzisiaj ich zawartość zmieściłaby się w 40 tysiącach niezbyt opasłych książek. Nie ma o co kruszyć kopii. I tak w nowej Bibliotece jest już więcej słów, niż było w dawnej.

Wyjeżdżam z Aleksandrii. Wokół dworca Sidi Gaber piętrzą się gęsto bloki z wielkiej



Litery wszystkich alfabetów świata zdobią mur nowej Biblioteki



Z prawej dyrektor Ismail Serageldin – człowiek renesansu

FOT. STEFANO DE LUIGI/CONTRASTO/EPIC PICTURES, AP

jów zapisanego papirusu, które znalazł w mieście.

– Te księgi – odpowiedział kalif – albo są niezgodne z Koranem, więc szkodliwe, albo zgodne, zatem niepotrzebne. Tak czy owak należy je spalić.

Zbiory Ptolemeusza posłużyły jako podpałka w łaźniach miejskich i wystarczyło ich na sześć miesięcy.

Również tę opowieść historycy wkładają między bajki, bo w tych czasach Biblioteki – jak twierdzą – dawno już nie było.

Tak więc podejrzani o zniszczenie dorobku cywilizacyjnego są i poganie, i chrześcijanie, i muzułmanie. Jedyne żydzi z całą pewnością nie maczali palców w tym procederze.

Pewne jest, że chrześcijanie na długie wieki odrzucili naukę pogańskich uczonych. A gdy wreszcie dojrżeli do tego, by uznać jej wartość, okazało się, że dysponują jedynie szczątkami. Arabowie – prze-

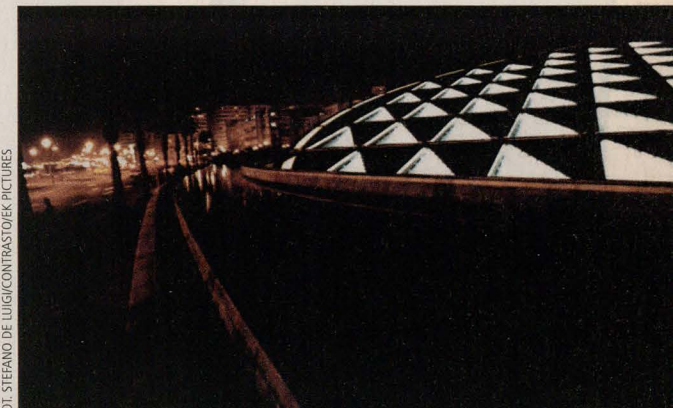
i ciasnota. Tylko ta niebywała ciasnota może tłumaczyć, jak w mieście, które wcale nie wygląda na wielkie, zdołało się upchnąć pięć milionów mieszkańców.

Czy nowa Biblioteka przywróci mu cokolwiek z dawnej świetności?

Na niespełna dwa miesiące przed uroczystym otwarciem można obejrzeć gabloty z arabskimi rękopisami, a nawet sprawdzić działanie krzesła. Wielopoziomowa czytelnia wsparta na kolumnach w kształcie kwiatu lotosu robi imponujące wrażenie. Książki nie są jeszcze dostępne. Pracuje 700 osób. Biurka pracowników – chociaż zarzucone stosami papierów – i tak wydają się dziwnie puste.

– Nie macie tutaj komputerów? – pyta zaskoczony Japończyk, fotograf, który przyjechał z Norwegii, by zrobić zdjęcia Biblioteki dla szwedzkiego pisma o architekturze.

– Oczywiście, że mamy – odpowiada z uśmiechem Thabet El-Barshoumy, prawa ręka szefa



Gwiazda Biblioteki nigdy nie gaśnie. W dzień szklany dach odbija promienie słoneczne, w nocy świeci wewnętrznym światłem

płyty. Chciałoby się płakać z żalu nad utraconą wyspą Faros, ale nie wypada, bo na dworzec odprowadza mnie wierny taksówkarz Medhat. Nadjeżdża pociąg. Medhat pisze coś szybko na kartce i wciska mi ją do ręki. To numer jego komórki.

– Zadzwoń, jak tylko dojedziesz do Bolanda! – woła.

„Aleksandryjczycy oczywiście rozumieli, że to wszystko słowa tylko i widowisko” – napisał kiedyś Grek Kawafis, Aleksandryjczyk.

MAGDA PAPUZIŃSKA

Korzystałam obficie z:

Barbara Tkaczow „Aleksandria – najjaśniejsza, najpiękniejsza, najświetniejsza”, KAW 1988,

Derek Adie Flower „The Shores of Wisdom”, Pharos Publications 1999, oraz z wielu innych książek. Polecam.



Bob Sundown, jego muł,
jego wóz, jego życie

Dawno temu w Ameryce

To będzie opowieść ostatniego kowboja
o minionych czasach, gdy rząd był sprawiedliwy,
a benzyna tańsza

TEKST I ZDJĘCIA KAROL JAŁOCHOWSKI

Nowy Meksyk. Podróżujący drogą stanową numer 25 nie zauważą prawdopodobnie żadnego z trzech mężczyzn, którzy spotkali się przypadkiem na pustyni w okolicach Socorro. Nie dojrzą Daniela Sirmansa, człowieka po sześćdziesiątce zniszczonego przez życie i astmę, Deana Waltona, jego rówieśnika, którego kolana od lat są na tyle sztywne, że kul musi używać do pokonania nawet kilku metrów. Nie zobaczą też 80-letniego Boba Sundowna, który, choć najstarszy z całej trójki, wciąż trzyma się prosto, a w rękach mógłby giąć podkowy.

Z odległości kilkuset metrów wielka szpula kabla telefonicznego, o którą stoją oparci, wygląda jak zgubiony na pustyni naparstek. Jeśli kierowca zjedzie z autostrady na wysokości San Antonio i dojedzie do jedynej w mieście kawiarni The Owl, oznaczać to będzie, że minął już niewielkie obozowisko, drewniany wóz zbudowany na podwoziu samochodowej przyczepy, psa i parę osłów, małą przyczepę na siano, dziesiątki desek, deseczek, sznurków, rzemyków, śrub i nakrętek. Oznaczać to będzie, że przeoczył na poboczu

drogi to, co wygląda jak dom Klapouchego, a jest domem Boba Sundowna. Powinien więc zawrócić i zatrzymać się tu, by wysłuchać kilku opowieści.

Dawniej byli geniusze, powie Daniel. Pojawiali się, znikali, lecz rodzili się nowi. Na pozór inni, lecz w istocie ci sami. Ożywali w kolejnych wcieleniach, gdy przychodził ich czas, gdy trzeba było pchnąć historię naprzód. Cudownym zbiegiem okoliczności powracał duch, ten sam, choć tchnięty w nowe ciała. 200 lat temu, w dniu, w którym podpisano konstytucję Stanów Zjednoczonych, ktoś większy od nas zetknął w tym samym czasie i miejscu kolejne wcielenia mędrców. Myślcie sobie, co chcecie, ale to musiał być cud, boska interwencja. Ten kraj nie powstał przez przypadek. Był w tym jakiś wyższy cel, powie Sirmans, lecz dziś nie ma już geniuszy, którzy by wiedzieli jaki.

Amerykanie jedli kiedyś dobrze. Pili dobrze. Po dniu wypełnionym uczciwą pracą wracali do domu, by położyć się spać, a ich sen, choć krótki, był głęboki i przynosił odpoczynek. Karne krowy



dawały zdrowe mleko, a dzikie konie pędzono przez Amerykę bez przeszkód i bez opłat. Kraj należał do nas, władza była sprawiedliwa, przypomni Dean Walton, a benzyna tańsza. Walczyliśmy o nasz kraj, a dziś nie można już wjechać do parku Yellowstone, bo rząd sprzedał go Chińczykom. Zapinają nas w pasy, zakazują palić.

Jest takie miasto na północy, przypomni sobie Bob Sundown, które słynie z ciast. Naprzeciwko baru, a jest to jedyny interes w mieście, znajdziecie park. 179 akrów, wszystko to za darmo, masz wodę, masz toalety. Prowadzi go Lester Petersen, dobry chłopak z piechoty morskiej, walczyliśmy razem na Pacyfiku. Obu nas ranili w tym samym czasie, zebrał garść medali, ja zebrałem garść. Spotykam go ostatnio. Poddaje się, mówi, nic już nie rozumiem z tego, co się w naszym kraju dzieje. Śmieje się z tego, Lester, mówię, po prostu się śmieję.

Jeszcze nie tak dawno w kraju jeździło nas kilku, powie Bob, przekrzykując osła, który ryczy jak opętany. Pamiętam jednego człowieka spod Santa Fe, Jenkins się nazywał. Nie jeździł długo. Drugi pochodził z Glenwood, ale nie warto o nim wspominać. Zagłodził dwa muły, a dwa inne utonęły przez niego, taki był tępy. Był jeszcze trzeci, Dzik Bill Wallace, tego znałem lepiej. W poprzednim życiu, zanim ruszył w drogę, prowadził sieć przystanków dla ciężarówek, ludzie mówią, że zarabiał miliony, ale pokłócił się ze współnikami i rzucił interes. Pojeździł może z 10 lat. Słyszałem,

Na wozie masz tyle wolności, ile da się z tego kraju wycisnąć. Kiedy jedziesz trzy mile na godzinę, mija cię historia

że osiedlił się gdzieś w okolicy Elephant Butte i słuch o nim zaginął.

Daniel Sirmans też znał Dzikiego Billa. W połowie lat 90. wspólnie przejechali Nowy Meksyk, Bill na wozie, Daniel za nim, samochodem. Amerykanie wciąż chcą więcej, mówił Wallace, kiedy wieczorem rozbijali obóz. Nie zadowalała się tym, co mają, a wszystkiego mają w nadmiarze. Wkładają się w przedmioty, które później wyrzucają na śmietnik, a byłby z nich jeszcze pożytek. Zagarniają ziemię, wodę i su-

rowce, których musi przecież kiedyś zabraknąć. Ten naród jest nienasycony, mówił Dzik Bill, który podobnie jak Bob żył z datków życzliwych ludzi, a że wyglądał jak Święty Mikołaj, na biedę nie narzekał. Po kilku latach w drodze tak przytył, że nie mieścił się we własnym wozie, śmieje się Sundown.

Zostałem więc tylko ja, podsumuje Bob, najstarszy z całej paczki, ostatni kowboj Ameryki. 41 lat spędziłem na wozie i jedno wam powiem: dobry Boże, widziałem w swoim życiu najgłupsze rzeczy, o jakich możecie pomyśleć.

Wielki kryzys zaskoczył rodzinę Roberta Sundowna w Idaho krótko po tym, jak 10-letni Bob wygonił ojca pogrzebaczem. Matka, jedna z kilkunastu siostrzenic Josepha, największego wodza Indian Nez Perce, którego prezydent Ulysses Grant przepędził przez pół kraju do Kanady, nie była w stanie utrzymać domu i dwóch synów. Brat uczył się na drwala, Bob wybrał konie, bo drwale pili na umór, a on miał słabą głowę. Było ciężko, powie Sundown, latem w Teksasie placki piekłem w słońcu na kamieniu. Zarabiałem siedem dolarów miesięcznie, z czego sześć wysyłałem matce, ale nie narzekałem, widziałem w siodła cały kraj. Byłem najmłodszy w towarzystwie, więc kiedy raz w miesiącu, po wypłacie, starsi jechali zabawić się w mieście, jechałem z nimi w roli opiekunki. Płacili mi parę centów, żeby już po sprawie załadować ich pijane mordy na konia i dostarczyć do domu. Sadzałem na siodle, ręce i nogi wiązałem

pod końskim brzuchem i dawał przez największe krzaki. To były piękne czasy.

Kiedy Ameryka poszła na wojnę, Sundown przeszedł z nią cały Pacyfik. Służył też w Korei. Dostał siedem razy, dwa medale i zanim stracił lewe oko, zobaczył wszystko to, o czym chciałby zapomnieć. Pamiętam wszystkie te biedne koreańskie matki i dzieci, opowie Sundown. Dziewczynki, które biegły do żołnierzy i rozkładały ręce, prosiły o pomoc, a nasi amerykań-



Od lewej: Dean Walton, Bob Sundown i Daniel Sirmans

scy chłopcy rozcinali je wpół. Kogo to dzisiaj obchodzi?

Po 20 latach służby wojskowej Bob wrócił do kraju, którego nie znał. W Ameryce rząd rósł w siłę, a wokół panowała antykomunistyczna gorączka. Senator McCarthy grzmiał z trybuny, że wysocy urzędnicy w rządzie prowadzą kraj ku katastrofie, przestrzegał przed spiskiem na skalę niespotykaną wcześniej w dziejach ludzkości. Wystarczyło, by ktoś z drużyny senatora wskazał na ciebie palcem, powie Sirmans, a twoje życie waliło się w gruzy. Straciłem w ten sposób kilku przyjaciół, zwykłych ludzi. Mam przed oczami obraz profesora Hilbiego, który nago tańczy nocą na plaży w Meksyku. Fizyk, miał perspektywy, ale zwariował.

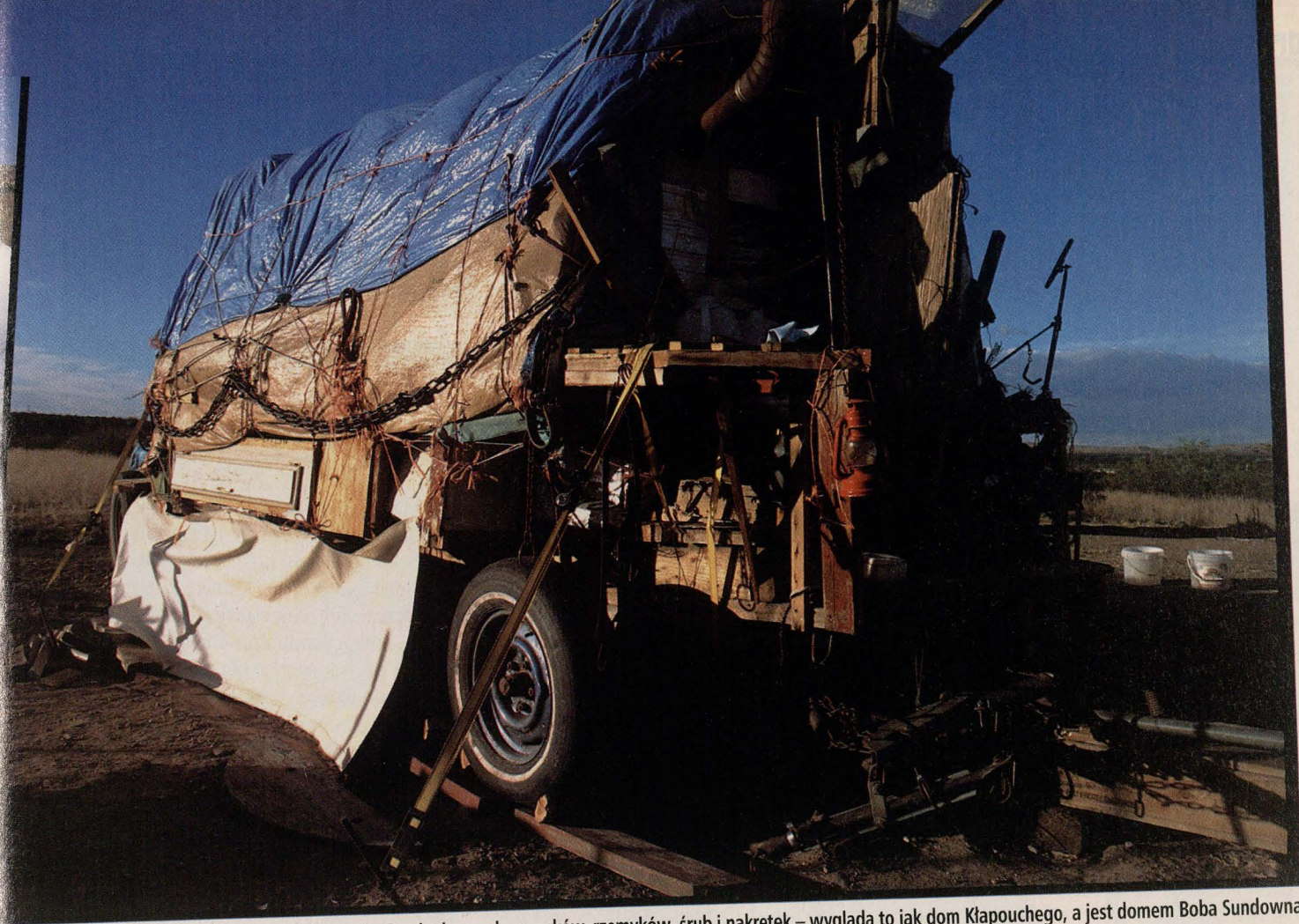
Było coraz gorzej. Koszty utrzymania wzrosły, potomkowie pierwszych osadników pozbywali się ojcowizny i przenosili do miast. Nic dziwnego, za ziemię wartą sto lub dwieście dolarów rząd płacił tysiąc. Od tej pory nie można już było bezkarnie kraść drzewa z państwowego lasu. Samowystarczalność wyszła z mody, ale Sundown nie przyjął tego do wiadomości. Zanim zaarrestowali mój ciągnik, 173 razy wyjechałem z naczepą pełną drewna z lasów wokół Flagstaff w Arizonie, pochwalili się Bob. Ciąłem więc w prywatnych lasach aż do chwili, kiedy zagrozili, że zastrzelą mi żonę. Opuściłem.

Żona Boba Mary. Pochodziła z tego małego kraju na granicy między Francją i Hiszpanią, powie Sundown. W czasie wojny jego mieszkańcy skakali ze skały na skałę jak kozice i przechytzyli Niemców. Zaraz

po wojnie przyjechała tutaj, bo w tamtych czasach Ameryka była jak nowe życie i nadzieja. Ja skończyłem służbę, spłaciłem swój dług wobec państwa, wtedy się pobraliśmy. Dorobiliśmy się domu i trzech córek. Miały trzy, siedem i trzynaście lat, kiedy zginęła. Niedaleko stąd, na szosie w północnej Arizonie.

Miałem 40 lat i nic wspólnego z tym krajem, powie Sundown. Ziemię zapisałem dzieciom, a samochód wymieniłem na zaprzęg i cztery muły. Tych letnich wakacji nie spędzimy w domu, powiedział córkom pewnego dnia, niech każdy nowy dzień będzie przygodą. Ruszyli we czwórkę w podróż bez celu. Mapy Bob nie potrzebował, kraj znał przecież jak własną kieszeń. Tego roku dzieci nie wróciły do szkoły. Dopiero następnej jesieni ojciec oddał dziewczynki pod opiekę rodziny i sam ponownie ruszył w drogę. Nigdy nie żałował swojego wyboru. Dzik Bill Wallace powiedział mi kiedyś, doda Sundown, że jeżdżąc w zaprzęgu, miał prawdopodobnie tyle wolności, ile da się z tego cholernego kraju wycisnąć. Kiedy jedziesz swoje trzy mile na godzinę, mija cię historia.

Rookie Howard, nowy w policji stanowej, zatrzymuje mnie kiedyś na autostradzie. Może byś tak usunął to z drogi, mówi o moim wozie. A może to ty byś się usunął, odpowiadam. Spojrzał na mnie jakos tak dziwnie. Próbuje być sprytny, zapytał. Synku, ja do niego, jestem od ciebie dużo sprytniejszy. Kiedy tylko taki jak on dostaje posadę rządową, wyjaśni Bob, zaczyna



Dziesiątki desek, deseczek, sznurków, rzemyków, śrub i nakrętek – wygląda to jak dom Klapouchego, a jest domem Boba Sundowna

zachowywać się jak komunista. W przeciwnym wypadku wylatuje z pracy. Ale ich polityka strachu nie działa na takich jak ja.

Tak czy owak, podsumuje Sundown, dziś zna mnie już prawie każdy z chłopców, którzy patrolują autostradę. Przyjeżdżają nawet czasem z dziećmi. Mówią wtedy, że babiliby się żyć jak ja. Pytam ich dlaczego, a oni odpowiadają, że chyba by nie potrafili. Skąd możecie wiedzieć, mówię, jeśli nigdy nie próbowaliście?

Pamiętam pewną śnieżną zamięć dwa miesiące temu, opowie Bob Sundown. Patrę i widzę dwie młode Meksykanki, jedna z małym dzieckiem. Idą przez pole, przez śnieg, a śniegu było po kolana. Na nogach sandały, a na sobie tyle z ubrania, że z trudem ogrzałyby kanarka. Złapały okazję, gdzieś między granicą a El Paso, oddały kierowcy wszystko, co miały, ale on rozmyślił się w pół drogi. Chcę więcej, powiedział, ale one pieniądze już nie miały. Znalazłem w wozie ubranie, które przynieśli ludzie, znalazłem buty i 20 dolarów. Dałem im to wszystko. Bierzcie, powiedzia-

łem, niewiele tego, lecz to wszystko, co mam. Tydzień później jedna z nich wraca. Uratował pan nam życie, mówi. Chciała oddać więcej, powiedziałem nie. Obie znalazły pracę i mają się dobrze. Do życia trzeba tak niewiele.

Najstarszy kowboj Ameryki zostanie w San Antonio aż do chwili, gdy pod koniec maja zakwitnie drzewo *mesquite* rosnące obok obozowiska. Jest lepsze niż prognoza pogody w telewizji, wyjaśni Bob, który na północ może posuwać się tylko tak szybko, jak rośnie trawa dla jego mułów. To szczęście móc jechać powoli, powie. Pamiętam, że kiedy jechałem do Springerville, wiadomość o mnie trafiła do miasta szybciej niż mój zaprzęg. Stary Bob Sundown będzie w mieście za cztery dni, pisali w miejscowej gazecie. Czekali na mnie, i to było całkiem miłe.

Sundown mógłby pojechać jeszcze raz tam, gdzie młodzi kłaniali się kiedyś starszym i nie przeklinali. Nie pili, nie palili, nie oglądali nawet telewizji. Matki wysyłały swoich synów za ocean, by nabierali wie-

dzy i doświadczenia, którego można nabyć wyłącznie w podróży. Córki bez sprzeciwu wychodziły za starszych od siebie mężczyzn, by zajmować się nimi, dziećmi i domem. W tym kraju rzeki były czyste i pełne ryb, osady pełne życzliwych mieszkańców, a bezpieczne miasta utrzymane w nienagannym porządku. Wciąż mówią tam do mnie: dziadku, powie Sundown, a kiedy kończą się moje zapasy, zawsze zjawia się ktoś z pomocą. Mówiąc krótko, Bob mógłby ruszyć do Utah.

W Utah, w mieście zwanym Clearwater, żyje mój przyjaciel, powie Sundown. Ma duży murowany dom, największy w mieście, elegancki jak cholera, w nim 27 żon i ze cztery tuziny dzieci. Wśród nich czułem się jak król. To dlatego, że mormoni mają coś, zastanowi się Sundown, co my dawno już straciliśmy. Rodziny. Ale wiecie, doda zaraz, chyba już tam nie pojedę. Pytam ostatnio jedną z córek tego przyjaciela, pytam małą, kiedy wyjdzie za mąż. Nie wiem, mówi ona, znikam, kiedy tylko będę większa, mam gdzieś całe to mormońskie gówno.

Bob Sundown machnie ręką na ludzi, na życie, na muchy, które na pustyni gryzą najzjadlej tuż przed zmrokiem. Nie chcę więcej na to patrzeć, powie. Ludzie pytają mnie czasem, czy jestem Amerykaninem, a ja nie wiem już, co może znaczyć to dziwne słowo, z którego kiedyś tak bardzo byliśmy dumni. Czas umierać, panowie. Jest takie miejsce w Wyoming, gdzie się wychowałem i przez lata pracowałem. Moje ulubione. Otwarte przestrzenie, żadnych ludzkich osad. Masz dużo wody, jeśli wiesz, gdzie jej szukać, z głodu też nie zginiesz. Syty czy o pustym brzuchu, pojedę tam wkrótce. Położę się w trawie i umrę, Bob zakończy rozmowę.

Mężczyźni podadzą sobie kolejno dłonie i rozjadą się do domów. Daniel Sirmans ruszy do Arizony, Dean Walton skieruje się na północ stanu. Bob Sundown zapali lampę naftową wiszącą przed wejściem do wozu. Przed snem zajrzy jeszcze do zwierząt.

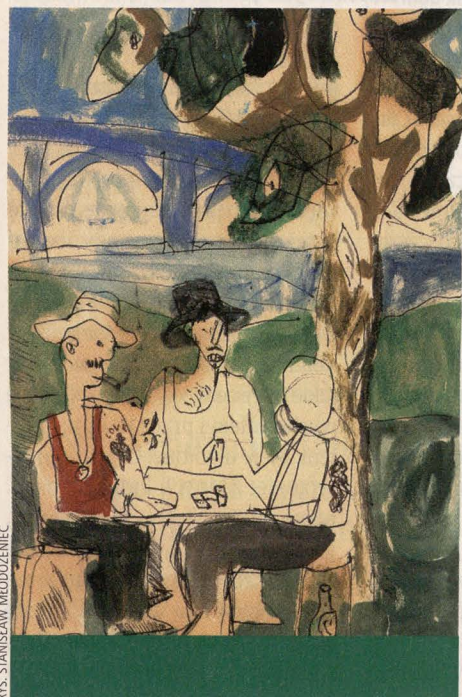
KAROL JAŁOCHOWSKI

Święta w Patistanie

JACEK PODSIADŁO

Na Wielkanoc dobrze jest wyrwać się z domu do jakiegoś ustronia. Dawniej próbowałem na ogół przetrwać święta w górach z Konopem, ostatnio wyjeżdżamy gdzieś rowerami ze Śliwą i Patisonem. Jak marsze wielkanocne, mam już swoją tradycję. Skoro nie można przeżywać wyłącznie pierwszych razów, należy uznać, że tradycja jest dobra, tak myślę.

Przybiliśmy zatem do Patistanu. Wiejska chałupa Patisona na Przedgórzu i pięć akrów nieogrodzonej ziemi. Ponieważ zabrakło alkoholu i taśm do kamery, drugi dzień świąt umiłam sobie pisaninę. Całe szczęście, że zapasy alkoholu i taśm się wyczerpały, bo mogliśmy



RYŚ: STANISŁAW MODCZENIEC

źle skończyć. Nakręciliśmy już wszystkie możliwe filmy, wśród nich takie hity jak „Baran Kapitanowski na Wyspie Szkrabów” i „Dzikie hordy moczomordów” (przyg., od l. 15), społeczno-obyczajowy dramat „Działacz nawalony” oraz western „Biją brawo” (moja słynna scena padaczki w kapeluszu Matki Patisona i z koltem z osłony łańcucha). Na szczęście ka-

mera ma funkcję odtwarzania. W ten piękny, słoneczny poranek możemy już tylko oglądać własne dzieła, wściubiając oko w okular kamery i wygłaszając krytyczne monologi. Wygląda przy tym człowiek jak mikrobiolog obserwujący w głębinach mikroskopu wewnętrzne światy dalekich drobnoustrojów. „O, pokazałeś fatera i zasnąłeś” – dziwi się Patison. „O, moje buty... O, Śliwa śpi... Zaraz, kto to w takim razie filmował?!” X Muza odśpiewa przed nami swe przepastne wdzięki.

Chcę zaznaczyć, że piszę, siedząc na drzewie. Patison zrobił swoim chłopakom nadzwyczajne legowisko na starej, przysiętej jabłoni. Lubię tu przesiadywać. Jestem wtedy Emmim z „Mówiącego dębu”, dziećmi kapitana Granta w koronie baobabu, angielskimi obrońcami lasów i samym sobą sprzed 30 lat. Więc kiedy Patisonowi coś się nie podoba, mówię mi po prostu: „Na drzewo”. Jedna trzecia filmów, które nakręciliśmy, rozgrywa się, co zrozumiałe, na drzewie. Śliwa wypelznął z chaty i grzeje się na ganku jak zaskroniec. Przymknął oczy i pewnie rozpamiętuje swoje genialne filmy. Gdy ja preferuję kino akcji, on jest reprezentantem kina moralnego niepokoju. Lubi położyć się na podłodze, ustawić kamerę naprzeciwko twarzy i filmować. Potrafi tak leżeć kwadrans bez ruchu. Powstałe w ten sposób filmy są naprawdę niepokojące. Żadnych pościgów. Ani jednego strzału. Tylko niepokój i niepokój.

Skoro głupi Amerykanie stworzyli kino drogi, dlaczego Śliwa nie miałaby stworzyć kina postoiu? Stworzył je, błyskawicznie doprowadził do rozkwitu, a potem do upadku. Wszystko to w ciągu trzech dni. Mam wielki szacunek dla filmów Śliwy i znajduję u niego wzajemność. Rano powiedział mi, że urodziłem się z ręką w kamerze. Nasze poranne przejęzyczenia nie są chyba freudowskie.

Znaleźliśmy w drewnianej piłce nożnej chłopaków Patisona i zagraliśmy dziwny mecz. Nasze okrzyki wlatywały i wybiły okna cisy, które zaraz od nowa zarastały szklą. Dlaczego mecz był dziwny? Bo chałupa Patisona stoi na zboczach góry.

Z tego wszystkiego podjęliśmy ekspedycję terenoznawczo-badawczą, która odkryła ślady

życia we wsi położonej u stóp naszej góry. Zjechaliśmy tam na rowerach. Widzieliśmy kobietę obchodzącą swe pole z niebieską bańką na mleko i kropidłem. Kobieta kropiła wodą – przypuszczam, że święconą – granice swoich upraw. Potem dwukrotnie odparliśmy atak tubylców uzbrojonych w butelki i kubły wody. Ślady życia we wsi skupiały się w rejonie knajpy Pod Świerkami. Zamówiliśmy po piwie, zawariliśmy przyjaźń z autochtonami. Mieli w swych szeregach kopię Shane’a MacGowana oraz gitarę z pękniętym pudłem rezonansowym, na której nikt nie umiał grać. Ponieważ na kołkach służących do naciągania strun brakowało uchwyty, stroiło się ją widelcem. Śliwa coś tam pobrzdał, ale ponieważ nie umiał zagrać ani „Poznałem go po czarnym kapeluszu”, ani „Tylko sztuka liczy się, a nie biografia”, gitara szybko wróciła do rąk zdziwionych tubylców. Kiedy jeden z nich zaproponował Śliwie swoją siostrę, a kopia Shane’a MacGowana oburzyła się, że już od dwóch lat czeka na jej udostępnienie, uznaliśmy, że pora wycofać się na naszą górę. Pożegnaniom i uściskom nie było końca.

W gruncie rzeczy pragnę tylko napisać coś o naturze leniuchowania, o pożytkach z niego płynących. O tym, że przyjemnie jest wylegiwać się na drzewie jak leniwiec. Wyjadać ze słoika domowe konfitury jabłkowo-bzowe. Leżeć w trawie jak legawiec. Rano patrzeć, jak słońce uruchamia odbłaski na liściach dzikiego szczawiu, a wieczorem piec ziemniaki w ognisku i pleść banialuki. Raz dziennie jechać rowerem do telefonu i rozmawiać z synem. Słuchać ptaków. Leżeć w śpiworze i znowu słuchać ptaków. Robota to głupota. Jasne, że dobrze jest zmyć statki raz na tydzień, posiać kalarepę albo narznąć drzewa, ale jeździć dzień w dzień wózkami widłowym po jakiejś zwariowanej kopalni w Zabrze? Obstawiam, że długo jeszcze będzie nam się ze Śliwą udawało omijać wszelkie kopalnie z daleka. Od wieków tylko módl się i pracuj, módl się i pracuj. Oratoria i laboratoria, paranoja. Ci wszyscy prezydenci, co wywołują wojny, to też z przepracowania. Gdybym ja był głową państwa, jego godło stanowiłby hamak. ■

Wykonała firma Baran i Kismietow

Rebus Humanistyczny

1 M	2 ANKA=EJ	3 K=M	4 B=L K	5 Ł=M
6 OG=MN Ń=J	7 H ₂ O W A	8 Z ₁ Z ₂ =H	9 L	10 T A=E

BLAISE CENDRARS

Wielkanoc w Nowym Jorku

w przekładzie
ADAMA WAŻYKA

*Flete ramos, arbor alta, fensa laxa viscera
Et rigor lentescat ille quem dedit nativitas
Ut superni membra regis miti tendas stipite...*

FORTUNAT, Crux fidelis*

Panie, dziś oto jest dzień twojej Męki,
Wyczytałem jej dzieje z pewnej starej księgi,

Twój niepokój i trudy, twoje słowa dobre,
Łkające w księdze słowa monotonne.

Mnich z dawnych czasów mówi mi o twojej śmierci.
On pobożnie złotymi literami kreślił

Twój żywot we mszale opartym o kolana.
Natchnienie mając w Tobie, pracował od rana.

W cieniu ołtarza bezpieczny siedział w bieli,
Wolno pracował od poniedziałku do niedzieli.

Godziny przystawały na progu zacisza.
On, pochylony nad dziełem, prawie nic nie słyszał.

Na nieszpór dobiegało dzwonów psalmowanie
I braciszek nie wiedział, co tak dźwięczy, Panie,

Jego czy twoja miłość, czy może twój Ojciec
Do wrót klasztornych potężnie łomoc.

Dziś jestem jak ten dobry mniszek, jestem niespokojny.
Za ścianą smutny, milczący ktoś stoi,

Czeka pod drzwiami, czeka na zaproszenie do izby!
To Ty, to Bóg, to ja – to Wiekuisty.

Nie znałem Ciebie wtedy ani teraz Cię nie znam.
Kiedy byłem dzieckiem, nie odmawiałem pacierza.

Dziś myślę o Tobie z lękiem, gdy wieczór się zbliża.
Moja dusza jest wdową w żałobie u stóp twego Krzyża.

Moja dusza jest wdową w czerni, to jest Matka twoja
Bez łez i bez nadziei, jak ją Carriere malował.

Znam wszystkich Chrystusów, co po muzeach wiszą,
Ale w ten wieczór, Panie, idziesz przy mnie ulicą.

Zgarbiony, ze ściśniętym sercem i w gorączce
W rejonny miejskich nizin wielkim krokiem schodzę.

Twój bok otwarty świeci jak słońce ogromne
I wokół migotają iskrami twoje dłonie.

Szyby okienne w domach są jak gdyby krwawe
I za nimi kobiety są jak kwiaty krwawe,

Zwarzone orchidee, niedobre dziwne kwiaty,
Kielichy obrócone do trzech twych ran otwartych.

Krew twoją zebrawszy, nigdy jej nie piły.
Mają czerwień na wargach i koronki z tyłu.

Kwiaty pasyjne są białe jak gromnice,
są to najśodsze kwiaty z Ogrodu Dziewicy.

O tej właśnie porze, o dziewiątej godzinie,
Głowę swoją, Panie, na serce skłoniłeś.

Siedzę nad brzegiem oceanu
I wspominam kantyczkę po niemiecku śpiewaną,

Gdzie są bardzo łagodne, proste i bardzo czyste obrazy,
Mówiące o pięknie twojej umęczonej Twarzy.

Tę samą Twarz widziałem pod kotarą w Sienie,
Na murze, kiedy zszedłem w kościelne podziemie.

U Świętego Władysława była w ermitażu,
Wyryta w złocie na starym relikwiarzu.

Mętne kamienie zastępują jej oczy,
I chłopci na klęczkach całują twoje oczy.

Na chustce Weroniki ta Twarz jest odcisnięta,
Dlatego Weronika jest to twoja święta.

Relikwia ta nadaje się do obnoszenia,
Uzdrowia wszystkich chorych, złośliwych przemienia.

Tysiąc i tysiąc innych jeszcze cudów czyni,
Lecz mnie się nie zdarzyło być obecnym przy nich.

Może wiary mi braknie i dobroci, Panie,
Aby twojego Piękna dojrzeć promieniowanie.

A jednak puściłem się w podróż niebezpieczną,
By oglądać żłobioną w berylu Twarz twoją wieczną,

Kiedy twarz kryję w dłoniach, spraw, aby na rękach
Została maska niepokoju, która mnie nęka.

Kiedy dłonie na ustach mych kładę, spraw, Panie,
Niech piana dzikiej rozpacz na nich nie postanie.

Jestem smutny i chory; może to przez Ciebie;
Może przez kogo innego, a może przez Ciebie.

Panie, tłumy ubogich nocują tutaj w gospodach,
Cierpiecieś za nich, a oto leżą słoczeni jak trzoda.

Ogromne czarne statki płyną od horyzontów,
Na ląd ich wyrzucają po mostach z pontonów.

Są Włosi, Grecy, Persowie, Hiszpanie,
Są Mongołowie, Bułgarzy, Rosjanie.

Jak zwierzęta cyrkowe skaczą przez południki.
Z czarnych ochłapów mięsa ktoś im rzuca posiłki.

Szczęściem są dla nich najpodlejsze porcje.
Panie, spójrz litościwie na ludy cierpiące.

Panie, po gettach tłum Żydów się mrowi
I z Polski ciągle napływają nowi.

Pod mosiężnymi lampami w ciasnych kramach siedzą,
Handlują żelazem, książkami i starą odzieżą.

Takimi Rembrandt malował ich z troską.
Ja dziś wieczorem sprzedawałem mikroskop.

* Wysokie drzewo, optakawszy liście i rozluźnione wyciągnawszy konary, porzuci zdrętwienie, które dała mu natura, gdy członki najwyższego Króla rozciągną się na łagodnym drzewie.

FORTUNAT, Wierny męczennik (przyp. red. „P”)

Niestety! Po Wielkanocy Ciebie tu będzie brak nam!
Panie, ulituj się nad Żydami w barakach.

Panie, skromne kobiety, które na Golgocie były przy Tobie,
Kryją się w norach. Na plugawej sofie

Brukane są przez nędzę wśród męskiego tłumu.
Spirytus zjadł ich siły i w oparach rumu

Skrywają zatwardziałe skłonności do grzechu.
Panie, gdy któraś gada, odchodzę w pośpiechu.

Chciałbym być z Tobą, by kochać prostytutki.
Panie, spójrz litościwie na prostytutki.

Panie, w tej dzielnicy wielu się złodziei,
Paserów, włóczęgów i hultajów gnieździ.

Myślę o dwóch łotrzykach ukrzyżowanych z Tobą.
Wiem, żeś się raczył uzalić nad ich niedolą.

Jeden chciał sznura z pętłą i nie dostał, Panie.
Dwadzieścia sous trza płacić, sznury nie są tanie.

Rezonował jak filozof ten stary bandyta.
Dałem mu opium, niechaj o raj się czym prędzej dopyta.

Myślę również o muzykantach grających przed szynkiem,
O ślepym skrzypku, o jednorękim, co kręci katarynkę,

O śpiewaczce w słomkowym kapeluszu z papierową różyczką;
Przez wieczność wędrować będą ze śpiewem i muzyczką.

Panie, który im dajesz jałmużnę gazowego światła,
Panie, daj im jałmużnę w pieniądzach tego świata.

Zasłona się rozdarła, gdyś ducha wyzionął,
Ale nikt nie powiedział, co tam zobaczono.

Ulica jest jak rozdarcie dojrzone po ciemku,
Pełne złota i krwi, ognia i obierków.

Ci, których wypędziłeś biczem z kościoła,
Różgami występków chłostają przechodnia.

Gwiazda, co zniknęła znad tabernakulum,
Płonie na murach w krzykliwych światłach spektaklów,

Panie, bank oświetlony wygląda jak szkatuła,
Gdzie po śmierci zastygła Krew twoja czuła.

Ulice pustoszeją i stają się czarne.
Jak pijany zachwiałem się nad trotuarem.

Boję się cieni od fasad. Leżą jak wielkie kłody.
Boję się. Ktoś idzie za mną. Nie odwróć głowy.

Coraz to bliżej słyszę kroki rozhukane.
Boję się. W głowie zamęt. Umyslnie przystanę.

To drab jakiś okropny przeszył mnie jak ostrzem,
Złowrogim mnie spojrzaniem przeszył, potem odszedł.

Nic się nie zmieniło, Panie, odkąd przestałeś być Królem.
Zły duch się twoim Krzyżem podpira jak kosturem.

Schodzę do herbaciarni po spadzistych schodkach
I oto siedzę przed szklanką herbaty.

Chińczycy uśmiechają się do mnie plecami,
Przystają pochyleni, uprzejmi jak figurki.

Lokalik jest nieduży, czerwono tynkowany
I barwne litografie są oprawione w bambus.

Ho-Kusai namalował górę w stu ujęciach.
Jak by twoje Oblicze namalował Chińczyk?

Uśmiechnąłem się zrazu, gdy pomyślał o tem.
Jakby w skrócie ujrzałem, Panie, twą Golgotę.

Lecz ów malarz okrutniej by w swoich obrazach
Niż malarze Zachodu męki twe ukazał.

Ciało by krajały wyginane piły,
Obcęgi i grzęple w nerwy by się wpiły.

Żelaznym kołem łamano by łokcie,
Wrywano by zęby i paznokcie.

Gromada czarnych smoków byłaby Cię opadła
I płomienie oddechem włączałyby do gardła,

Wyszarpnięto by język, wyłupiono oczy,
Na kół by Cię wbito i tłum by Cię otoczył.

Najgorszą tedy hańbę byłbyś cierpieć, Panie,
Ta pozycja okrutna jest nad porównanie.

Potem by Cię rzucono wieprzom do koryta,
Ażeby pożarły twój brzuch i jelita.

Zostałem teraz sam, inni poszli na miasto,
Wyciągnąłem się oto na ławce pod murem.

Chciałem wejść, Panie, do pobliskiego kościoła,
Lecz nie ma, Panie, dzwonów, nie ma ich w tym mieście.

Myślę o zamkniętych dzwonach: gdzie są dawne dzwony?
Gdzie są litanie, gdzie słodkie antyfony?

Gdzie długie nabożeństwa i piękne kantyki?
Gdzie są liturgie, gdzie są muzyki?

Gdzie są dumni prałaci, gdzie są twoje ksienie?
Gdzie biała alba, świętych sakralne odzienie?

Radość niebiańska w prochu się tarza,
Ognie mistyczne nie lśnią na witrażach.

Świt się jeszcze ociaga, w ciasnym pokoiku
Ukrzyżowane cienie konają na tynku.

Jest to nocna Golgota, co w lustrze się mieni,
Na czarnym tle migocąc strugami czerwieni.

I dym u lampy jest jak wypłowiła szmata,
Co skręcona dokoła twych bioder się spleta.

A górą biała lampa, co nad stołem zwisa,
Jest jak Twarz twoja smutna, martwa i bezkrwista.

Niezwykłe jakieś błyski na szybach pokutują...
Lękam się, smucę się, Panie, że jest mi tak smutno.

Dic nobis, Maria, quid vidisti in via?
– Światło porankowe drżące w kornym pokłonie.

Dic nobis, Maria, quid vidisti in via?
– Jaśnienia gwałtowne dygocące jak dłonie.

Dic nobis, Maria, quid vidisti in via?
– Pierwsze znaki wiosny drgające w moim łonie.

Panie, już się odwinął zimny całun świtu,
Drapacze chmur obnażył u samego szczytu.

Już po mieście rozpętał się hałas szalony,
Wybiegają, stukoczą, defilują wagony.

Kolej podziemna pędzi i huczy w głębinach,
Już mostami wstrząsają pociągi na szynach.

Miasto drży. Ognie, dymy, krzyki niemilkące,
Już parowe syreny wyją jak w nagonce.

Tłum rozgorączkowany, trudząc się dla złota,
Wpada gdzieś w korytarze, tłoczy się i miota.

Śród kłębowiska dachów, które w dymie giną,
Słońce to twoja Twarz obryzgana płwociną.

Panie, wracam zmęczony, sam i bardzo mroczny,
Mój pokój jest goły jak grób.

Panie, jestem zupełnie sam i mam gorączkę,
Moje łóżko jest zimne jak trumna.

Panie, zamykam oczy i dzwonię zębami.
Jestem tu zbyt samotny. Marznę. Wołam Ciebie...

I sto tysięcy bączków wiruje mi w oczach.
Nie, sto tysięcy kobiet. Nie, to wiolonczele...

Myślę, Panie, o moich godzinach nieszczęśliwych,
Myślę, Panie, o moich godzinach załatanych...

Nie myślę już o Tobie. Nie myślę już o Tobie.

Nowy Jork, kwiecień 1912

Blaise Cendrars (1887–1961) przemierzył niemal cały świat. Bywał kupcem, medykem, pszczelarzem, przemysłowcem, żołnierzem, cyrkowym żonglerem, palaczem okrętowym i filmowcem. Ale przede wszystkim był poetą i pisarzem, jednym z wielkich nowatorów XX-wiecznej literatury francuskiej. Poemat „Wielkanoc w Nowym Jorku” inspirowany średniowieczną poezją łacińską napisał w ciągu jednej nocy, w nędznym nowojorskim hotelu, po całym dniu błakania się bez grosza po ulicach miasta.

Ile wróżb,

MAGDALENA WEJROCH

Każda z 19 wrózek miała inny numer telefonu i inny - fikcyjny - adres. Wszystkie miały to samo ciało



tyle gróźb

Twoja córka umrze od dawki narkotyków, a ty na nieuleczalnego raka

Cała twoja rodzina wymrze, nawet krowy i owce w oborze

Wokół twojej rodziny jest negatywna aura. Twój syn zginie w wypadku

Repertuar pogrózek nie należał ani do wyszukanych, ani do specjalnie oryginalnych. Ważne, że był skuteczny. I że w ciągu zaledwie czterech lat przyniósł całkiem przyzwoity dochód: około stu miliardów lirów, ponad 50 milionów euro.

Fosca Marcon ma 71 lat, jest sympatyczną i zadbaną emerytką z Mediolanu. W telewizji prezentuje się bardzo dobrze, nie onieśmielają jej nagły rozgłos, kamery, wywiady. Gości w styczniowych wydaniach głównych programów telewizji włoskiej, w *talk-show*, w gazetach.

Fosca Marcon chciała wygrać w Lotto. Kto by nie chciał? W prasie i w telewizji aż roi się od ogłoszeń wrózek i magów, którzy za niewygórowaną opłatą dostarczają „pewne” numery. Największą sławą wśród loteryjnych wrózek była od lat Wanna Marchi, wspomagana przez swą córkę Stefanię oraz przez brazylijskiego Murzyna, ufarbowanego na blond Mario Pacheco do Nascimiento występującego pod malowniczym pseudonimem Maestro di Vita.

Słony tapir w natarciu

Pierwszy telefon pani Marcon do pary wrózek bitów nie wzbudził jej podejrzeń.

– Wpłać 300 tysięcy lirów, a dostaniesz kopertę z numerami do obstawiania w kolejnych ciągnięciach Lotto. Wygrasz dużą sumę. Po pieniądze zgłosi się nasz wysłannik, kopertę z numerami otrzymasz pocztą – słyszy Fosca.

Fosca Marcon płaci, dostaje kopertę, obstawia wskazane numery. Nic nie wygrywa. Raz, drugi, trzeci. Dzwoni z reklamacją. Telefonistka jest szczerze zmartwiona brakiem oczekiwanej wygranej. I ma gotowe rozwiązanie.

– Dookoła ciebie jest negatywna aura. Ktoś rzucił na ciebie zły czar – we Włoszech *malocchio* to potężna broń.

Kolejny wysłannik, kolejna wpłata gotówką – Wanna Marchi nie uznaje obrotu bezgotówkowego, kart kredytowych, czeków. Wanna Marchi lubi szeleszczące banknoty.

Tym razem przesyłka zawiera woreczek soli, którą należy wysypać do szklanki z zimną wodą i czekać cierpliwie, aż sól się rozpuści, co będzie niezbitym dowodem, że zły urok *malocchio* został pokonany przez nadzwyczajne siły, którymi dysponuje Maestro.

Pani Marcon znowu wykręca numer. Tym razem nie do Wanny Marchi i blond Murzyna. I nie na policję. Pani Marcon dzwoni do „Striscia la Notizia”, satyrycznego dziennika telewizyjnego, który przykuwa co wieczór do ekranów telewizyjnych dziesiątki milionów Włochów.

Następna rozmowa telefoniczna pomiędzy panią Marcon i firmą Wanny Marchi odbywa się przy dyskretnym szumie kamer telewizyjnych.

– Sól się nie rozpuściła. Numery Lotto znowu nie wyszły. Oddajcie mi moje pieniądze – mówi pani Marcon jednocześnie do słuchawki telefonicznej i do mikrofonu telewizyjnego.

– Nic ci nie oddamy. Naślemy na ciebie policję, wytoczmy ci proces – grozi telefonistka. – Musisz zapłacić dwa miliony. W tym momencie słuchawkę po drugiej stronie przejmuje Stefania Marchi, córka Wanny.

– Nie zapłacisz? To spotkają cię największe nieszczęścia. Wszystko co najgorsze!

Mija kilka dni. Reporterzy Canale 5 odnajdują Wannę Marchi w jednej z jej licznych posiadłości wiejskich. Jak się później okaże, Wanna ma 10 domów i willi, w tym mieszkanie w Madrycie służące za bazę operacyjną dla planowanego podboju rynku hiszpańskiego. Czarny mercedes z kierowcą, przez opuszczone okienko wychyla się charakterystyczna twarz Wanny. – Nie mam nic do powiedzenia. Wierzę w sprawiedliwość – mówi i przyjmuje od dziennikarzy symboliczną statuetkę... tapira. „Striscia la Notizia” tradycyjnie wręcza złotą statuetkę tego rzadkiego zwierzęcia politykom i administratorom przyłapanym przez dziennikarzy na kłamstwach i krętactwach. Tym razem tapir jest z soli.

Kiedy policja udaje się do pomieszczeń firmy Asci w Mediolanie – pod taką nazwą figuruje jedno z przedsiębiorstw

– Nie zapłacisz? To spotkają cię największe nieszczęścia. Wszystko co najgorsze!

Wanny Marchi – musi wyważyć drzwi. Wewnątrz nie ma pracowników. Są komputery, a w nich ponad 300 tysięcy zarejestrowanych klientów. Wpłacone sumy, nazwiska, adresy.

Od minimalnej stawki 200 tysięcy lirów po wpłaty sięgające dziesiątków milionów lirów.

Są też worki z solą kuchenną, skrzynie ze zwykłymi białymi świecami, pudła pełne pociętych na kawałeczki gałązek, sterty kamyków i kolorowych szkiełek. Wszystkie były wysyłane jako antidotum klientom dotkniętym złymi zaklęciami i urokami. Sprawę gałązek wyjaśnia reporterom sąsiad z naprzeciwka. Pokazuje na ścianę budynku, pod którą rośnie krzak dzikiego wina. – Ta winorośl obrastała cały budynek – mówi sąsiad. – Pracownicy Wanny Marchi zaczęli nożyczkami obcinać gałęzie. Tylko kilka badyli zostało.

Klienci płacili za te patyczki po kilka milionów lirów. Miały rzekomo pochodzić z magicznych krzewów brazylijskich obdarzonych mocą zwalczania Złego.

Akcja, ohrzczona przez policję na cześć dziennikarskiego wysiłku „Słony tapir”, nabiera tempa. Pobieżne podliczenia danych z komputerów wykazują dochody na co najmniej 64 miliardy lirów, licząc po najniższych, podstawowych, stawkach.

Umrze twój mąż, krowy zdechną

W telewizyjnym programie „Porta a porta” prowadzonym przez słynnego dziennikarza

Bruna Vespe goszczą kolejne ofiary oszustów. Para wieśniaków żyjących z uprawy ziemi i hodowli bydła. Na stoliku w telewizyjnym studiu leżą kamyk, dwie świece i nieodłączny woreczek soli. – Umrze najpierw twój mąż, a potem wszystkie zwierzęta w obejściu, jeśli nie pozbędzie się negatywnej aury – ostrzegła ich Wanna Marchi. Żona wieśniaka pochlipuje w chusteczkę. – Dałam im 400 milionów lirów (800 tysięcy złotych) w ciągu dwóch lat.

– Ja mam raka nerki. Moja córka jest narkomanką – opowiada inna kobieta. – Nie miałam pieniędzy, żeby płacić za zdjęcie z nas przekleństwa. Dzwonili bez przerwy, grozili, że córka umrze, bo przedawkuje heroinę, a ja umrę na raka. Musiałam zdobyć pieniądze, więc się prostytuowałam.

Jeszcze inna opowiada, że grozili jej bezsennością do końca życia. Kupiła od nich za 17 milionów lirów (34 tysiące złotych) świeczkę, którą według załączonych instrukcji musiała zapalać codziennie wieczorem i gasić punktualnie o czwartej nad ranem. Kiedy nie

miała więcej pieniędzy, zagroziła jej śmiercią i zaczęły się głuche telefony co noc. Nie spała przez kilka miesięcy.

Plecami do kamery, w czapce na głowie i ze zmienionym elektronicznie głosem, występuje w programie jeden z byłych telefonistów Wanny Marchi. Opowiada o organizacji pracy, o pogrozkach, o prawdziwych torturach moralnych stosowanych wobec „przepiórek” – tak Wanna określa swoich klientów – o wielomilionowych zarobkach pracujących dla niej telefonistów.

W studio prowadzący program Bruno Vespa oraz sztab psychologów i socjologów zalamują ręce.

Gdzie jest blond Murzyn?

Na policję zgłasza się niewielu poszkodowanych. Wpływa wszystkiego 50 skarg. Ludzie się wstydzą i boją. Jest jednak wystarczający materiał dowodowy, żeby policja aresztowała całą bandę. Idą do więzienia Wanna Marchi i jej córka Stefania, konkubent Wanny i administrator jej przedsiębiorstw, „Maga Dafne”, była telefonistka awansowana na najbliższą współpracownicę, i koordynatorka kurierów odpowiedzialnych za odbiór gotówki od klientów. Kilka innych osób objętych jest aresztem domowym, następnych 20 oskarżonych odpowiada z wolnej stopy. Na wolności jest farbowany Murzyn, jak wykazało dochodzenie – był służący Wanny, obecnie jej współnik. Uciekł za granicę jeszcze w grudniu 2001, zanim wydał nakaz aresztowania.



Wanna Marchi z córką Stefanią naciągnęły ponad 300 tysięcy klientów na 27 milionów dolarów

Gazety donoszą o rozwoju śledztwa. Wanna i jej współpracownicy milczą jak grób. Mają dziesiątki miliardów powodów, by milczeć. Policja ustala tożsamość kolejnych ofiar, w tym starszej kobiety z Treviso, która w przeciagu trzech lat zapłaciła za amulety prawie miliard lirów – ponad pół miliona euro. Pod pretekstem choroby i kosztownej kuracji zapożyczyła się najpierw u znajomych, potem w bankach, a na koniec wpadła w sidła lichwiarzy. Rodzina nic nie podejrzewała i nic nie wie o gigantycznym długu. Staruszka jest tak zastraszona groźbami śmierci ze strony Maestro di Vita, że odmawia współpracy z sędzią śledczym.

W mediolańskim więzieniu San Vittore zaczyna wreszcie mówić najbliższa współpracownica Wanny Marchi. W nagrodę za udzielone informacje zamieniają jej więzienie na areszt domowy.

Sędzia śledczy prowadzący sprawę ujawnia, że majątek zgromadzony nielegalnie dzięki szantażom i wyłudzeniom przekracza 100 miliardów lirów (50 milionów euro). Wśród ofiar przeważają starsze, samotne kobiety, w większości wdowy.

Policja szuka ukrytych przez bandę pieniędzy. Poza nieruchomościami w ręce władz wpadły tylko znikome sumy w gotówce lub na konciech we włoskich bankach. Większa część ka-

pitałów leży bezpiecznie na sztyrowanych kontach bankowych w San Marino i Szwajcarii. Szanse na ich odzyskanie i choć częściowy zwrot poszkodowanym są niewielkie.

Wanna była wszędzie

Wanna Marchi jeszcze do niedawna gościła na ekranach telewizorów nie w roli przestępcy, lecz miłego gościa i gwiazdy telepromocji. Od ponad 20 lat jej wrzaskliwy, przejmujący głos i charyzmatyczny charakter zdobywały jej tysiące klientów. Do widzów zwracała się z ekranów telewizyjnych krzykiem: „Wyglądasz jak zapasowa świnią?! Chcesz, żeby twój mąż przestał chodzić do kochanki?! Dzwon natchmiaszt, TERAZ! JUŻ! i zamów Scioglipancia – krem odchudzający »10 kilogramów mniej w trzy tygodnie«”. Kończyła zawsze i nieodmiennie, skandując: CA-PI-TO???? (ZRO-ZU-MIA-NO????) – i dodawała od razu, podnosząc głos o jeszcze jedną oktawę: CON-TAN-TI, GRA-ZIE!!! (GO-TÓW-KA, DZIĘ-KU-JĘ!!!).

Zaczynała karierę od sprzedaży linii cudownych kremów i preparatów odchudzających na bazie alg morskich. Otworzyła w całych Włoszech sieć sklepów z produktami noszącymi jej imię. Potem przerzuciła się na sprzedaż szczęśliwych numerów Lotto.



Wróżbitka i jej córka zaraz po aresztowaniu

W międzyczasie zbankrutowała, była oskarżana o oszustwa podatkowe, spędziła kilka dni w areszcie, lecz nic jej nie udowodniono, wyjechała do Ameryki, gdzie ponownie wyszła za mąż, ale zawsze wracała na ekrany włoskich telewizorów, pełna energii i nowych pomysłów.

Nie działała potajemnie. Była wszędzie, na 50 kanałach prywatnych telewizji lokalnych, w gazetach, w teletekście RAI, państwowej telewizji, i Mediaset – telewizji będącej własnością obecnego premiera Włoch Silvia Berlusconi. Zapraszano ją do telewizyjnych salonów, do popołudniowego *talk-show* popularnej niegdyś piosenkarki Ivy Zanicchi. – Wanna, ty jesteś mitem. Jesteś instytucją – zachwycała się piosenkarka dosłownie kilka tygodni wcześniej. – Jestem niezniszczalna – odpowiedziała jej Wanna. – Kto będzie chciał mnie uciszyć, będzie musiał mnie najpierw zabić!

Ministerstwo finansów odpowiedzialne za organizowanie Państwowej Loterii Noworocznej zatrudniło Wannę do promowania loterii parę lat temu.

166 magów z łupem

W kilka dni po skandalu dotyczącym Wanny Marchi wybucha kolejny. Niezależny mediolański dziennik „Libero” publikuje na pierwszych stronach zdjęcia stron teletekstu telewizji Canale 5, tej samej, której reporterzy doprowadzili do rozpo-

częcia śledztwa. Na stronie reklamującej program „Striscia la Notizia” znany z bezwzględnej ścigania i ośmieszania wszelkich oszustów widnieje reklama strony niejakiego Ernesta Dal Degan: „Graj mniej, graj lepiej... wygrywaj więcej z Ernesto” – recytuje tekst. Oczywiście chodzi o numery Lotto.

Dziennikarze – tym razem prasowi, nie telewizyjni – dzwonią pod wskazany numer. Numer zaczyna się od magicznej liczby 166 – koszt połączenia 1,31 euro za minutę, maksymalne trwanie rozmowy osiem minut. O rozmowie trudno tu zresztą mówić. Po drugiej stronie drutu jest bowiem komputer z nagrany tekst. Głos obiecuje, że po podaniu szczęśliwej daty dzwoniący otrzyma swoje szczęśliwe numery opracowane specjalnie dla niego przez ekipę słynnych i szacownych matematyków.

Wstukana przez dziennikarza „Libero” data urodzenia 10 kwietnia 2202 r., czyli za 200 lat, przynosi oczekiwany rezultat w postaci czterech numerów.

Ezio Gregio, jeden z dwóch prezenterów programu „Striscia la Notizia”, pieni się ze złości, miesza z błotem odpowiedzialnych za teletekst w rodzimej telewizji i grozi im... podpaleniem domu – wszystko to na oczach widzów.

Po kilku dniach ogłoszenia z numerami 166 poczynają stopniowo znikać ze stron teletekstu Mediaset.

Giovanni Panunzio odpowiedzialny za specjalny telefon, pod który konsumenci mogą dzwonić i zgłaszać nieprawidłowości, ocenia, że obroty związane z numerami 166 fałszywych magów

i wróżek przynosiły roczny dochód od 750 do 3800 miliardów lirów rocznie (od 400 milionów do 1900 milionów euro). Dochód, czy raczej łup, sprawiedliwie dzielono pomiędzy oszustów-magów, operatorów telefonicznych dostarczających linie oraz telewizje państwową i prywatne.

Następny do golenia, proszę...

Ledwo zatrzasnęły się bramy więzienia za Wanną Marchi, a już na stronach gazet i w telewizji głośno o kolejnej wróżce, ochrzczonej natychmiast przez media „małą Wanną”.

„Maga Caterina rozwiąże każdy twój problem: miłość – zdrowie – pieniądze. Dzwon pod numer...”.

60-letnia emerytka ze Schignano położonego nad Lago di Como postanawia zasięgnąć porady na temat zdrowia.

Pierwszy telefon, pierwsza porada, pierwsze miliony wydane. Brak rezultatów.

Drugi telefon do Cateriny, która uczciwie i otwarcie przyznaje, iż jej siły magiczne, nie są wystarczające, aby definitywnie rozwiązać problem. Poleca Irene La Monaca, której magiczna siła na pewno przyniesie oczekiwane rezultaty.

Pierwszy telefon do Irene La Monaca, druga porada, podwójna ilość wydanych milionów. Brak rezultatów.

Drugi telefon do Irene La Monaca, która uczciwie przyznaje... nie są wystarczające... poleca Carmen Cortes, która na pewno...

Pierwszy telefon do Carmen Cortes, trzecia porada, potrójna suma milionów. Rezultatów brak.

Drugi telefon do Carmen Cortes...

Po nim następują jeszcze pierwsze i drugie telefony do Ren Ortegi, Vittorii Rinaldi, Letizii Arcalli, Dalili Gomez, Madame Sophie, Reginy Falk – w sumie do 19 obdarzonych niezwykle talentami i mocami wróżek-uzdrowicieli. Każda posiada oddzielny – i fikcyjny – adres, zazwyczaj w dobrych dzielnicach wielkich miast: Rzymu, Bolonii, Florencji, każda odpowiada na inny numer telefonu komórkowego, każda podwaja sumę, której żądała poprzedniczka.

Wszystkie 19 mają tę samą twarz, to samo 36-letnie ciało i to samo nazwisko, na razie nieujawnione przez policję. W 80 zeszytach odnalezionych przez policję w mediolańskim mieszkaniu i udostępnionych dziennikarzom telewizyjnym znajdują się drobiazgowo zapisy rozmów telefonicznych z 14 tysiącami klientek z całych Włoch. „Histeryczka, mąż chory na cukrzycę. Matka narkomana. Rozwódka w depresji, troje dzieci”. Nie pogubić się w detalach i szczegółach problemów osobistych takiej liczby klientek nie jest łatwo. Same klientki ułatwiały zadanie. Przekonane, że rozmawiają za każdym razem z inną wróżką, opowiadały od początku swoją historię.

Kwity bankowe i przekazy pocztowe na sumę około 14 milionów euro też są na swoim miejscu. Jedyne, czego brakuje, to pieniędzy na koncie w banku, które jest niemal puste.

MAGDALENA WEJROCH

NIE TYLKO DLA MALUCZKICH

Malocchio jest równie stare jak same Włochy. Oficjalnie przyznają się do wiary w złe zaklęcia i uroki nieliczni. Jednak gdy w roku 2000 obecny premier Silvio Berlusconi płynął statkiem dookoła Półwyspu Apenińskiego w ramach kampanii wyborczej, także jego prześladowało *malocchio*. Kiedy jednocześnie na spokojnych zazwyczaj wodach rozszalał się sztorm, sam Berlusconi dostał prawie 40 stopni gorączki, a jeden z kandydatów na ministrów przewrócił się na pokładzie o stos lin, rozbijając sobie głowę, naród zgodnie dopatrzył się w tych przeciwnościach losu ingerencji jakiegoś „życzliwego” wspomaganego przez tajemne moce. W żadnym szanującym się domu włoskim nie może zabraknąć strąka czerwonej papryczki. Wiadomo, nic tak nie chroni przed Złym Okiem jak to

pikantne warzywo. Plastikowe strąki można kupić na straganach w całym kraju. Największą popularnością cieszą się te w postaci breloczka do kluczy. Papryczki dyndają też wesoło na wstecznych lusterkach samochodów. Włoch z samochodem się nie rozstaje, więc i ochrona zapewniona non stop. Telewizyjni dziennikarze, osobistości państwowe i politycy nieraz byli uwieczniani przez obiektywy i kamery, gdy w podejrzanych sytuacjach robili tak zwane rogi skierowanymi w dół dłońmi, z wysuniętym palcem wskazującym i małym, a pozostałymi podwiniętymi do środka. Panowie mają do dyspozycji jeszcze jedną potężną broń przed urokami. Wystarczy niepostrzeżenie dotknąć własnych atrybutów męskości... Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

czytałeś
Cogito
czytaj nowy miesięcznik

Praca po i na studiach
Stypendia, staże, praktyki
Studia i praca za granicą

IMPULS
PISMO MŁODYCH
cena 4,60 zł
(w tym 7% VAT)
Nr 2/2002 (2) kwiecień 2002

ROZMOWA:
Kazik Staszewski

impuls poznaj swoje możliwości!

TWOJA PRZYSZŁOŚĆ:
biologia, politologia
RAPORT:
Uciekaj przed wojskiem

WIERSZYKI – JACEK PODSIADŁO
ZDJĘCIA – ANDRZEJ KRAMARZ / STOPROCENT

Mądra głowa w tarapatach

Na dalekiej Ukrainie
żyje szczep Hucułów dziki,
który w całym świecie słynie
z lulek, tańców i muzyki.

Także z hartu i tężyzny,
więc fotograf Mądra Głowa
udał się do Huculszczyzny,
by ów lud fotografować.

Hucuł to natury dziecię,
nie wie, po co jest na świecie,
czy to w zimie, czy to w lecie,
on wesoło gra na flecie.

Jego ręce są dwie lewe,
nie urabia ich po łokcie,
je jemiołę, śpi na drzewie
i krogulcze ma paznokcie.





Mądra Głowa wylądował
w słynnych górach Tarapatach.
Lecz Huculów ktoś pochował!
Szuka w sklepach, szuka w chatach,

na nic. Wreszcie koło baru
krowa prowadząca cielę
wyjaśniła: „Cały naród
jest w kościele, bo wesele”.

Więc zaczął się przy moście
nasz fotograf Mądra Głowa.
Gdy weselni przyszli goście,
młoda parę wycłował,

wymażgotał i utulił,
po czym począł dziwnie gadać:
„Ja – fotograf! Wy – Huculi!
Ach, jak to się pięknie składa!”.

Na wesele zaproszony
bryka, pryca i się cieszy,
wypił półdzban samogonu,
głodny pcha się do kuleszy,

choć tam biedne, głodne dziatki,
a przed nimi jedna micha.
„My nie mamy ojca, matki,
a ty jeszcze nas odpychasz!”.



Udał się więc na zaplecze,
gdzie małeńka Huculeńka
kartofelki w piecu piecze,
właśnie ma jednego w rękach.

Zastosował zatem fortel.
„Niech umowa będzie taka,
ja ci zrobię śliczny portret,
a ty oddaj mi ziemniaka”.

Jak powiedział, tak zrobili.
Dziecko popatrzyło krzywo,
bo czy miło, moi mili,
patrzeć, jak ktoś je warzywo,

kiedy się o pustym brzuszku,
pod pustymi talerzami,
człowiek kładzie spać na łóżku?
Tak to jest z fotografami.



Gdy już popił i już pojadł,
wszedł pomiędzy lud tubylczy.
„Dajcie papierosa, bo ja
również palę!”. Lecz lud milczy.

„Żaden Polak po jedzeniu
– zacytował im przysłowie –
nie zapomni o paleniu!”.
„Sami palim po połowie”.



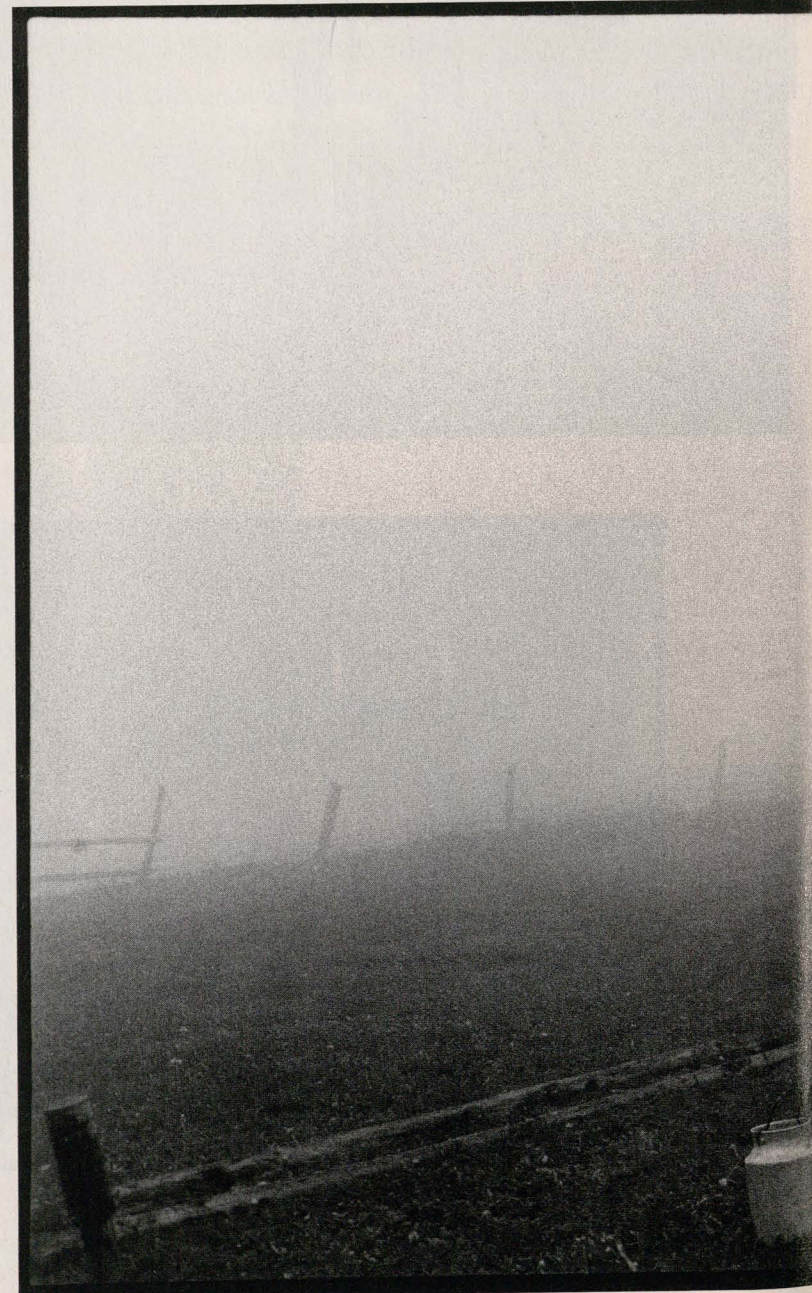
Potem dzielny Mądra Głowa
ruszył w stronę Werchowyny,
lecz iż drogi nie pilnował,
rychło wpuścił się w maliny.

Żadnych domostw, żadnej szopy,
ni szałas, ni chałupy,
tylko płoty, płoty, płoty
oraz słupy, słupy, słupy.



Później babcię z wnuczką spotkał,
też mu się ich zdjęcie przyda.
Jakże zadrze się, gdy w kadrze
ujrzy nagle Leonida!

„Sekret wyznam ci, człowieku –
rzecze babcia. – Nikt dziś nie wie,
że we wnuczki będąc wieku,
zakochałam się w Breżniewie”.



Wreszcie, po ogromnym trudzie,
spotkał ludzi przy robocie.
„Cóż robicie w tej mgle, ludzie?”
„Trudnim się przy nowym płocie”.

Choć to brzydko, to był gotów
wziąć ich zgoła za przyglupów.
Jeszcze mało mają płotów?
Jeszcze mało mają słupów?

Kiedy minął Kołomyję,
spotkał kobiecinę z worem.
„Jak się pani tutaj żyje?”,
spytał grzecznie, lecz nie w porę.

„Na wysokiej połoninie
człowiek ciężkie ma zajęcia,
pomóż biednej kobiecie!”.
„Lepiej zrobię ze dwa zdjęcia”.

Mądrej Głowie dość dwie słowie.
„Wrócę choćby i na mule”.
O, jest szkapa! I jest człowiek!
„Hej, Hucule!” – wrzeszczy czule.

„Ja czy koń? Bo, pan wybaczy,
koń mój też jest rasy hucul,
to po prostu nazwa naszych
charakterystycznych kuców”.



I odeszli. Lecz jest taxi!
O, kierowcą jest kobieta
niczym wół, spódnica maxi,
a taksówka jak karetka.

Trochę strach... I żal gotówki,
myśli sobie Mądra Głowa.
Czy mam wsiąść do tej taksówki,
czy też lepiej zrezygnować?

Jakoś jednak w końcu wrócił
i gdy już Czeremosz zoczył,
to z radości się weń rzucił.
Chybił i do Prutu wskoczył.

Robi sobie pranie w Prucie
pewna pani bardzo stara.
A tam sterczy noga w butcie,
całkiem jak ta od Ikara!

Nie utonął, więc w try miga
zły się zrobił, bo znów zgłodniał.
A tu chłopiec worek dźwiga.
Gdy go ujrział, to złagodniał.

„Pozwól zajrzeć mi do wora,
masz tam pewnie moc jedzenia?”.
„Mam tam kamień, ot, z traktora.
Chyba nie zje pan kamienia?”.



I akurat, gdy potrzeba,
kiosk ze świeżym chlebem zdybał!
„Proszę sześć bochenków chleba”.
„Jak to chleba? Chyba chliba?”.

„Chlib od chleba się nie różni”,
rzekł fotograf, bo był gapa.
„Dziwni czasem ci podróżni...
A Flip różni się od Flapa?”.

Ledwie objął chleb swój czule,
już się z rowerzystą zderzył.
„Ej, Hucule, masz hamulec?!”
Czyś celowo we mnie mierzył?”.

„Ja nie chcący, wybac, panie!
Zagapiłem się, mknąc z góry,
na ten napis na tej ścianie
tego domu, no, kultury!

Bo tam napisane stoją
słowa mądre i stateczne:
KOCHAĆ UKRAINĘ SVOJĄ
I BYĆ Z NIĄ BĘDZIEMY WIECZNIE!”.



Zdjęcia wykonano na Ukrainie
w Wierchowinie i okolicach

OLGA WOŹNIAK

Zrobieni w jajo

Jest jedyną komórką naszego organizmu, która wie, jak tworzy się życie. Mimo że taka ważna, trudno ją było znaleźć. Gra była warta świeczki. Jajo jest piękne

Gdy XVII-wieczny biolog William Harvey oświadczył ogółowi społeczeństwa, że wszystko, co żyje, pochodzi z jaja, nie odkrył Ameryki. Społeczeństwo wiedziało o tym na długo przedtem, zanim sir Harvey zaistniał na świecie jako jedna z tysięcy komórek jajowych swojej matki. Przekonanie, że z jaja wykluły się zwierzęta, ludzie, ba, nawet rośliny, jest stare jak świat. A nawet jeszcze starsze, bo – na co wskazuje wiele dawnych mitów – świat także wyszedł ze skorupki.

Jak więc widać, przekonanie prostego ludu o tym jakże oczywistym fakcie ma głębokie korzenie. Jednak na samą myśl, że człowiek jest „jajopochodny” – jak, nie przyznając, kura – uczeni w piśmie długo dostawali gęsiej skórki. – Jesteśmy na to za bardzo dwunożni – buntowali się. – Zbyt wyrafinowani. Nie pozwala na to nasz wysoki biologiczny status – argumentowali. Na darmo.

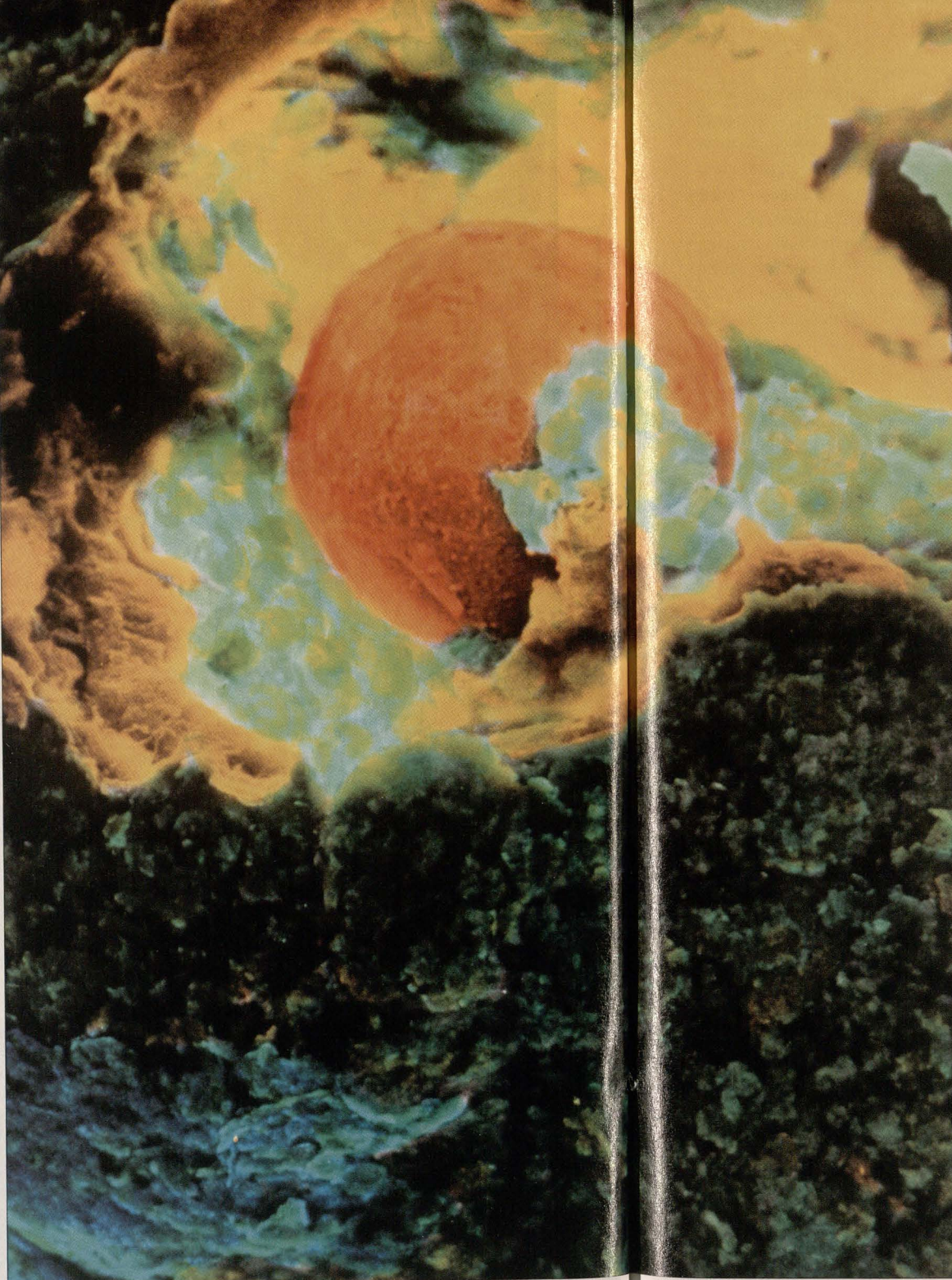
Choć szkieleto i oko zupełnie niedawno wypatrzyło ludzkie jajo, ono demokratycznie od wieków starało się, by na świecie nie zabrakło sceptyków ani entuzjastów. Za swoją ciężką społeczną pracę nie żądało podziwu ani uznania. W swej doskonałej kulistej formie pędziło spokojny żywot aż do czasów, gdy w sielankę tę wtargnęła nauka.

Dziś nikt nie patyczkuje się z jajem. Klonowanie, sztuczne zapłodnienie, dzielenie, namnażanie, podglądanie. Horror! Gdzie są te spokojne czasy, gdy odpowiedzialnością za powstanie życia obarczano księżycowy promień czy wiatr ze wschodu?

Zaczniemy jednak *ab ovo*.

Bitwa fluidów

Starożytni Grecy nie wierzyli, że człowiek bierze się z jaja, choć wielcy przedstawiciele tej kultury – Hipokrates i Arystoteles – przy-



Tak kolorowo (pomarańczowo) wygląda ludzkie jajo podczas owulacji, czyli „wykluwania się” z jajnika (w kolorze turkusowym)

znawali kobiecie pewien wkład w formowanie się nowego życia.

– Skoro mężczyzna posiada nasienie (co widać) – twierdzili – analogicznie i kobieta musi posiadać podobną wydzielinę. Męskie i żeńskie zaś wydzieliny (nazwane bardziej elegancko fluidami) wytwarzane są przez wszystkie części ciała człowieka, by potem zgromadzić się w jego narządach rozrodczych – tłumaczyli. Fluidy pochodzące z pal-

ców zawierają materiał na palce, fluidey z włosów na włosy itd. W chwili poczęcia między damskimi i męskimi fluidami dochodzi do bitwy. To, czy nos dziecka będzie przypominał nos matki czy ojca, zależy od tego, czyje „nosonasienie” wygra.

Ten pomysł stanął u podstaw rozwijanej w XVII wieku teorii epigenezy, w myśl której tkanki i narządy organizmu wykształcają się stopniowo – a nie są od razu

dziewczynek uczynił odpowiedzialnymi „zakłócenia” pochodzące z matczynej krwi.

Człowieczek w robaczku

Średniowiecze nie przyniosło jaśniejszych odpowiedzi na pytanie, skąd się biorą dzieci. Nie mogła ich dać święcąca w tym czasie rekordy popularności teoria samoródtwa. W jej myśl istoty żywe rodzą się z nieożywionej materii. Larwy miały powstawać z gnijącego mięsa, żaby z brudu, wszy z włosów. A ludzie...?

Koncepcję samoródtwa podważono dopiero w XVII wieku za pomocą prostego eksperymentu. Wziął się do tego Włoch Francesco Redi. By zadać kłam samoródczym ciągatom uczonych, powkładał do słoików kawałki mięsa. Jedne szczelnie zamknął, inne pozostawił otwarte dla much. Po pewnym czasie w otwartych słoikach pojawiły się larwy, które następnie zmieniły się w poczwarki. Z tych z kolei wykluły się muchy. Z gnijącego mięsa zaś nie wykuło się absolutnie nic. Wniosek? – Muchy biorą się z much – oświadczył Redi. A ludzie...?

Pałeczkę od Rediego przejął holenderski naukowiec Antoni van Leeuwenhoek – miłośnik mikroskopu. Oddając się swojej pasji, podtykał pod soczewkę różne substancje, które akurat nawinęły mu się pod rękę. Pewnego dnia trafiło tam i... męskie nasienie. Jakież było zdumienie Leewenhoecka, gdy ujrzał w nim miliony drobnych robaczków!

Plemniki. Człowiek musiał siedzieć właśnie w nich! Rozumowanie naukowca podchwyczone potem przez jego zwolenników było dość proste: w główce każdego plemnika drzemie małeńki, w pełni ukształtowany człowieczek. A jeśli ów człowieczek jest chłopcem, to posiada mikroskopijne jąderka, a w nich maciupeńkie plemniczki, w główkach których siedzą sobie wygodnie jeszcze bardziej maciupeńkie ludki. A jeśli i wśród nich są chłopcy... Absurd? No cóż – to jest właśnie teoria preformacji.

Szukajcie, aż znajdziecie

Korzystając z zamieszania, jakie w świat nauki wprowadzały tego typu pomysły, ludzkie jajo dalej skwa-

pliwie kryło się przed wzrokiem badaczy. Milcząco i anonimowo podejmowało trud stworzenia kolejnych pokoleń naukowców. Ci – w czasie gdy Leewenhoek dumał nad spermą – wzięli w obroty ko-

biety. A pretekst był. Dostarczył go żyjący na przełomie XVI i XVII wieku angielski fizjolog William Harvey. Badając rozwój zarodkowy kurcząt, nabrał on niepodważalnego przekonania, że wszystkie organizmy mają coś z kury – powstają z komórki jajowej. Odsadził też męskie nasienie od przypisywanej mu decydującej roli. Samiczki z inkubatorów podniósł do roli Twórczyni Życia.

Traf chciał, że gdy Harvey zabierał się do swoich kur, miało przeżyć kilka dni, od chwili gdy zdybał je kogut. W ich narządach rodnych nie pozostało już nawet wspomnienie po spermie, znajdowało się tam natomiast zapłodnione jajo. Na tej podstawie naukowiec wysnuł wniosek, że rolę samców jest technięcie w jajo ducha, który wyzwoli w nim odpowiednie mechanizmy. Te zaś pokierują dalszym rozwojem zarodka. – *Ex ovo omnia* – mawiał. – Wszystko z jaja.

Ustaliwszy to, zaczął polować na jajo ssaka. Bo gdzieś ono przecież być musiało – co do tego miał całkowitą pewność. Po cóż byłoby bowiem samicom ssaków jajniki i jajowody? Tylko dla jaj.

Harvey miał spore możliwości – był nadwornym lekarzem króla Anglii Karola I. Owładnięty jajeczną ideą nakłonił monarchę, by ten pozwolił mu prowadzić badania na sarnach z królewskiego lasu. Po wypatroszeniu sporego stada naukowiec musiał się przyznać do porażki. Jego badania stanowiły jednak solidne podwaliny pod teorię epigenezy.

Trafione, zatopione

Minęło 200 lat, a ssaczego jaja jak nie było, tak nie było. Już, już zdawało się, że jajo to jakaś straszna bujda, gdy w roku 1827 świat obiegła sensacyjna wiadomość: odkryto psia (a raczej suczą) komórkę jajową! Naukowcy odetchnęli z ulgą. Owiści (jak nazywali się zwolennicy jaj) zachowali twarz dzięki spostrzegawczości Carla Ernsta von Baera, rosyjskiego biologa.

Znalezienie jaja u człowieka było już teraz bułką z masłem. A kiedy chwilę później została rozwiązana ostatnia zagadka powstania życia, poczuliśmy się mocni niczym Bóg.

Oskar Hertwig zaobserwował, że zapłodnienie polega na połączeniu plemnika z komórką jajową. W roku 1866 James Marion Sims – ojciec amerykańskiej ginekologii – przeprowadził pierwsze próby sztucznego zapłodnienia kobiet. Jajo zostało ujarzmione.

Ubożające milionerki

Kobietom, które nigdy nie miały problemów z komórkami jajowymi i nie musiały się martwić o swoją płodność, jaja kojarzą się co najwyżej z jajecznicą, omletem, kogelmogłem czy wielkanocnymi pisanekami.

Niesłusznie. Niewiele z nas wie, że każda dziewczynka z chwilą przyjścia na świat wyposażona jest lepiej od niejednej fermy. Jajnik kobiecy w chwili urodzenia się jego posiadaczki zawiera ponad 200 tysięcy jajeczek! Choć ta liczba zapiera dech w piersiach, to nie tak dużo, biorąc pod uwagę, że każda dziewczynka w 20. tygodniu swego życia płodowego była dumną posiadaczką około sześciu-siedmiu milionów komórek jajowych.

Nasze bogactwo nie trwa jednak długo. Jesteśmy z niego regularnie ograbiane. Przez kolejne 20 tygodni umierają cztery miliony małych jajeczek płodu. Choć potem proces niszczenia nieco zwalnia, odbywa się nieprzerwanie przez całe życie kobiety.

Kiedy nadchodzi czas menopauzy, okazuje się, że w jajnikach pozostało niewiele komórek jajowych lub zgoła żadna. Znikły. Niewykorzystane popękały jak mydlane bańki. Ich resztki zostały uprzejmie wchłonięte przez pozostałe przy życiu sąsiadki.

Zostają najpiękniejsze

Każda komórka jajowa to programowy samobójca, a proces, w którym postanawia zejść z tego świata, nosi nazwę apoptozy. W jego wyniku dojrziała kobieta z milionerki staje się posiadaczką skąpego majątku zaledwie 10 tysięcy

gotowe (przy takim stanowisku upierali się zwolennicy tak zwanej preformacji).

Arystoteles uważał ponadto, że tylko nasienie męskie decyduje o tym, jakie będzie dziecko, a matka jedynie dostarcza materiału, z którego dziecko powstanie. Szko-

puł w tym, że według tej teorii powinni się rodzić tylko chłopcy. Nie zbiło to filozofa z pantałyku. Za pojawianie się na świecie

FOT. SPOURCAST NEWS

komórek jajowych. Z tej puli droga wnikliwej selekcji wybranych zostanie około 400, którym dane będzie przejść przez wszystkie fazy Dojrzałego Jaja.

Egzemplarze wybrane do tego szczytnego zadania zostały uznane za najokazalsze jaja w całym gnieździe. Wszyscy więc, jak tu siedzimy, możemy mieć pewność – u naszego zarania byliśmy dobrymi komórkami jajowymi.

Jajnik kobiety uwalnia zwykle jedno jajo na miesiąc. – Cóż to za lenistwo – krzywią się zwykle faceci, którzy z każdym uderzeniem serca produkują miliony plemników. Często jednak zapominają, że ich jadra uruchamiają taśmę produkcyjną dopiero w okresie dojrzewania płciowego. Może ilością pragną nadrobić wszystkie stracone lata?

Tymczasem jajo stawia na jakosć. Znajduje się w jajniku swej właścicielki w stanie nieczynnym jeszcze przed jej urodzeniem. Musi upłynąć 20, a może i 40 lat, zanim nagle się obudzi. Ale gdy już wstanie, wygląda pięknie.

Bujanie w obłoku

Choć o kobietach mówi się czasem „kury domowe”, to jeśli jednak na to określenie popatrzy się przez pryzmat naszych komórek jajo-

wych, okaże się, że nie ma w nim wiele prawdy.

Na widok ludzkiego jajka – gdyby oczywiście umiała je dostrzec – każda kura wybuchłaby zapewne pobłażliwym gdakaniem. Nasze jajo nie ma wapiennej skorupki ani typowego żółtka. Prawie nie zawiera pokarmu dla zarodka. Ten, by przeżyć, musi się podłączyć bezpośrednio do organizmu matki i z niego czerpać pożywienie.

Ludzkie jajo nie jest też owalne. Jest raczej jak księżyc w pełni – okrągłe, jasne, puchowate. Inne komórki w naszym organizmie przypominają kształtem zgniecione kartony po mleku, piłki z wgniecionym środkiem, nieregularne plamy. Komórka jajowa ma kształt ideału.

Owo krągłe jajo spoczywa sobie w obłoku. Kumulus – kłaczek lepkiej substancji międzykomórkowej – ma przytwierdzać jajo do tak zwanego wieńca promienistego. Podobieństwo do korony słonecznej opisuje łacińska nazwa tego tworu – *corona radiata*. Ta aureola pełni rolę niani. Składa się z gęstej siatki komórek, które opiekują się jajem i stanowią trampolinę dla plemników, naprowadzając je niczym kierunkowskaz na właściwy kurs.

Jednak plemnikowi nie wystarczy przybyć na miejsce i zobaczyć. Jajo trzeba jeszcze zdobyć, a to nie jest już takie proste.

Niczym kinder-niespodziankę otacza je twarda słodka skorupka – *zona pellicula* (otoczka przejrzysta), element najbardziej zbliżający nasze jajo do ptasiego. Owa *zona* zbudowana jest z cukrów i białka, a jej działanie można porównać do pola magnetycznego. Plemniki, które nie odpowiadają jajowi, w zetknięciu z nią są odpychane na bezpieczną odległość.

Wpuszczony zostanie tylko ten, który posiada odpowiedni klucz. Jest nim cząsteczka cukru na główce. Musi pasować do odpowiedniej w skorupce jaja. Tylko wtedy otworzy się sezam. Gdy plemnik zostanie rozpoznany jako „swój”, jest natychmiast wysany do środka. Potem jajo się zamyka. Cząsteczki cukrów wypinają się swoją przeciwną stroną na zewnątrz, dając tym do zrozumienia, gdzie mają ewentualnych dalszych przybyszów.

Gruba i twarda osłonka stanowi teraz skafander ochronny dla jaja podczas jego zjazdu jajowodem do macicy. Gdy wreszcie bezpiecznie tam dociera, skorupka pęka i pozwala zagnieździć się zarodkowi w miękkiej ścianie.

Wieniec, kumulus i osłonka przejrzysta nie należą do jaja, są jednak na jego usługi. A co mieści się w jego wnętrzu?

Jajo to genetyczny kosmos. Najnowsze badania dowodzą, że jest

jedyną komórką niezbędnie potrzebną do stworzenia nowego życia. Niezbitym dowodem na to jest spore już stadko zwierząt-klonów.

Klony powstają z jaja pobranego od dorosłej samicy. Usuwa się z niego jądro, w którym normalnie znajduje się tylko pół hipotetycznego istnienia – 23 chromosomy (komórki ludzkie mają ich 46; drugą połowę dostarcza zwykle plemnik). Na jego miejsce wprowadza się jądro z innej dowolnej komórki ciała zwierzęcia, które chcemy sklonować. W każdej bowiem komórce poza rozrodczymi tkwi pełen zestaw 46 chromosomów.

Mądrzejsze od skóry

Do czasu, gdy w jajach znajduje się tylko połowa danych, spoczywa ono sobie beczynn timer, oddając się kontemplacji. Gdy jednak wprowadzi się do niego pełną informację o istocie, którą ma stworzyć, budzi się z letargu i „włącza silniki”. Rozpoczyna proces formowania życia.

Ze wszystkich komórek organizmu tylko ono zna zasady tej sztuki. Z komórki skóry umieszczonej w macicy nigdy nie powstanie dziecko – choć ma ona w swoim jądrze wszystkie potrzebne do tego informacje. Brak jej rozumu jaja.

Jak zrobić życie? Wie tylko ono.

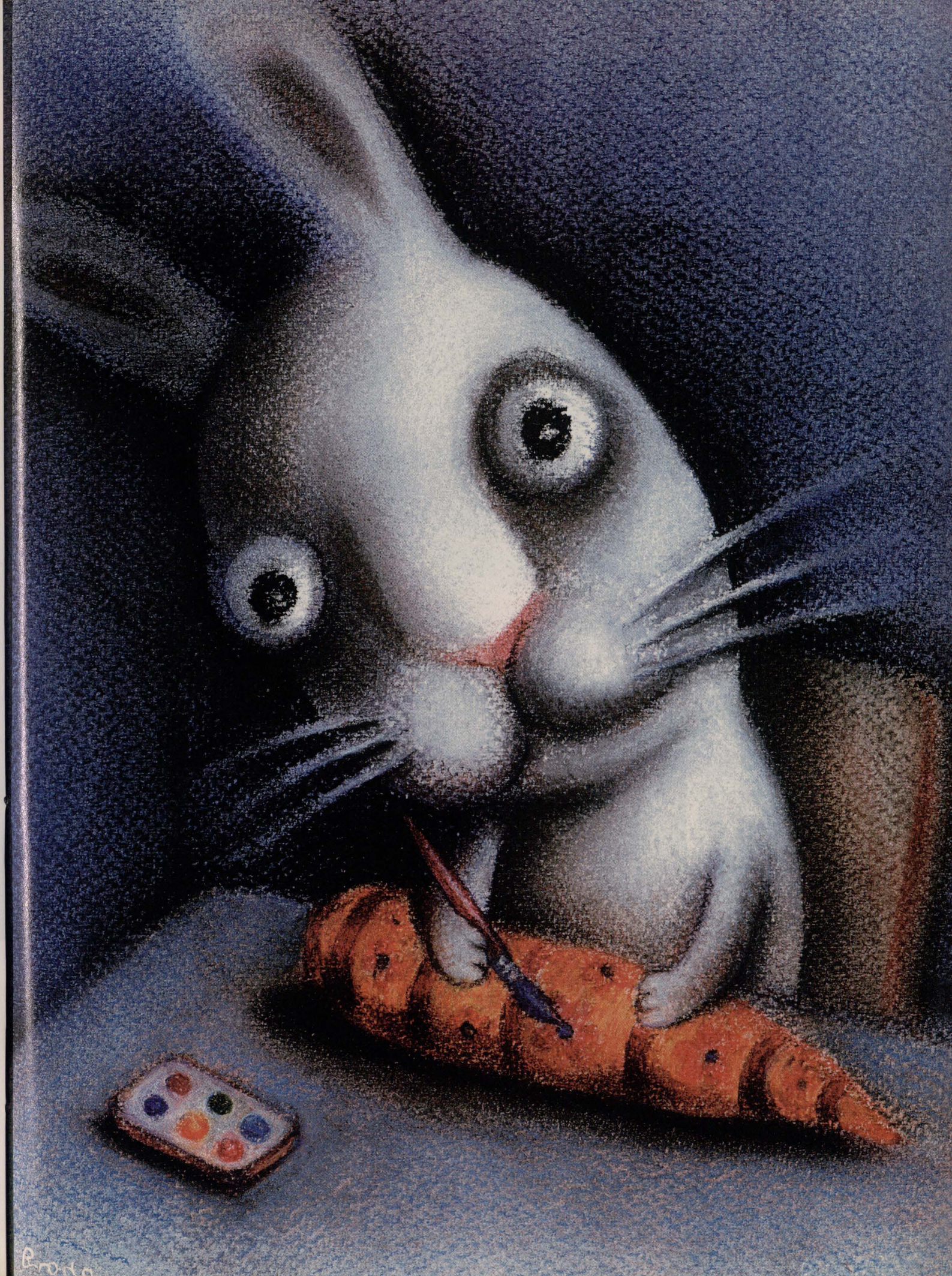
OLGA WOŹNIAK

WYTĘŻ WZROK...

...i znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się te dwie pisanki narysowane przez Piotra Gidlewskiego



Rozwiązanie na s. 80.



Piotr Gidlewski

Zamrożeni

WAWRZYNIEC SMOczyński

W podziemiach zamku w zachodniej Francji kobieta i mężczyzna czekają na wskrzeszenie. W zamrażarce. Na świecie już kilkaset osób zdecydowało się na pochówek przez zamrożenie. Wierzą, że dzięki temu wkrótce będą mogli zmartwychwstać

Para zmarłych Francuzów leży w zamrażarce w zamku Château du Preuil. W ubiegłą środę sąd w pobliskim Saumur nakazał rozmrozić ich ciała i pochować w tradycyjny sposób. W obronie niezującego małżeństwa stanęli zwolennicy praktyki zamrażania ciał. Twierdzą, że Francja chce pozbawić zmarłych małżonków jedynej szansy na nowe życie. Dla nich śmierć to tylko krótki postój na drodze ku wieczności.

„To nie jest pochówek”

W roku 1984 francuska policja odebrała telefon od nieznanego mężczyzny. Zaniepokojony oby-

watel doniósł, że w zachodniej Francji pewien starszy pan na gwałt usiłuje kupić duże ilości trudno dostępnej substancji chemicznej. Chodziło o tak zwany suchy lód, czyli zestalony dwutlenek węgla stosowany w laboratoriach do mrożenia próbek. Kilka dni później policja odwiedziła mały zamek w regionie Anjou i przeszukała jego właściciela, doktora Raymonda Martinota. W podziemiach Château du Preuil emerytowany lekarz pokazał policjantom dużą zamrażarkę. Pod pokrywą znajdowało się ciało jego żony. Wbrew pozorom doktor Martinot nie skrócił jej życia. Wręcz przeciwnie: próbował je przedłużyć.

nak sprawa wyszła na jaw. Prasa okrzyknęła go francuskim Frankensteinem, a władze zażądały, by natychmiast pogrzebać ciało swojej żony. Martinot nie chciał się zgodzić. Jakimś cudem urzędnicy w końcu ustąpili. Zamrażarkę zaplombowano, a ponieważ stała w zamkowych podziemiach, które od biedy mogły uchodzić za kryptę, uznano ją za tymczasowy grób. Urzędnicy zapowiedzieli jednak, że po śmierci Raymonda ciało jego żony zostanie przeniesione na zwykły cmentarz.

Raymond Martinot zmarł miesiąc temu. Mimo słabych płuc dożył 80 lat. Zanim władze mogły interweniować, Remy Martinot umieścił ojca w tej samej zamrażarce, w której od 18 lat spoczywa jego matka. Sam też zamierza kiedyś dołączyć do rodziców. „Umieszczenie ciała w lodówce to nie pochówek” – mówi francuski prokurator Christian Prioux. W ubiegłym tygodniu sąd przyznał mu rację. Remy Martinot zapowiada apelację.

Stąd do wieczności

Wiara w nieśmiertelność nie jest już przywilejem ludzi religijnych. W miarę jak wydłuża się nasza żywotność, coraz więcej ludzi przestaje akceptować to, co w ich egzystencji od zawsze było pewne: że kiedyś umrą. Wielu postrzega dziś starość jako chorobę, a śmierć jako zrzękanie losu, którego w przyszłości będzie można uniknąć. Są ludzie, którzy osiągnięciu nieśmiertelności podporządkowali całe swoje życie.

Wierzą, że droga do wieczności wiedzie przez zamrożenie. Zamiast o śmierci mówią o zawieszeniu. Nie zastanawiają się, czy czeka ich nowe życie. Oni w to głęboko wierzą.

Robert Ettinger jest jednym z nich. Dziś ma 85 lat i mieszka pod Detroit w stanie Michigan. Niebawem nadejdzie dzień jego śmierci, a wtedy na własne życzenie zostanie zamrożony. Po kilku tygodniach skomplikowanych zabiegów jego ciało zostanie schłodzone do temperatury 190 stopni poniżej zera i trafi do zbiornika z ciekłym azotem. Być może nawet do tego samego, w którym Ettinger umieścił wcześniej swoją matkę i dwie kolejne żony.

W tym roku Robert Ettinger będzie świętował 40. rocznicę wydania „Perspektywy nieśmiertelności”

– książki, w której po raz pierwszy padło stwierdzenie, że życie wieczne leży w zasięgu ręki. Już w roku 1962 Ettinger przekonywał, że przy obecnym tempie badań medycyna w niedalekiej przyszłości poradzi sobie ze starzeniem i większością śmiertelnych chorób. Dziś twierdzi, że przełom nastąpi w ciągu najbliższych 50 lat. Cokolwiek by mówić o optymizmie jego prognoz, Robert Ettinger od początku przyznawał, że większość współczesnych ludzi nie zdąży skorzystać z dobrodziejstw tych odkryć. Dlatego opracował technikę zamrażania, która pozwala przechować ciało do czasu, gdy medycyna będzie umiała je wskrzesić, wyleczyć i odmłodzić. „Dorastając, po prostu wiedziałem, że nauczymy się leczyć starość” – mówi dziś starszy pan w okularach. Ettinger uchodzi za ojca kloniki, czyli techniki zamrażania ludzkich zwłok z myślą o ich przyszłym wskrzeszeniu.

Zabieg zawieszenia klonicznego wykonano po raz pierwszy 12 stycznia 1967 r. Pod wpływem książki Ettingera na zamrożenie zdecydował się amerykański profesor psychologii James Bedford. W roku 1976 z myślą o badaniach i świadczeniu usług klonicznych Ettinger

założył w Michigan prywatny instytut. Pierwszą „pacjentką” została w 1977 matka założyciela Rhea Ettinger. Jak dotąd zamrożono tam 37 osób, a 310 zarejestrowało się już na zabieg w razie nagłej śmierci. Za dodatkową opłatą Instytut Kloniczny zamraża również zwierzęta swoich klientów. Oprócz ludzi pod opieką Ettingera znajduje się jeszcze sześć psów i 10 kotów.

W całych Stanach „zawieszono” jak dotąd ponad 90 osób. Połowa z nich trafiła do ciekłego azotu w ciągu ostatnich trzech lat. Instytut Kloniczny w Michigan jest dziś jednym z sześciu amerykańskich ośrodków, które świadczą tego rodzaju usługi. Za zamrożenie i bezterminową opiekę nad ciałem przyszli „pacjenci” muszą zapłacić wybranej firmie od 28 do 150 tysięcy dolarów. Większość klientów wykupuje w tym celu ubezpieczenia na życie. Instytut Ettingera ma nawet zniżkę dla studentów, a w ramach zwykłej ceny zapewnia przechowanie rodzinnych pamiątek. Konkurencyjny Alcor założył Fundację Reanimacji, gdzie żyjący kandydaci do zamrożenia mogą deponować oszczędności na „nowy” początek w przyszłym życiu. Fundusz działa w Liechtensteinie.



Pod opieką Alcoru przebywa obecnie 48 „pacjentów”. Na stronie obok: zamrażarka z ciałem Monique Martinot we francuskim zamku Preuil

Wszędzie indziej prawo zakazuje posiadania czegokolwiek przez zmarłych. Jak na razie żadna firma krioniczna nie gwarantuje wskrzeszenia. Wszystkie zobowiązują się natomiast rozmrozić „pacjenta”, gdy tylko medycyna będzie umiała go ożywić i wyleczyć.

Niech spoczywa w azocie

W porównaniu z techniką, jaką stosuje się obecnie w Ameryce, eksperymenty doktora Martinota to czysta amatorszczyzna. Specjaliści od zamrażania wkraczą do akcji natychmiast po orzeczeniu zgonu, często jeszcze w szpitalu, w którym

ki. Dopiero gdy całe ciało jest nasączone glicerolem, rozpoczyna się właściwe mrożenie. Przez pierwszy tydzień zwłoki są wychładzane do temperatury -80 stopni za pomocą oparów suchego lodu. W drugim tygodniu stopniowo zanurza się je w ciekłym azocie o temperaturze -196 stopni. Po całkowitym zamrożeniu ciało zostaje zamknięte w tak zwanym kriostatcie, czyli specjalnym hermetycznym termosie z azotem. Jeśli tylko azot będzie regularnie uzupełniany, „pacjent” może w nie naruszonym stanie przetrwać nawet kilkaset lat.

Tym, których nie stać na zawieszenie całego ciała, Fundacja Przedłużania Życia „Alcor” z Arizony proponuje tak zwaną opcję *neuro*, czyli zamrożenie samej głowy. Zapewnia, że doklonowanie reszty ciała nie powinno być w przyszłości najmniejszym problemem, a przechowywanie głowy jest po prostu tańsze. Część krionistów uważa jednak, że korzyści ze stosowania tej metody są znikome, a dekapitacja klientów robi krionice fatalną reklamę. Gdy kilka lat temu znany amerykański uczony Marvin Minsky zapisał się do zamrożenia, jedna z gazet zapytała: „Dlaczego ten facet chce, aby mu odciąć głowę?”. Krioniści uważają, że osobowość człowieka zapisana jest w mózgu. Nie wierzą w duszę ani w nic, co można by wyzłazić w chwili śmierci.

Zawieszenia krioniczne są dziś legalne w kilku amerykańskich stanach. Nigdzie nie wolno ich wykonywać przed śmiercią. „Nie wolno nam zajmować się żywymi ludźmi, bo nie jesteśmy lekarzami. Gdyby nasi pacjenci nie byli martwi w świetle prawa, towarzystwa ubezpieczeniowe nie musiałyby wypłacać odszkodowań, z których opłacamy zawieszenia” – mówi Stephen Bridge z Alcoru. Jednak zwolennicy krioniki wierzą, że z czasem będzie wolno zamrażać ludzi również za życia.

Na początku lat 90. do sądu w Kalifornii wpłynął wniosek o zgodę na wykonanie zawieszenia krionicznego przed śmiercią. Thomas Donaldson miał raka. Chciał poddać się zamrożeniu, zanim choroba całkowicie zniszczy jego mózg i uniemożliwi tym samym ewentualne wskrzeszenie. Sąd stwierdził, że nie może wydać zgody na morderstwo na prośbę ofiary.

Alcor, którego siedziba mieści się obecnie w Scottsdale w stanie Arizona, kilkanaście lat temu znalazł się w poważnych tarapatkach. W grudniu 1987 tamtejsi specjaliści zamrozili głowę 83-letniej Dory Kent, matki jednego z dyrektorów fundacji. Z powodu rzekomego niedopatrzania zawieszenie zostało wykonane przed podpisaniem aktu zgonu. Miesiąc później w siedzibie Alcoru zjawił się koroner okręgowy. Zażądał rozmrożenia głowy i oddania jej do autopsji. Gdy pracownicy powiedzieli, że nie wiedzą, gdzie jest głowa pani Kent, pięciu z nich zostało aresztowanych. Podejrzewano, że kobieta mogła zostać zamrożona przed śmiercią.

Mimo kilkuletniego śledztwa prokuratura nie zdołała postawić żadnych zarzutów, a sąd w prece-densowym postanowieniu uznał za-danie rozmrożenia głowy za bez-prawne. Po doświadczeniach z prasą przy okazji procesu Alcor trzyma dziennikarzy na dystans. Za zwiedzanie laboratorium trzeba zapłacić dwa tysiące dolarów, a przed każdym wywiadem należy podpisać zobowiązanie, że w artykule nie padną słowa „trup”, „zwłoki”, „sztyw-ny” ani „padlina”.

Mimo sprawy Dory Kent i wygórowanych cen do Alcoru wciąż zgłaszają się chętni do zawieszenia. Obecnie jest ich 564. Alcor wyprze-dza Instytut Krioniczny Ettingera również pod względem liczby „pacjentów”. W Arizonie na wskrzeszenie czeka między innymi James Bedford. Alcor przejął go od Kalifornijskiego Stowarzyszenia Krioniki, które zbankrutowało i nie miało pieniędzy na dalszą opiekę. Ale nie wszyscy, którzy zdecydowali się na zawieszenie pod koniec lat 60., mieli tyle szczęścia. Plajta kilku firm krionicznych doprowadziła do rozmrożenia około 30 „pacjentów”. Zamiast w przyszłość ciała trafiły na cmentarz.

Choć zawieszenia wykonuje się dziś wyłącznie w Ameryce, do firm krionicznych powoli zaczynają się zgłaszać również Europejczycy. Brytyjski oddział firmy Ettingera ma już 51 członków, którzy zapisali swoje ciała amerykańskim krionistom. Po śmierci zostaną przewiezieni do USA i zamrożeni. W kolejce do kąpie-li w azocie czeka również pięciu Holendrów, dwóch Niemców i jeden Włoch. W Polsce nie ma jak dotąd

żadnego kandydata do zamrożenia. Podobnie jak w innych krajach, tak i u nas trzymanie ciała w zamrażarce byłoby zapewne nielegalne. Zapewne, bo z braku precedensu nie ma w polskim prawie przepisu, który jednoznacznie zabraniałby zamrażania zwłok. Choć ciekły azot jest w wolnym obrocie, a kriostaty można by stosunkowo łatwo sprowadzić z Ameryki, polscy przedsiębiorcy pogrzebowi nie mają zamiaru rozszerzać swojej oferty.

Krowa z hamburgera

Krytycy uważają, że mrożenie ciał to szarlataneria i sposób na wyciąganie od ludzi kosmicznych pieniędzy. „Wiara, że za pomocą krioniki można przywrócić do życia kogoś, kto został zamrożony, to mniej więcej to samo, co pomysł, że z hamburgera da się z powrotem zrobić krowę” – mówi kriobiolog Arthur Rowe.

– Jak na razie nie próbowaliśmy nikogo wskrzeszać, bo daleko nam jeszcze do tego, żeby to umieć – mówi weteran krioniki Robert Ettinger. Współczesna medycyna nie potrafi nawet odwrócić zniszczeń powstałych w wyniku mrożenia. Jednak Ettinger pozostaje optymistą. Wierzy, że pierwsi „pacjenci” powrócą do życia w ciągu 50 lat, a ci z największymi uszkodzeniami – w ciągu 200. Instytut Krioniki zamierza wspomagać ich rehabilitację i przygotować na kontakt z nową rzeczywistością. Tymczasem dla członków, którzy cieszą się jeszcze pierwszym życiem, wydaje miesięcznik. Forum wymiany myśli krionicznej nosi tytuł „Magazyn Nieśmiertelnika” i omawia wszystko, co istotne z punktu widzenia wieczności.

– Jest bardzo niewielka szansa, że przełom w leczeniu starości nastąpi przed moją śmiercią – mówi Robert Ettinger. – Koniec śmierci ze starości nastąpi prawdopodobnie w ciągu 50 lat. To oznacza, że wnuki ludzi żyjących dzisiaj nigdy nie umrą. A to stawia całość życia w zupełnie nowej perspektywie. Jedno – to myśleć o sobie jako o kolejnej generacji w niekończącym się łańcuchu pokoleń. Ale myśleć o sobie jako o ostatnim dinozaurze, to już coś zupełnie innego.

WAWRZYNIEC SMOczyński

Tybetańskie korzenie

Miażdżycy nie rozpoczyna się w późnym wieku. Ona atakuje wcześniej, nawet całkiem młodych ludzi. Złogi w naczyniach krwionośnych tworzą się bowiem już pomiędzy 20. a 30. rokiem życia. Tyle że uszkodzenia ścian owych naczyń nie manifestują się jeszcze chorobą. Dusznica bolesna, zawał, choroba niedokrwienna mózgu przychodzą znacznie później. Na ogół wtedy, gdy pomagają im się wyzwolić takie czynniki jak papierosy, alkohol, stres, nieprawidłowa dieta, brak ruchu...

Zgrubienie i usztywnienie ścian tętnic, zmniejszenie ich światła to w rezultacie mniejszy dopływ krwi niezbędnej do odżywienia tkanek i narządów. To niedotlenienie organizmu. Czy dziwić się, że ten odmawia posłuszeństwa – i nawet nogi nie chcą nas nosić?!

Choroba kończyn dolnych nie jest rzadka. Blaszkę miażdżycową usadowioną w dużych tętnicach obwodowych nóg wielu osobom utrudniają chodzenie, sprawiają ból lub przyczyniają się do drętwienia łydek, stóp, ud, bioder, a nawet pośladków. Lekarze niedostateczny dopływ krwi do pracujących mięśni określają miażdżycą zarostową tętnic i uznają za przyczynę tak zwanego chromania przestankowego – schorzenia postępującego, jeśli się nie podejmie stosownej terapii i nie wzmocni organizmu odpowiednio dobranymi lekami immunokorekcyjnymi, które między innymi sprzyjają regulacji procesów metabolicznych tłuszczów (np. cholesterolu), powodują też zmniejszanie lepkości krwi, co ułatwia jej przepływ przez zwężone miażdżycą naczynia.

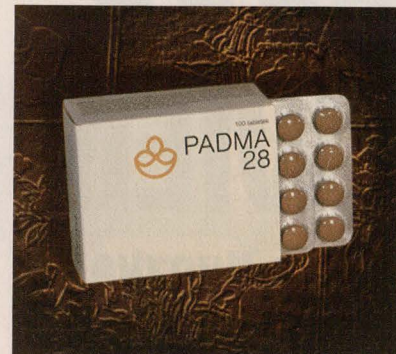
Systemowa triada

Układ odpornościowy (immunologiczny) każdego człowieka jest ściśle związany z układem nerwowym i gruczołami wydzielania wewnętrznego. Ta systemowa triada, jeśli jej elementy harmonijnie ze sobą współdziałają i dobrze nadzorują procesy metaboliczne, broni nas przed chorobami. Jeśli jednak jej sprawność słabnie – zdrowie jest zagrożone. Nie wytrzymujemy ataku rozmaitych bakterii, wirusów, pasożytów czy grzybów. A ten objawia się nie tylko nawracającymi infekcjami dróg oddechowych, przebiegającymi, grypą. Również schorzeniami tak uciążliwymi, jak choćby wspomniana tu miażdżycy, która jest ściśle związana z procesem zapalnym toczącym się w ścianach naczyń.

System odpornościowy chroni, oczyszcza i naprawia cały organizm człowieka – tak można najkrócej powiedzieć o roli, jaką przypisała mu natura. Dlatego nawet najlepszy lek chemiczny zaordynowany w jakiejś chorobie często likwiduje tylko objawy tej choroby, nie jej przyczynę. Ta bowiem tkwi w zachwianiu równowagi wśród wielkiej liczby procesów i mechanizmów, jakie zachodzą w układzie obronnym. I właśnie przywrócenie tej równowagi staje się sprawą numer jeden!

Otwieranie skarbnicy

Immunologia – gałąź medycyny, która korzysta z najświeższych osiągnięć wiedzy o człowieku oraz z najnowszej generacji aparatury technicznej niezbędnej do prowadzenia badań naukowych – wie o tym najlepiej. Jednak nie ma co ukrywać: to nie w wieku XX, ale już dużo wcześniej medycyna tybetańska wzięła pod uwagę równowagę sił w organizmie. Przed tysiącami lat głosiła również, że człowieka należy postrzegać jako częsteczkę świata roślin, zwierząt i ludzi tworzącą z nimi jedność.



Przekaz ten usiłowano jednak przez wieki bagatelizować. Holistyczne podejście do człowieka, do jego zdrowia i chorób, nie było popularne ani w Polsce, ani w wysoko rozwiniętych krajach stawiających na medycynę akademicką. Dopiero ostatnie dziesięciolecia odmieniły myślenie. Uważniej zaczęto się przyglądać skarbnicy zapisów opierających się na połączeniu medycyny hinduskiej, chińskiej, uzbeckiej, a nawet mongolskiej.

Receptury ziołowych specyfików i metody leczenia sprzed wieków zainspirowały wielu współczesnych lekarzy i farmakologów z krajów europejskich i amerykańskich. Na jeden ze specyfików zwrócił uwagę również Polak prof. Witold Brzosko, który kierował między innymi Zakładem Immunopatologii Instytutu Chorób Zakaźnych i Pasożytniczych AM w Warszawie. Jego pomysł poddano weryfikacji z użyciem najnowszych metod badawczych w Szwajcarii, Danii, Niemczech, Polsce i Izraelu. W efekcie zarejestrowano jako lek PADMA 28. Wieloskładnikowa kompozycja ziołowa, która reguluje procesy metaboliczne, działa przeciwzapalnie, co ma ogromne znaczenie w terapii zwalczającej miażdżycę. Zwłaszcza tę, której blaszki usadowiły się w tętnicach obwodowych kończyn dolnych.

Kwiat lotosu

Padma znaczy kwiat lotosu. Produkowany w Szwajcarii preparat jest mieszkanką 20 ziół uprawianych na specjalnych plantacjach w Europie oraz Indiach, na dodatek precyzyjnie wyselekcjonowanych za pomocą nowoczesnych metod biochemicznych, takich jak chromatografia cienkowarstwowa.

PADMA 28, co dowiedziono w praktyce, działa na organizm wielowarstwowo. Reguluje metabolizm tłuszczów i cholesterolu. Łagodzi stany zapalne. Poprawia napięcie naczyń krwionośnych oraz zmniejsza lepkość krwi i ułatwia tworzenie krążenia obocznego – co pozwala omijać zatkane złożami naczynia.

Czy ten specyfik to panaceum na wszystkie dolegliwości? Takiego leku dotąd nie wymyślono. O tym jednak śmiało można powiedzieć, że wspomaga leczenie podstawowe chorób naczyniowych, zwłaszcza miażdżycy zarostowej tętnic. I nie powoduje ubocznych, niepożądanych dla organizmu skutków.

Zakręcenie

Medycyna tybetańska, choć nie знаła pojęcia „immunologia” ani nie dysponowała – jak dziś medycyna akademicka – laboratoriami wyposażonymi w specjalistyczną aparaturę do oceny biologicznych właściwości roślin, doceniała siły obronne organizmu człowieka. Trzeba było wieków, aby właściwie ocenić jej wartość! A także sięgnąć do tradycji.

PADMA 28 dzięki uporowi polskiego profesora i szwajcarskiego aptekarza została uznana za lek w Szwajcarii w roku 1978, a w Polsce w roku 1992. Tak więc od 10 lat wspiera swoim działaniem nasz organizm w walce z toksycznym wpływem środowiska, infekcjami naszych dzieci oraz miażdżycą.

Teraz obecna jest już w wielu krajach. Wybitni specjaliści przeprowadzili bowiem niezależne od siebie badania kliniczne i potwierdzili efektywność terapeutyczną PADMY 28, a także jej działanie profilaktyczne we wzmacnianiu układu odpornościowego.

(teb)



W Alcorze na przyszłych klientów czekają już puste kriostaty

umiera klient. Podobnie jak w przypadku dawców przeszczepów ciało zmarłego jest podłączane do sztucznego płucoserca. Podawana dożylnie heparyna zapobiega krzepnięciu krwi, dzięki czemu nie dochodzi do obrzęku mózgu. Po przewiezieniu do Instytutu Krionicznego zmarłemu spuszcza się krew, a następnie płucze krwiobieg solą fizjologiczną, stopniowo dodając glicerol. Substancja ta zapobiega wytrącaniu się w komórkach kryształków lodu, które podczas zamrażania niszczą tkan-

SALON WYTRZEŻWIEN

pod redakcją Tadeusza Nyczka

ILUSTRACJE JOANNA SZACHOWSKA

NYCZEK: Uszanowanie państwu. Otwieram posiedzenie. Mamy już wszystkich? Redaktor Maria Kornatowska, dział filmu? Dziękuję. Redaktor Włodzimierz Bolecki, literatura? Jest. Maria Zielińska, teatr? Dobrze. Redaktor Andrzej Chłopecki, muzyka? Dziękuję. Paweł Dunin-Wąsowicz, media alternatywne? W porządku. A gdzie dział sztuki? Nie widzę redaktora Piotra Rypsona. A tak, dzwonił przed chwilą, że ma jakieś zajęcia na wyjeździe, ale spróbuję zdążyć. Proszę, słucham kolegów.

DUNIN-WĄSOWICZ: No dobra, mogę ja. Obudziłem się dzisiaj, w niedzielę, o 8.30, i poszedłem do kina Tęcza. To znaczy do budynku kina, w którym od czterech lat nic się nie dzieje. Otóż została tam urządzona druga Giełda Książek Przeczytanych, na której zgromadzono z 50 tysięcy tomów, które ktoś kiedyś przeczytał albo nie, i leżały w zapomnieniu w czyichś domach. Może nie wszystkie były aresztowane w domowych bibliotekach, ale na pewno było im ciężko na półkach. Może je bito, molestowano? (poruszenie wśród redaktorów). No a teraz zostały uwolnione. Zasada była taka: kupowało się bilet za 20 złotych i wolno było wynieść tyle książek, ile się uniesie. Ścisk był niewiarygodny. Dobry i tkliwy reportażysta zrobiłby z tego tematu cacko. Taki na przykład obrazek: przychodzi licealistka albo studentka, która zamiast te 20 złotych normalnie przepić czy przećpać, bierze na ręce książki, przyciska je do serca i wynosi. Społecznie temat niesłychanie nośny.

ZIELIŃSKA: A dlaczego tylko kino ma być od książek? Dobrym miejscem dla bezdomnych książek byłyby na przykład dworce, czynne na okrągło przez 24 godziny. Ludzie bezdomni

mogliby tam chodzić, ogrzewać się, no i czytać do woli.

DUNIN-WĄSOWICZ: Ale mieliby prawo do spędzenia nocy na dworcu tylko pod warunkiem, że naprawdę przeczytają książkę.

KORNATOWSKA: A zakład psychiatryczny? Lecznica kompleksów zarówno autorów, jak i nieznających się na książkach księgarzy.

NYCZEK: Fakt. Niektóre książki powinny być wyleczone, to znaczy napisane na nowo.

DUNIN-WĄSOWICZ: Przez zupełnie kogo innego.

NYCZEK: Na przykład?

DUNIN-WĄSOWICZ: Na przykład przez nie same. To znaczy niech, powiedzmy, piszą to, czego w nich nie napisali autorzy, z różnych względów. Może wypełniłyby się te wszystkie znane nam luki w historii?

CHŁOPECKI: Albo wręcz wyprostowały kłamstwa i przekreśliły zapisane w nich przez załganych autorów.

KORNATOWSKA: Ja myślę, że można by też zrobić wywiad z książką – co ona sama sądzi o swoim autorze. Myślę, że mielibyśmy tu niejedną rewelację.

DUNIN-WĄSOWICZ: Na przykład co sądzi „Popiół i diament” o Jerzym Andrzejewskim, który przerobił końcówkę powieści. Ja na przykład miałem kłopoty w liceum, bo przeczytałem pierwsze wydanie „Popiołu i diamentu” i jak pani odpytywała, to odpowiedziałem według pierwszej końcówki, a okazało się, że miało być już według drugiej.

KORNATOWSKA: Ja mam pomysł na cały cykl reportaży. Polska szkoła filmowa, jak wiadomo, dziesiątki lat leżała na polskiej przeważnie książce. Teraz jest kłopot, bo Andrzejewski nie

► Członki redakcji – od lewej w prawo dookoła: PIOTR RYPSOŃ – krytyk i historyk sztuki, kurator wystaw. Publikuje w kraju i nie tylko; MARIA KORNATOWSKA – krytyk filmowy, redaktor miesięcznika „Kino”, wykłada w łódzkiej szkole filmowej



Redaktor: PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ – krytyk, bard, specjalista od literatury ciekawej, ale antypopularnej, eksredaktor „Machiny”, obecnie w „Przekroju”; ANDRZEJ CHŁOPECKI – muzykolog, publicysta muzyczny ze specjalizacją: XX wiek, wykład

iw ogóle mieszka w Łodzi: WŁODZIMIERZ BOLECKI – profesor IBL PAN, krytyk, wykładowca historii literatury, sporo wydanych książek; MARIA ZIELIŃSKA – krytyk teatru, eksredaktor „Dziś i jutro”, rzecznik prasowy Teatru

żyje, Iwaszkiewicz nie żyje, Konwicki nie pisze i nie kręci, a nowych arcydzieł nie widać i polska szkoła filmowa musi szukać tematów po blokowiskach albo u Sienkiewicza. Ale pojawiło się światło w tunelu. Mianowicie w Łodzi, gdzie teraz wyburza się bardzo dużo budynków w nadziei, że ktokolwiek z obcych inwestorów postawi nowe, na strychu jednego z nich znaleziono przypadkiem niezwykłą książkę. Autorką okazała się... Mniszkówna.

Powieść rewelacyjna, z kluczem, który otwiera bardzo istotne tajemnice z życia różnych ważnych postaci przedwojnia. Przy okazji książka okazała się zupełnie inna od znanych dotychczas powieści Mniszkówny. Ukazuje mianowicie załóżki ruchu feministycznego w Polsce, nową, niezależną postać kobiety, kompletne przeciwieństwo Stefci z „Trędowatej”. Autorka podjęła też całkiem nowy w literaturze polskiej wątek miłości lesbijskiej, bo bohaterka po wyzwoleniu się spod jarzma mężczyzny w czyjeś sidła musi wpaść, wobec tego wpada w ramiona wyzwolonej lesbijski. W kontekście anachronicznej obyczajowo Polski był to akt brawurowy, szalenie nowatorski. Wszystkie pokolenia filmowe od Pasikowskiego do Kawalerowicza rzuciły się więc na tę retroawangardową powieść. Zwężono szanse sukcesu porównywalnego co najmniej z „Harrym Potterem”. Liczono na możliwość nagród na różnych festiwalach kina feministycznego. Ale zaraz na początku powstał problem scenariusza. Zgodnie z tradycją ogłoszono jakby konkurs...

NYCZEK: Ktoś go wygrał?

KORNATOWSKA: Tego jeszcze nie wiemy. Do konkursu przystąpiły przede wszystkim polskie pisarki, od Tokarczuk i Tulli po Manuę Gretkowską.

CHŁOPECKI: Ja przypadkowo znam sprawę, choć od innej strony. Otóż z tego, co wiem, zainteresował się tą powieścią jako kanwą do swojej nowej opery Krzysztof Penderecki. Spotkał się już podobno z reżyserem Krzysztofem Warlikowskim. Jak znamy Warlikowskiego, nurt lesbijski na pewno będzie atrakcyjnie potraktowany. I oczywiście dodatkowo uwznioślony przez muzykę, pamiętamy przecież ten wielki ciąg oratoriów religijnych Pendereckiego.

KORNATOWSKA: Słyszałam, że z propozycją zwrócono się też do Mariusza Trelińskiego, po niedawnym wielkim sukcesie w Waszyngtonie jego „Madame

Butterfly”. Zgłosił propozycję inscenizacyjnego wzbogacenia opery o wątek gejowski.

BOLECKI: A muzyka? To przecież najważniejsze.

DUNIN-WĄSOWICZ: Jak znam życie, skończy się na Preisnerze.

KORNATOWSKA: Wytrzymałam was dość długo. Otóż scenariusz pisze Agnieszka Holland. Ponieważ współpracuje z Janem A.P. Kaczmarkiem, który ostatnio robi dla niej muzykę – pamiętacie „Całkowite zaćmienie” czy „Plac Waszyngtona” – więc zdecydowała, że Kaczmarek. To szalenie sprawny technicznie kompozytor. Potrafi wczuć się w każdą epokę, świetnie naśladować różne style, nawet operę.

Wciąż pozostaje otwarty problem, kto będzie reżyserem tego pierwszego arcydzieła XXI wieku. Jak wiadomo, w kluczowych kwestiach narodowych Holland współpracowała z Andrzejem Wajdą. Powstaje pytanie, czy ustąpi Mniszkównę Wajdzie z uwagi na to, że jako czwarty wieszcz tylko on będzie w stanie dźwignąć tę książkę do pułapu oscarowego. Szykuje się szalenie fascynujący spór, czysto ideowy, bo Wajda jest twórcą narodowym, spadkobiercą romantycznego dziedzictwa naszej literatury, Agnieszka natomiast już zakorzeniła się na Zachodzie i potrafiłaby przenieść tematykę polską na grunt międzynarodowy.

DUNIN-WĄSOWICZ: Dobrze byłoby zainteresować tą sprawą panią minister Jakubowską, żeby

Komitet Kinematografii tę produkcję sfinansował.

BOLECKI: Liga Rodzin Polskich zaprotęstuje, że za pieniądze polskich podatników finansuje się filmy, które uwłaczają godności kobiety polskiej.

KORNATOWSKA: Na szczęście na straży stoi tu właściciel, spadkobierca praw autorskich,



bo jeszcze one nie wygasły. To jest znana skądinąd osoba.

ZIELIŃSKA: Jak znam życie, pierwsza „Gazeta Wyborcza” rzuci się powtórzyć swój sukces z obsadzaniem przez społeczeństwo narodowych arcydzieł. Pamiętacie awantury o Zosię w „Panu Tadeuszu”?

KORNATOWSKA: W tej sytuacji muszę zdradzić imię głównej bohaterki. To Ewelina, bo powieść właśnie „Ewelina” się nazywa.

CHŁOPECKI: Czy jest jakaś jasność w sprawie wieku Eweliny?

KORNATOWSKA: Ma tyle lat co wszyscy. Koło trzydziestki.

NYCZEK: Czyli już wiemy, kto zagra...

DUNIN-WĄSOWICZ: Polska Bridget Jones do wolnego wieku, czyli Krystyna Janda.

NYCZEK: Cisz! Proszę o spokój! Głupie uwagi nie będą protokolowane. Na pewno nie zagra Agata Buzek, a nic nam nie wiadomo o dzieciach Leszka Millera. Redaktor Zielińska, słuchamy, co koleżanka proponuje z działu teatru? Osobiście mam niesprawdzoną wiadomość, że w Teatrze Narodowym pewien reżyser młodego pokolenia przygotowuje inscenizację „Żab” Arystofanesa.

ZIELIŃSKA: Potwierdzam. Chodzi o Zbigniewa Zamachowskiego. Tak tak, właśnie. To jest odpowiedź Jerzego Grzegorzewskiego, dyrektora artystycznego tej sceny, na falę młodej reżyserii, która przetacza się przez teatr polski i jest utożsamiana ze ścisłym i zamkniętym gronem nazwisk Warlikowskiego, Cieplaka, Jarzyny.

DUNIN-WĄSOWICZ: Przepraszam, ja się nie znam na teatrze; czy to się pisze razem?

ZIELIŃSKA: Tak jest: warlikowskiciplakjarzyna@rozmaitosci.com.pl. Próby zaczęły się w styczniu, premiera w maju. Atmosfera jest żywa, bo jak państwo pamiętacie, ta sztuka to materiał wybuchowy. Wkrótce po prapremierze „Żab” w starożytnych Atenach wprowadzono cenzurę, nie można już było czynić odniesień do bieżących wydarzeń i osób. „Żaby” będą podane ze Sceny Narodowej w nowej parafrazie, równie niebezpiecznej jak oryginał, przygotował ją poeta i uczoney krakowski Bronisław Maj. Muzykę pisze, a też i zaśpiewa ze sceny, kolejny krakus Grzegorz Turnau. Grzegorzewski odpowiada więc hasłem zamachowskimalajkaturnau@waw&krakow.com.pl.

NYCZEK: Ach, to stąd po Krakowie ostatnio chodziły słuchy, że nigdzie nie widać Turnaua, ponieważ przesiaduje nad stawami i nagrywa żabie dźwięki.

CHŁOPECKI: Jak to możliwe, że ja o tym nie wiedziałem? Żaby, proszę państwa, mają swoją bogatą tradycję muzyczną! Wszyscy wiemy o nurcie ptasim, bo z tego składa się cała niemalże twórczość genialnego Oliviera Messiaena. Natomiast jego uczeń François-Bernard Mâche stworzył nurt, może to śmiesznie zabrzmie,

zwany zoomuzykologią. Podczas wakacyjnych kursów dla młodych polskich kompozytorów w Radziejowicach przedstawiał swoje nagrania żab właśnie. Otóż żaby wydają dźwięki bardzo specyficzne w sprawach pragmatycznych. Ćwierkają, gdy wschodzi słońce, szczękają zębami, gdy głodne, gardłowo kumkają, gdy czują ciąg do innej żaby. Z nagrań Mâche’a wynika, że potrafią nawet tworzyć spontanicznie kanony, wręcz fugi. Zaczyna jedna, a druga w pewnym odstępie powtarza dokładnie tę samą frazę, tak jak na przykład u kompozytorów niemieckich. Także Bach stosował tego typu triki.

NYCZEK: I dlatego go wyrzucili z kościołów do filharmonii. Redaktor Bolecki, co u was?

BOLECKI: Jak państwo wiecie z informacji podanej w mediach, rozpoczęła się już kolejna edycja Nagrody Literackiej NIKE 2002. Już po pierwszej selekcji zgłoszonych książek pojawił się problem, ponieważ wydawcy przysłali wiele książek opublikowanych pod pseudonimami. Okazało się, że do najpopularniejszych pseudonimów należą nazwiska takich mistrzów jak Gogol, Kafka, Zoszczenko, Tomasz Mann, Gombrowicz, Calvino, Joyce, Mrozek, Szymborska, Herbert, Herling, Mickiewicz. Pseudonimami okazały się też nazwiska pisarzy żyjących, a nawet dotychczasowych laureatów nagrody, a więc takich pisarzy jak Myśliwski, Miłosz, Barańczak, Różewicz...

DUNIN-WĄSOWICZ: ...I Pilch też.

BOLECKI: (nieco zbity z pantałyku) ...Pilch? A, Pilch! Oczywiście. Wiadomo na pewno, że Chopin jako kompozytor nie może brać udziału, chyba że jako autor listów. Chopin to Polak, proszę kolegów, a nie wódka, i proszę się nie śmiać, bo nie o Chopinie to świadczy.

NYCZEK: Redaktorze Bolecki, co wy tu, za przeproszeniem, chrzanicie?

BOLECKI: Za przeproszeniem. To problem został schrzaniiony. I już chrzanie, to znaczy mówię dalej. Więc okazało się, że trzeba oddzielić utwory opublikowane przez autorów pod własnymi nazwiskami od utworów opublikowanych pod takimi samymi pseudonimami. Co do zmarłych mistrzów, to pół biedy, bo można na przykład nagrodzić żyjącego autora o pseudonimie Gogol, choć nie ma pewności, czy nagrodzony utwór nie okaże się odkrytym właśnie nieznanym wcześniej utworem wielkiego pisarza. Cała bieda zrobiła się natomiast z pseudonimami, którymi okazały się nazwiska autorów żyjących. Istnieje mianowicie obawa, że utwór oryginalny mógłby zostać uznany za opublikowany przez kogoś pod pseudonimem, a opublikowany pod pseudonimem zostałby przypisany właścicielowi prawdziwego nazwiska. Chcąc wyeliminować takie nieuchronne pomyłki, jury nagrody obradowało więc wstępnie w rozszerzonym składzie, czyli razem z rzeczywistymi autorami. I na tym by się zapewne skończyło, ale okazało się,



że nawet autorzy o prawdziwych nazwiskach nie byli w stanie orzec, czy opublikowane pod ich nazwiskami-pseudonimami utwory nie są przypadkiem ich własnymi utworami. Ja bym jurorom nie zazdrościł.

NYCZEK: Bardzo ciekawe. Nic nie rozumieliśmy, ale widać nasze umysły nie są na miarę.

BOLECKI: To państwu powiem rzecz jeszcze bardziej kłopotliwą. Otóż z kół towarzyskich zbliżonych do redaktora naczelnego wydawnictwa Znak, ojca Jerzego Illga, wyszły słuchy, że wśród teologów współpracujących z wydawnictwem zrodziły się wątpliwości, kto rzeczywiście jest autorem „Traktatu teologicznego” podpisanego przez Pewne Znanie Nazwisko. W tej chwili trwa ustalanie, na ile zasadne było publikowanie tego znamienitego utworu pod nazwiskiem Czesława Miłosza, który, mówiąc między nami, niewątpliwie musiał w tym maczać swoje pióro. Ale ponieważ nawet Biblii nie drukuje się pod nazwiskiem

Na strychu łódzkiej kamienicy znaleziono nieznaną powieść Mniszkówny. Ukazuje załóżki ruchu feministycznego w Polsce. Wszyscy chcą to zekranizować

autora, więc sprawa jest delikatna, sami państwo rozumiecie...

CHŁOPECKI: Problem znany jest w środowiskach muzycznych. Już Witold Lutosławski stwierdził, że nie on jest właścicielem swojego własnego talentu, a tylko depozytariuszem czegoś, co jest własnością wspólną, ogólnie daną przez Pana Boga. Wszak to jemu właśnie, a nie koledze Kowalskiemu, boskie *universum* powierzyło zadanie napisania III Symfonii.

(Nyczek nachyla się ku Boleckiemu i coś szepcze mu do ucha. Na twarzy Boleckiego pojawia się wzburzenie).

BOLECKI: Stanowczo protestuję przeciwko temu, co mi powiedział przed chwilą na ucho redaktor naczelny Nyczek. Protestuję przeciwko plotce, jakoby autorem „Traktatu teologicznego” był znakomity krytyk, od którego dowiedzieliśmy się o istnieniu tegoż „Traktatu...”, to znaczy profesor Jan Błoński. Jest zbyt zaprzyjaźniony z autorem poprzednich dwóch wielkich „Traktatów...” – „...moralnego” i „...poetyckiego” – by podpisy-

wać się pod tym trzecim. To jest traktat teologiczny, a nie krakowski. Krakowski może być sernik.

NYCZEK: Bolecki, zgłoszcie się do mnie do gabinetu jutro po 14.

(Drzwi się otwierają i wchodzi redaktor Rypson).

NYCZEK: Proszę, kogóż my tu widzimy. Witamy kolegę Rypsona. Spóźnił się kolega tylko drobne dwie godziny. Zaraz kończymy kolegium.

RYPSON: Ale... ja dzwoniłem... uprzedzałem...

NYCZEK: Możliwe. Macie pięć minut na zgłoszenie propozycji do działu plastyki.

RYPSON: Dobrze, przechodzę wprost do sprawy, bo ciężar jej jest znaczny i ledwo niosę. Jak wiadomo, są kłopoty z polską sztuką współczesną. Takie nazwiska jak Libera, Uklański, Kozyra i inne budzą grozę nie tylko wśród widzów, ale przede wszystkim posłów, władz lokalnych. Powstała więc inicjatywa powołania Muzeum Narodowego Sztuki Współczesnej – wysunięta przez Ligę Rodzin Polskich przy wparciu klubów parlamentarnych prawicowych i chłopskich.

CHŁOPECKI: Moiściewy, gadajcie, kumie, a rychło, bo mnie coś aż spiera, żeby wesprzeć.

RYPSON: Tu chodzi głównie o to, aby ubiec Andę Rottenberg, która szykuje jakieś nowe czy nowoczesne muzeum, tyle że nie takie, jak trzeba. Nasze ludowe Muzeum Narodowe Sztuki Współczesnej (MNSW) powstanie w Kielcach lub

w Lublinie, dyrektorem ma być lekarz-posel, nie pamiętam nazwiska, ale to ten, co zniszczył rzeźbę papieża w Zachęcie i za to dyrektor Rottenberg wyrzucono z pracy.

KORNATOWSKA: A nie za nazwisko?

NYCZEK: Nie za nazwisko, tylko z pracy, koleżanko Kornatowska.

RYPSON: Jest ponoć też pomysł, jak zachęcić tych krnąbrnych, ale jednak znanych artystów, żeby zrobili wreszcie coś przyzwoitego, bo w przeciwnym wypadku ich prace zostaną pokazane w specjalnej salce sztuki zepsutej.

BOLECKI: Czyli żeby zamiast stawiać wypchane zwierzęta jedno na drugich, porządnie je namalowali z uwzględnieniem okolicznego pejzażu.

RYPSON: Wyjście mi to, kolego Bolecki, z ust.

NYCZEK: I z tymi otwartymi ustami pozostawiamy kolegę Rypsona do następnego spotkania. Proszę się rozejść i nie zwracać niczyjej uwagi.

„Salon Wytrzeźwień” serdecznie dziękuje Klubowi „Bagatela” przy Bagateli w Warszawie za gościnę nas w swoich całkiem trzech progach.

Prawie dwa miliony dolarów zaliczki przyniosła 33-letniemu brytyjskiemu dziennikarzowi Hariemu Kunzru debiutancka powieść „Impresjonista”. Czy była tego warta, wkrótce ocenią także polscy czytelnicy

Rekondyzysta

Kiedy w roku 1995 Nicholas Evans otrzymał milion dolarów na poczet zysków z debiutanckiej powieści, w amerykańskiej prasie zawrzało. Środowisko wydawnicze przyzwyczajone było już do zaliczek nawet dwumilionowych, lecz dostawali je autorzy murowanych hitów: Tom Clancy, Danielle Steele czy Stephen King. Dlaczego debiutant dostał aż tyle, pytano, doszukując się odpowiedzi w domniemanych zaletach nieopublikowanej jeszcze wtedy powieści „Zaklinacz koni”. Nie wzięto jednak pod uwagę roli, jaką milionowa zaliczka zagra w kampanii reklamowej książki. A mechanizm takiej kampanii był dziecinnie prosty: oto powieść debiutanta, za którą wydawca zapłacił milion dolarów, i choćby z tego względu trzeba ją przeczytać. Poskutkowało. Sześć lat później jesteśmy świadkami kolejnej próby wypromowania pisarza za pomocą astronomicznej zaliczki.

Hari Kunzru przyjmuje gości w niczym niewyróżniającym się domku we wschodniej części Londynu. Szczypty, niewysoki, skromny, skory do żartów.

– Kiedy sprzedano już prawa na USA i kilka innych krajów, odwiedził mnie mój brytyjski wydawca. Akurat skończyłem odnawianie domu. Zapytał: „Hari, czy to za pieniądze, które ci zapłaciłem, odmalowałeś sobie dom?”. „Nie, niestety, to za pieniądze, które dostałem od wydawcy z USA”. „A ta piękna pomarańczowa lampa? Powiedz, że to za honorarium ode mnie!”. „Nie, przykro mi, to także za amerykańskie honorarium. Ale te plastikowe krzeselka kupiłem za twoje pieniądze”.

Urodzony w Londynie 33 lata temu, znany był dotychczas jako autor tekstów prasowych. Publikował między innymi w dziennikach „The Guardian” i „Daily Telegraph”, ale także w znanych magazynach „Wallpaper” i „Wired”.

– „Impresjonista” to trzecia powieść, jaką napisałem. Ale w Anglii bez agenta nie sposób wydać książki. Wydawca nawet nie przeczyta maszynopisu, jeśli nie dostanie go od agenta. Pracujesz latami nad powieścią, w końcu wysyłasz maszynopis do wydawnictwa, a tam nawet go nie przeczytają, tylko od razu wysłają ci standardowy druczek, że dziękujemy, ale nie, i życzymy powodzenia. I pewnie taki właśnie spotkałby mnie los, gdyby nie opowiadanie, które udało mi się zamieścić w pewnej antologii. Przeczytał je mój przyszły agent (którego zresztą podchodziłem od pewnego czasu, bo ma świetną renomę) i pewnego dnia zadzwonił z pytaniem, czy pracuję nad powieścią. Umówiliśmy się, że kiedy skończę, to mu ją pokażę.

Dzwonił do mnie od czasu do czasu i pytał, co z powieścią. Mówiłem, że z czegoś muszę żyć i dlatego idzie to tak powoli. Ale kiedy zbliżyły się londyńskie targi książki, zapytał, czy zdążę na marzec. Udało się. W piątek wysłałem mu e-mailem tekst powieści, a on już wcześniej umówił się z kilkoma wydawcami, że przeczytają ją podczas weekendu. Myślałem, że po kilku tygodniach coś usłyszę. A pierwszą ofertę dostałem już w poniedziałek. Po niej nadeszły kolejne. Stałem się nie okazywać zdumienia, byłem bardzo grzeczny, proszę, dziękuję i tak dalej. W końcu Hamish

Hamilton przebił wszystkich. A potem były targi. Przyjechali Amerykanie i robili to, co umieją najlepiej, czyli pokrzykiwali i przerzucali się olbrzymimi sumami. A agent nie próżnował i sprzedał prawa jeszcze kilkunastu wydawcom z różnych krajów.

W „Impresjonistcie” Hari Kunzru opowiada historię syna Hinduski i Anglika poczętego w niezwykłych okolicznościach – jego rodzice spotkali się tylko raz, kiedy matka udawała się na swój ślub z bogatym kaszmirskim kupcem. Chłopiec dorasta w przeświadczeniu o przynależności do elitarnej hinduskiej kasty; po śmierci matki tajemnicę jego pochodzenia zna tylko służąca. Gdy ją ujawnia, rodzina w jednej chwili wyrzuca nastolatka na ulicę.

Dalsze, wielce burzliwe koleje jego losu daje autorowi okazję do rozważań o kolonializmie, tożsamości narodowej i kulturowej, związku tego, co w ludzkim życiu najintymniejsze, z tym, co publiczne i polityczne, a więc z pozoru powierzchowne. Pod tymi względami jest „Impresjonista” powieścią typową dla literatury postkolonialnej, od kilkunastu lat niezmiernie poczytnej w krajach takich jak USA, Anglia, Francja, Hiszpania – i ich byłych koloniach. Są jednak w powieści Kunzru pewne smaczki wskazujące na to, że autor pragnie przełamać bariery istniejących konwencji. Czy doceni je krytyka i czytelnicy, przekonamy się już niedługo.

TADEUSZ PIÓRO

„Impresjonista” debiutuje na świecie 28 marca, w Polsce ukaże się w maju nakładem wydawnictwa Muza.

SKAZANI NA SUKCES

„Kto się boi Wirginii Woolf?” Albee’ego to sztuka o zdzieraniu masek przez ludzi, którzy byli dotąd w stanie wytrzymać ze sobą tylko dlatego, że te maski nosili. Ale w pewnej chwili coś pękło i otworzyły się wrota piekielne.

A było tak. Dwa małżeństwa po oficjalnym bankiecie wylądowały w domu jednej z par. Jest środek nocy, pora upiorów i mówienia prawdy. Dużo alkoholu. I do rana trwa dziwny, pół groteskowy, pół ekshibycyjny taniec śmierci wzajemnych złudzeń.

Wszyscy mówią sobie prawdę. Ale i kłamią. Wreszcie przestają odróżniać jedno od drugiego. Jedna maska kryje następną i następną. Aż do końca, po którym oczywiście nic już nie może wrócić do pierwotnego porządku.

Sztuka Albee’ego okazała się arcydziełem już w chwili, kiedy po prapremierze na Broadwayu w roku 1962 zapadła kurtyna. Wszyscy wiedzieli, że pojawił się dramat na miarę Czechowa czy Ibsena. Do dziś nie zestarzała się z niego ani jedna kwestia.

Wystawiano „Wirginię...” setki razy, zrobiono z niej świetny film z Elisabeth Taylor i Richardem Burtonem. Niestety, poprzeczka została zawieszona wysoko i trzeba się naskakać, żeby wejść do konkurencji. W Powszechnym wymyślono, żeby sztukę wyreżyserował Władysław Pasikowski, co miało być zagrywką z asem w rękawie. Mogło się udać. W końcu Pasikowski dostał też nie byle jakich graczy w postaci Krystyny Jandy, Marka Kondrata i Agnieszki Krukówny; jedynie Szymon Bobrowski ma w tym towarzystwie mniejsze nazwisko. Żeby zagrywka mogła wyjść, trzeba ją jednak zagrać.

Szkoda, że reżyser nie przećwiczył wcześniej „Wirginii...” w kinie, które zna i umie. Przyjął chyba jednak, że skoro film kreuje „rzeczywistość”, to teatr ją jedynie udaje i wszystko w nim jest sztuczne. Otóż rzeczywistość na scenie też istnieje, tylko trzeba umieć znaleźć do niej dobry klucz.



FOT. ARTUR PAWŁOWSKI

Krystyna Janda

Tymczasem u Pasikowskiego wszystko jest udawane. Scenografia udaje pretensjonalny salon amerykański, ale gdyby jego domownicy mieli mieszkać w nim naprawdę, pozabijaliby się znacznie wcześniej i nie byłoby sprawy. Monotonnie migoczący na tylnej ścianie odbłask z domyślnego basenu przypomina chwytły z przedwojennego kina: szosą pędzi kabriolet, z tyłu przewija się taśma z podskakującym pejzażem.

Krukówna co i rusz udaje się do łazienki na górę, by rzygać, rozbierać się po pijanemu i histeryzować, ale ilekroć stamtąd wraca, jest nienagannie odziana i umalowana. Wszyscy godzinami chleją na zmianę whisky z koniakiem, ale nad ranem wyglądają jak panna Melania po kieliszku anyżówki. Janda znacznie bardziej niż mąż-Kondrata nienawidzi swoich przykrótkich i porozcinanych sukienek, które bezustannie obciąża na kolanach.

To nie jest wyreżyserowany, lecz ledwie zamarkowany spektakl. Postaci ustawione powierzchownie, najczęściej na poziomie tekstu. Na scenie nie ma piekła, tylko docinki i pyskówka.

Miejscami jest śmiesznie, miejscami nudno, czasem coś się podrywa do lotu. Ale wygląda, że spektakl tak czy owak jest skazany na sukces, głównie za sprawą Znanych Nazwisk. Więc wydarzenie? Szkoda, że mniej na scenie.

TADEUSZ NYCZEK

Edward Albee „Kto się boi Wirginii Woolf?”, reżyseria Władysław Pasikowski, scenografia Magdalena Maciejewska. Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 16 marca 2002

Indywidualne Ubezpieczenia na Życie z Udziałem w Zysku



Często myślisz o przyszłości swojej i swoich najbliższych. Zastanawiasz się, czy kiedyś uda się Wam zrealizować wszystkie marzenia. Nie chcesz zdawać się na przypadek.

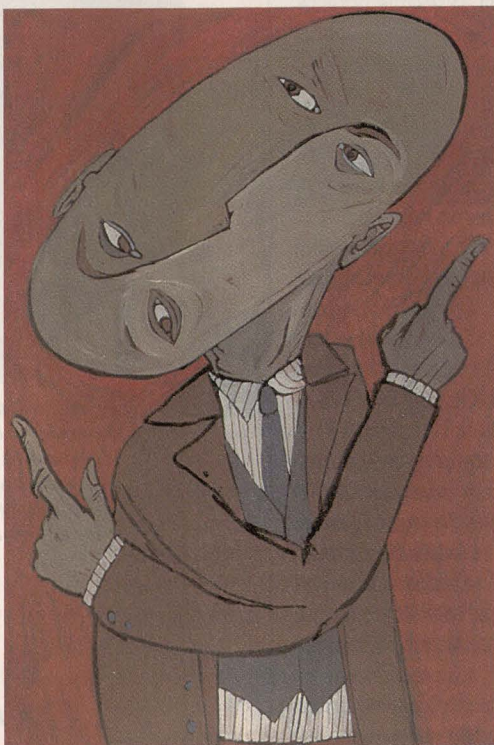
...GWARANCJA PROFIT.
Dla tych, którzy chcą cieszyć się życiem.



Towarzystwo Ubezpieczeniowe **COMPENSA ŻYCIE S.A.**
Centrala - ul. Łucka 7/9, 00-842 Warszawa,
infolinia: 0 801 12 00 00,
e-mail: centrala@compensazycie.com.pl,
www.compensazycie.com.pl

BOHUMIL HRABAL

Jeden powszedni dzień



RYS. MAREK SOJKA

„Podnieść słuchawkę; kiedy odezwie się abonent, nacisnąć guzik i mówić”, więc nacisnąłem guzik i zaraz rozpoznałem Szarkę:

– Szarusiu, czy tatuś jest w domu? Daj mi go do telefonu!

Ale dziecięcy głosik piszczał: – Skąd, tatusia nie ma w domu, zniknął tatuś, gdzieś nam się zapodział...

Spoważniałem: – Nie żartuj i zawołaj tatusia, jest jeszcze w łóżku, zajrzyj tam, dopiero wpół do ósmej...

– To ja już idę...

– Idź, dziewczusko, idź!

I stałem w oszklonej rozbitej szafie, gładziłem łańcuszek, do którego była przykuta słuchawka; wszystko na świecie jest już zakute, przywiązane, zamknięte, nawet te drogi są dozwolone i zakazane, plucie na podłogę tak samo, palenie, rozmowy w knajpach na tematy polityczne, wychylanie się z okien, przybliżanie się i oddalanie, zmienianie miejsc pracy również, pisanie i myślenie inaczej, rozpalanie ognisk i zanieczyszczanie miejsc także jest zakazane...

– Halo, tak, jestem tutaj! Co się dzieje? – krzyczałem do słuchawki. – Wiesz już o tym, Karelu? Nie? To przyjdź do mnie natychmiast, tak, do mnie, nie pójde na zastrzyk i zaraz będę w domu. No to cześć!

„Odwieść słuchawkę”, więc ją odwieściłem i wyszedłem na wolne jeszcze powietrze, jeszcze nie jest ono zakazane albo na kartki, albo tylko na czarnym rynku. Chociaż można by wprowadzić podatek od powietrza, pomyślałem, i kroczyłem ożywioną aleją Sokolowską, ludzie ustawiali się już pod sklepami z jarzynami i owocami w kolejkach, takie małe smutne konduktory... i skręciłem do sieni, wszedłem po schodach na ciemne pierwsze piętro, potem do poczekalni pełnej stojących i siedzących pacjentów, niektórzy czekali na otwarcie gabinetu dentystycznego, inni na otwarcie przychodni lekarskiej, jednak wszyscy byli w tak głębokim mroku, że gdy ktoś wszedł z ulicy, musiał się zatrzymać i czekać chwilę, nim przywyknie do szarości; niektórzy pacjenci, wchodząc, wyciągali ręce i obmacywali obecnych, jedynie gdy otwierały się drzwi do gabinetów lekarskich, światło padające z nich było tak ostre, że oślepiło jak wiotriol, jak wielkie reflektory wśród głębokiej nocy, a ciemność poczekalni wydawała się potem jeszcze ciemniejsza.

– To okropne, jak mało jest lekarzy, podobno czterdzieści procent jest już w wojsku – powiedział ktoś w ciemnościach.

– Mojego bratanka, też lekarza, wzięli podobno na ćwiczenia i pisał, że nie ma tam nic do roboty, że jak się nudzi, to prosi swojego przełożonego: „Panie majorze, zmieł panu kawę, przynajmniej coś dzisiaj

zrobię, dobrze?” – dodał następny głos.

– A my możemy tu sterczeć całe przedpołudnie – powiedział trzeci.

– Mówili – powiedział ktoś i jego głos zabrzmiał przy samej podłodze – że na Vinohradach to jak lekarz z przychodni przyjdzie do swojego gabinetu, to ma tam tylu ludzi, że otwiera drzwi i woła do poczekalni: „Kto z grypą? Więc najpierw kobiety!”. I zagarnia je do gabinetu, liczy, potem rozkłada na stole tyle samo recept, bierze pieczętkę i właśnie tyle samo razy uderza w każdy papier, robi sobie w ten sposób jeden wzór i wszystkie, jedną po drugiej, podpisuje. Potem staje w progu i woła: „A teraz niech wejdą mężczyźni z grypą!”.

I dokładnie tak samo!

Otworzyły się drzwi i w strumieniu światła biała pielęgniarka w olśniewających okularach zawołała: „Następne trzy kobiety na zastrzyk!”.

I z trzema kobietami wśliznął się ku leżance obciągniętej białym woskowanym płótnem przysadzisty Cygan, który miał szyję okutaną białym ręcznikiem. Drzwi się zamknęły, a instrumenty lekarskie błyszczały w mózgu gasnącym zapisem.

I drzwi się znów otworzyły, i pacjenci się przekonali, że poczekalnia jest pełna, a pielęgniarka wyprowadzała Cygana, który się opierał, i oburzony głos lekarza wypraszał go z jasnego pomieszczenia, i Cygan krzyczał: „O rany boskie, na serce Jezusa!”. Cygan jest pracujący, ma pierwszeństwo. Szyja go boleje, nóżka boleje.

I gdy się zamknęły drzwi, Cygan usiadł na ziemi, tłukł pięściami w podłogę i wołał: „O rany boskie, na serce Jezusa!”.

Tłumaczyły mu głosy w ciemności: – Przecież tę chwilę może pan zaczekać. Najpierw idą kobiety z zastrzykami.

Ale Cygan rwał sobie włosy z głowy i rzucał je w światło matowej szyby, i narzekał, że jest pracujący.

Potem otworzyły się drzwi gabinetu dentystycznego i wyszedł mężczyzna w białym fartuchu; jego fartuch falował i wnosił do poczekalni zapach środków znieczulających i światło; zastukał do drzwi, a te się uchyliły i pielęgniarka wpuściła dentystę i znów wszyscy pacjenci mrużyli oczy, bo ostre światło waliło im się do nóg. Potem trzy kobiety wyszły z gabinetu, Cygan się podniósł i przez przymykające się drzwi wśliznął się do środka i zamknął je za sobą. I znów odezwał się rozdrażniony wysoki głos lekarza, chrapliwy głos Cygana, na to jeszcze wyższy głos rozniewnanego lekarza, a potem rozwarły się drzwi i wszyscy pacjenci się zlekli, a ci, co siedzieli, podnieśli się; na podłodze poczekalni

położył się cień Cygana, ten okład na szyi rozwiązał się, jakby miał szyję obwiązaną prześcieradłem, a lekarz szturchał Cygana i gdy go wypchnął, zamknął drzwi za sobą, a Cygan usiadł na ziemi i tłukł pięściami w podłogę, i narzekał, i rwał sobie włosy, i rzucał w powietrze.

Potem z gabinetu wyszedł dentysta, przeszedł przez poczekalnię i zniknął w swoim gabinecie.

Powiedziałem do Cygana: „To też jest lekarz, specjalista od szyi”.

I Cygan na czworakach wszedł za dentystą do jego gabinetu, i wszyscy pacjenci nasłuchiwali, ale nie odezwał się ani krzyk, ani wyzwiska, ani podnoszące się i coraz bardziej oburzone głosy. Panowała cisza. A potem poprzez obite ceratą drzwi słyszał było głos dentysty: „No co jest, synku, co się dzieje?”. I chrapliwy głos Cygana: „Pan doktor, tu boli”. I pielęgniarka otworzyła drzwi, w ręce miała papiery, i przez uchylone drzwi widać było Cygana, jak wskazuje palcem na swoje usta i jak lekarz wypycha go na fotel dentystyczny, potem bierze kleszcze i mówi: „No to chodź pan, chodź pan do mnie. Dobrze, że pan przyszedł...”. I drzwi gabinetu dentystycznego się zamknęły, pielęgniarka przeszła poprzez mrok, zastukała do sąsiednich drzwi i w tej chwili w gabinecie dentystycznym odezwał się nieludzki krzyk, przeciągły, nieartykułowany krzyk.

– Jak ktoś ma pozaginane korzenie, to może się przerwać nawet podniebienie z przegrodą nosową – powiedział jakiś pacjent.

– Mnie znowu musieli powiesić za nogi od sufitu i wybijali mi zęby tłuczkiem, takie miałem dziwaczne korzenie – powiedział drugi pacjent w ciemnościach.

A potem znowu rozwarły się drzwi i dentysta włókł na kleszczach Cygana, który charczał; kilku pacjentów upadło, biały lekarski kitel wniósł tyle światła; Cygan chwycił się stojaka na kwiaty bez kwiatów, jednak pewna ręka lekarza ciągnęła kleszcze z zębem i Cygana, który się trzymał stojaka, a ząb nie puszczał, więc dentysta wciągnął Cygana do gabinetu razem z tym stojakiem. A gdy drzwi się zamknęły, Cygan krzyknął ostatni raz i w gabinecie zapanowała cisza. Zdjąłem czapkę, cicho wyszedłem na korytarzyk, przekręciłem klucz i wszedłem do umywalni, a potem do ubikacji. Cicho stałem w ciemności, palcem przytrzymywałem zasuwkę i poprzez szczelinę w drzwiach nasłuchiwałem. Z gabinetu dentysty wyszedł Cygan, trzymał się za policzek i skarżył się cichutko, a potem pytał pacjentów: „Gdzie jest ten w czapce? Tutaj siedział!”. I po chwili, w której się spociłem, schodziło jego nikłe narzekanie po schodach... otworzyły się drzwi gabinetu, dentysta wszedł do umywalni, mył sobie ręce i gdy je wycierał, uśmiechał się i cicho mówił do siebie: „Ja ci dam, bratku, zawracać głowę doktorom...”.

I gdy lekarz odszedł, wyszedłem na chłodny korytarz, czapkę wyrzuciłem przez okienko do kanału wentylacyjnego, na zastrzyk już dzisiaj nie pójde, a jeśli, to dopiero po południu, i wezmę kapelus, i inny płaszcz... I w drodze do domu znowu zacząłem myśleć o tym. Już wszystko uprzątnąłem, spaliłem. Gdyby przyszli, tobym, co bym? Poszedłbym z nimi, musiałbym z nimi iść, potem długi areszt śledczy, żadnych spacerów, żadnego słońca. Potem sąd, więzienie, ile? Dwa, trzy? Pięć, dziesięć lat? I praca w kopalniach, kamieniołomach, fabrykach? W końcu muszę się z tym liczyć, chociaż uważam się za obywatela tego państwa i nic przeciwko niemu nie mam. Tylko ta swoboda wypowiedzi, tylko to pisanie, tylko to myślenie, tylko te rozmowy z przyjaciółmi. Musieliby mi zoperować mózg, bym nie mógł myśleć w ten sposób, kochać czy nienawidzić. Nie, nie mogę ich kochać, choć to, co cesarskie, oddaję im, a to, co moje, dawałem i będę dawał sobie, Bogu i człowiekowi. Ale tego właśnie oni nie chcą, oni chcą, bym oddawał wszystko, wszystkie swoje myśli, tajemnice wnętrza, wszystko, chcą, by i to ludzkie i boże należało do cesarza. A co z moim życiem? Już więcej się nie powtórzy, a ja chcę żyć, przeżyć swoje życie, choćby w ryzach zakazów i nakazów, życie, do którego nikt nie ma prawa poza mną, życie, za które nikt nie jest odpowiedzialny, tylko ja. A moje zawody i moje radości muszę przeżywać mimo cesarza. Jemu wystarczy przeciwieństwo osiem godzin ciężkiej pracy, wypadki, śmierć i w dodatku obowiązkowe msze. Nie mogę ich

kochać, nie mogę iść razem z nimi i chociaż nie chcę szkodzić, nie lubię ich, moje myślenie mi to nakazało; tak jak oddycham tym powietrzem, tak samo muszę myśleć i wypowiedzieć myślenie, a gdybym nie mógł myśleć i żyć na swój sposób, umarłbym jak z braku powietrza. I skręcając w Bratską powiedziałem sobie, że wszystko mimo wszystko jest dobre, wszystko poza mną. To inni przywiedli mnie do mnie samego, to oni i ich zabiegi wydłubali ze mnie człowieka na moje podobieństwo, na obraz, ale zupełnie inny, niż chciałbym mieć... wszystko jest dobre, wszystko poza mną, mało z sobą zrobiłem, wiele mogłem zrobić, bo do siebie mam najbliższe ze wszystkiego na świecie. To ta reszta może mnie zaprowadzić do kryminału, ale i on jest dla ludzi, tam też są ludzie i wydarzenia, i rzeczy przygotowane tylko dla mnie, po to by ich nacisk wyłuskał mnie ze mnie.

I tam, gdzie Bratská dochodzi prostopadle do uliczki Na Hrázi, tamtędy przeszedł przez tych kilka metrów lekko przygarbiony Karel, w rękawicach mimo ciepła i w fioletowym szaliku i płaszczu, który wisiał na nim jak habit franciszkański.

– Ej! – wołam.

Odwrocił się. Mówię: – Co za spotkanie, co?

Zataił reumatyczne dłonie: – Co się dzieje?

Powoli się zbliżam i mówię: – Václav Černý, wczoraj, trzymaj się, pod kluczyk, pod kluczyk!

Karel oparł się o ścianę: – Chryste Panie! A mnie śniła się dziś woda, a wtedy zawsze... – nie mógł skończyć i oddychał, przysmykał oczy i chwycił powietrze.

– Tak, tak – powiedziałem – przekopali mu całą bibliotekę, wszystko, co miał, zabrali razem z nim, biurko też. Masz coś u niego?

Podniósł ręce i bezradnie je opuścił: – Ba! To, co ja tam mam, wystarczy tylko przeczytać i już masz dożywocie, a jeszcze... Jezu Chryste, czemu ja się zabrałem za pisanie? Dlaczego mnie matka nie spuściła głową na bruk albo czemu tata, wtedy, tej nocy, nie wypuścił mnie raczej na prześcieradło, nie byłoby mnie dzisiaj... ale może Václav nie był tak nieostrożny, może te wierszydła gdzieś ukrył... Nie masz jakichś kropli na głowę?

– Nie mam, nie mam – mówię i idziemy po schodkach na podwórze, potem do sieni; otworzyłem drzwi i uchyliłem okno.

Mówię: – Ba, na odwrót! Pan profesor Černý był strasznie nieostrożny, karygodnie nieostrożny. Wyobraź sobie, stałe wierzył, że ten rok, który jest, skończy to wszystko, a on zacznie wydawać ten swój miesięcznik krytyczny...

Karel opadł na krzesło, a ręce zwisały mu aż do podłogi: – Więc on chciał wydawać miesięcznik?

– No – mówię – on był wielkim optymistą. Gdy jego uczniowie mówili mu w styczniu, w czterdziestym ósmym: „Panie doktorze, robi się gorąco, niechże pan nam da te doktoraty, brakuje nam tylko jednego miesiąca”, to pan doktor Černý im powiedział: „Nie bójcie się, jeżeli coś się stanie i tak będziecie mianowani doktorami, a jak się znowu obróci na lepsze, będziecie doktorami *sub suspiciis*”.

– To straszne, *sub suspiciis* – skrzywił się Karel.

– No, on każdego roku twierdził, a twierdzi to już od czterech lat, że zanim opadną liście, obróci się na lepsze, ale jeżeli ktoś na wiosnę powiedział, że się to obróci na lepsze dopiero na Boże Narodzenie, to pan profesor nie chciał z nim rozmawiać. Václav nie był tylko pewien, czy będzie to dwudziestego czwartego, czy dwudziestego szóstego listopada tego roku i czy ten miesięcznik będzie mógł wyjść jako świąteczny numer...

Ta wiadomość dobiła Karela. Stał i wołał: – Ci optymiści to są niszczyciele narodów! Hitler, gdyby nie był optymistą, to by się nie zabierał za taką wojnę... a teraz, u mnie w domu, Jezu, co ten teść będzie wyprawiał! Jak robi jakieś głupstwo polityczne, to niby w porządku, bohater narodowy, męczennik, ale jak ja coś, to krzyczy: „Człowieku, pomyśl pan o rodzinie...”. Jezus Maria, to jest ciemnota, ten optymizm... powinienem teraz pojechać taksówką do domu i gdzieś to schować, przede

wszystkim ten „Labirynt świata” i „Raj serca”, tak sobie to napisałem, pośpieszyłem się! Wystarczyłoby, żeby znaleźli te nowe „Listy”, przymknęliby nawet mojego jamnika, też tam jest o nim! Daj mi papierosa!

Gdy zapalał, płomień parę razy ominął papierosa.

Uśmiechnąłem się: – To spal to wszystko!

Odetchnął dymem: – No tak! Drugi raz nie udałoby mi się tego napisać. To tak, jakbym spalił siebie. Przecież to dzieło życia. Raz rzeczywistość wydała mi się dziewczicą i ja bym miał to spalić?

Mówię: – No to naucz się na pamięć i potem spal.

Wciągnął dym i powiedział płaczliwie: – To jest właśnie cała tragedia. Ja się nauczę wszystkiego, umiem na pamięć „Ziemie niczyją” Eliota, ale ze swoich rzeczy nie pamiętam nawet przecinka, a tu w dodatku cały wiersz. I to jest rozpacz... widzisz, widzisz, ciągle nam nie wystarczało bycie prowincjonalnymi poetami, chcieliśmy wyżej, do Praги, i teraz za to oddamy żywoty i nigdy tych swoich zbiorków nie zobaczymy na wystawie.

Pocieszałem go: – Nic sobie z tego nie rób, ja też mam swoje dzieło życia u pana profesora Černego, a do tego, by mógł wysłać swoją opinię, napisałem nazwisko i adres.

Jęknął i zaczął biegać po pokoju: – Jezus Maria, teraz dopiero rozumiem, policjanci powiedzą: z kim się kolegowaleś? I przyjdą prosto do mnie, nie masz jakichś proszków, rozboleło mnie z tego wszystkiego kolano.

– Nie mam – mówię – ale ty nie napisałeś tam swojego adresu, a z Černego niczego nie wydobędą, od niego nawet gestapowcy nie wydusili słowa, że mnie też.

Spojrzał w słońce nad dachami: – Akurat, nie wyciągną, dadzą ci zastrzyk i będziesz śpiewał, jeszcze się będziesz cieszył, jak ci to ładnie idzie. Ja to właśnie sprawdzam, istnieje taka trucizna, coś jak psycho-ton, ale tysiąc razy skuteczniejszy,

Mówię: – Nie przesadzaj, może Černý nawet o tobie nie pamięta, zapomni nazwiska, a ten twój labirynt ukrył gdzieś poza domem i też zapomni gdzie...

– Właśnie odwrotnie, Václav miał świetną pamięć, jak listonosz, pamiętał nawet to, co mu się powiedziało przed laty.

– To niedobrze – mówię – ale teraz sobie przypominam, że w tym zbiorku jest trop: dom kultury w Nymburku...

Popatrzył na mnie jak na dziecko: – W twoim zbiorku?

– Skąd, właśnie w tym twoim „Labiryncie”.

Jęknął: – No tak, też sobie przypominam, widzisz, przepisywałem to osiem razy, a potem jeszcze sześć razy i nie pamiętałem tego. A teraz sobie przypominam i skóra mi cierpnie.

No tak, jeżeli w ogóle nic by nie mieli, to przyjadą do Nymburka i zapytają: „Kto tu pisze wierszydła?”. Powiedzą: „Hrabal i Marysko”, i mają nas, ach, Boże, Boże, dlaczego mnie opuściłeś?

Mówię: – Dlaczego nas opuściłeś, ale musisz być dzielny. Jak mnie zabiorą, nie powiem nic. Niczego nie pamiętam, już dałem sobie spokój, chciałem osiągnąć realizm socjalistyczny i nie udało mi się, więc dałem sobie spokój. I ty też musisz tak to przedstawić.

Ale Karel kręcił głową: – Gdzie tam! Zapytaj cię: „Pisał pan to?”. A gdy powiesz: „Nie”, łup w łeb i znów: „Pisał pan to?”. Łup w łeb. I w końcu cię zapytają: „Pisał pan to?”. A ty powiesz: „Tak”. Więc ci dadzą dodatkowo w łeb i masz pełne portki. Ach, gdybym ja był dzielny, ale ja się boję, o to chodzi, ja się boję; torturują i w końcu rozrywają końmi tego skazańca, a jak konie nie mogą go rozerwać, to kat prosi o zgodę na przecięcie ścięgna, a potem, jak się to wszystko wywali... Cóż, taki gotycki człowiek to był do tego przyzwyczajony, taka tortura nie robiła na nim wrażenia, ale ja na samą myśl o tym jestem zupełnie gotowy... Ziemio moja łagodna z koronką blanków, wieżyczką jak palcem kiwasz w dal... Ach, dlaczego nie zostaliśmy w Nymburku i nie pisaliśmy takich haftów? Dlaczego? Powiedz, dlaczego?

Ale to obojętne. Krzycz dalej, bo zamknięte okno nie pomoże, ona nas podsłuchuje przez wielki garnek, który wystarczy przyłożyć do ścia-

ny, ja właśnie w taki sam sposób podsłuchuję ją, ile to razy milczymy i dobrze wiemy, że jedno drugie podsłuchuje, że te nasze garnki dzielą tylko ścianą...

Karel patrzył w odległą dal i mówił: – Naprawdę, człowiek od niczego nie ucieknie. Niechbyś dzisiaj robił, co chcesz, na końcu wszystkiego i tak jest kryminał...

Mówię: – Gadaj głośno, ale musimy działać, słuchaj, ja już to spaliłem, ukryłem, a gdzie ty wszystko schowasz?

Naciągnął rękawice i zastanawiał się: – No tak, gdzie ja to schowam? Jeżeli schowam w domu, w szopie, to gdy przyjdzie policja, zaraz wpadną na to, że ukryłem pod węglem w szopie... albo gdybym to odwiózł do babki i schował w szafie? Ale znowu nie mógłbym jej o tym nic powiedzieć, bo ona się boi już na zapas, już kiedyś znacząco na mnie patrzyła i mówiła, bym nic u niej nie zostawiał, bo i ja by przymknęli, razem z dziadkiem... Najlepiej w teatrze, pod szafką! Ale jak się policja dowie, że gram w teatrze, to pójdzie prosto do teatru i w teatrze, no to jasna sprawa! Pójdą prosto pod szafkę, bo gdzie indziej mógłbym to schować? Albo w domu u matki? Ona znowu nie boi się niczego, ona by przy pomocy medium wyniuchwała, gdzie schowałem ten „Labirynt świata” i „Raj serca”, i chodziłaby z nim po mieście, pokazywałaby na ulicach i chwaliła się: „Popatrzcie, jakiego mam mądrego syna, jak pięknie to wszystko spisał...”. I policja by mnie miała za chwilę...

Mówię: – Dobrze, nic z rodziną. Ostatnio jak spodziewaliśmy się wizyty, to te twoje ważne listy mamusia upchnęła gdzieś w księgach przygotowanych na wystawę piwa i teraz nigdzie nie można tego znaleźć. Księgi wróciły do kancelarii i te teksty gdzieś tam teraz leżą i czekają...

Karel oniemiał, uśmiechnął się oczarowany: – Więc i moje listy gdzieś czekają, by się obrócić przeciwko mnie?

Mówię: – Może, pewnie tak. Ale teraz się opamiętaj, teraz musimy zrobić wszystko, wszystko sprawdzić, wyczyścić, spalić, popatrz, gdzie są moje teksty? – otworzyłem szafę i gestem przejechałem półki z góry na dół. – Tutaj już nigdzie niczego nie ma...

Karel wstał i przyjrzał się im: – A to co jest? Co to się czerwieni?

Zdziwiłem się: – Gdzie? Nie mam pojęcia!

I Karel pociągnął za róg, a z górnej półki spadła i paradnie go nakryła pięciometrowa angielska flaga, udrapowała mu głowę i ramiona, potem się rozwinęła i dostojnie spłynęła aż na ziemię. Karel stał więc jak jakiś posąg czekający na uroczyste odsłonięcie, zupełnie zaspany czerwonymi, białymi i granatowymi krzyżami Imperium Brytyjskiego.

Przeraziliśmy się obaj.

Pierwszy przemówił nieswoim głosem Karel: – Teraz powinni przyjąć policjanci, choćby zapytać o jakiś drobiazg w sprawie dowodu osobistego... i zaraz: przygotowania na wkroczenie kapitalistów. Aresztujemy was za działalność antypaństwową...

Wysupłał się z flagi, która opadła na podłogę.

Mówię chrapliwym głosem: – Zupełnie zapomniałem, musimy ją zaraz schować, wiesz, to jest ta flaga, którą znalazłem w szufladzie, gdy likwidowałem firmę Karela Harry Kłofanda; chciałem ją ufarbować na czarno, by mi z niej dziewczyny skroiliły i uszyły spodni.

Karel uśmiechnął się rozbawiony: – W to policjanci na pewno ci uwierzą, że to na spodni... Ale ja tu teraz uznaję, że los jest silniejszy od wszystkich naszych wysiłków, jak w tragedii antycznej. Niczego nie będę chował. Zniszczyć swoje dzieło... nie mam tyle siły, więc najlepiej będzie, jak to przewiążę czarną kokardą i zaniosę prosto na Bartolomějską, zastukam i zapytam: „Czy dobrze trafiłem? Macie tutaj moje dzieła i mój adres, albo wiecie co, ja wam pokażę pasaż z tego „Labiryntu” i zatrzymajcie mnie tu sobie od razu”. Tak zrobię, bo człowiek naprawdę nie wie, co Bóg przygotował tym, którzy go kochają. Chcieliśmy wyżej i wyżej, i tak też będzie. Będzie to zaszczyt być sądzonym razem z profesorem uniwersytetu, który w kryminalne mianuje nas doktorami nauk filologicznych. Doktorami *sub suspiciis*. Czy może łaknąć ludzkie serce czegoś więcej?

Podniósł się, ciągle uśmiechnięty i promieniejący: – Tak, tak, z Bogiem. Ja już odchodzę. Pocieszyłeś mnie, może będziemy w jednej celi, w jednym procesie, w jednej pracy, gdzie będziemy sobie potem pisali wierszyki i opowiadania tylko tak, na wiatr...

Mówię: – Masz rację.

I nakryłem tą angielską flagą zasłane łóżko.

Mówię: – Tylko tu mogą jej nie znaleźć. Ale wyobraź sobie, pewien arcyksiążę już od ćwierćwiecza czeka w Paryżu na przewrót, już jeździ jako dorożkarz, ale tak jak ten Václav Černý czeka, że się obróci na lepsze, że znów będzie mógł wydawać ten swój miesięcznik krytyczny.

Karel wyrównał fałdy flagi i był coraz bardziej rozpromieniony: – A teraz możesz sobie tu przyprowadzić piękną dziewczynę i od razu położyć ją na tym łóżku, wyobraź sobie, jakie to budujące dla dziewczęcego serduszka, mieć pod sobą flagę Imperium Brytyjskiego, komu coś tak pięknego może się zdarzyć?

W drzwiach odwrócił się i dodał cicho, konspiracyjnie kładąc palec na ustach: – Mam dziś po południu trochę czasu, więc dokończę ten wiersz o Konstantynie Bieblu, dopiero teraz widzę Kostka jasno, pana dentystę i poetę... I ja mu tam dosolę... Wieczorem gramy „Ladacnicę z Messyny”.

I wyszedł na podwórze, w płaszczu, lekko zgarbiony, w fioletowym szaliku.

Mówię na progu: – Założę się, że widzowie w pierwszym rzędzie, na balkonach i galerii będą dziś patrzeć w dół, na ciebie, i będą sobie mówić: ten wiononczelista gra dziś ze szczególnym uczuciem... same piękne tremola.

I rozwarły się drzwi, a na progu sąsiedniego mieszkania stała szpicłowa z garncem w rękach i wołała: – Wie pan, jaki jest najlepszy schówek na rękopisy? Trzeba je włożyć do stoika po ogórkach i zakopać!

Karel podniósł ręce i zawołał: – Tylko nie to! Ja je zakopię i więcej ich nie znajdę! Na początku wojny zakopałem w malutkim ogródku

gąsior sliwowicy i już go nigdy nie znalazłem! Do komendy! – wołał i pokazywał kierunek, w którym według niego była ulica Bartolomějska.

Mówię: – Nie zginiemy, napiszę o tym opowiadanie, może ostatnie, ale potem będziemy doktorami nauk filologicznych.

Szpicłowa, która toczyła do garnca wodę z pompy, dodała: – *Sub suspiciis*.

Post scriptum

Opowiadanie to jest jak ów gąsior sliwowicy zakopany przed dwudziestu laty – już go nie szukałem, nawet nie pamiętałem, gdzie go zakopałem, aż w tym miesiącu przyjechała szwagierka i przywiozła mi wielką zbutwiałą paczkę przewiązaną czarną damską podwiązką. Powiedziała: to znalazłam za belkami w piwnicy, może ci się z tego coś przyda. Przewracałem kartki i znalazłem teksty prawie już przeze mnie niepamiętane, kilka wierszy i opowiadanie, o którym powiedziałbym, że pisał je ktoś inny, ale byłem to na pewno ja, więc nie pozostaje nic innego, jak przyznać się do tego dziecka mającego więcej niż dwadzieścia lat, przyznać się do ojcostwa. Przepisuję to opowiadanie w paru kopiach, by wykończyć swój portret z pewnej epoki, która, jak myślę, jest definitywnie zakończona, epoki strachu, w której te teksty pisałem, epoki wojny, a potem procesów mrozących krew w żyłach. Myślę, że gdy kiedyś te teksty wpadną w ręce krytyka, przysłużą mu się przy rysunku mojego portretu. Właśnie tak samo jak komuś, kto będzie malował obraz tak zwanych lat pięćdziesiątych.

październik 1971

Przełożył JANUSZ ANDERMAN

© 1992, The Estate of Bohumil Hrabal, Zürich, Switzerland

Pierwsza – i dotąd jedyna – publikacja polskiego przekładu opowiadania „Jeden powszedni dzień” miała miejsce w londyńskim kwartalniku „Puls” w roku 1985. Po 17 latach z radością przypominamy ten słabo u nas znany fragment dzieła wielkiego czeskiego pisarza.

Św. Maria Magdalena, św. Jan, św. Jakub, św. Andrzej...



Prezenty:
Portret Ojca Świętego i pudełko
na kolejne zeszyty!

Już w kioskach!

HOFF

Nie do uwierzenia: odsłaniamy zupełnie nowy fragment ciała. A wydawało się, że wszystko już było odsłonięte. Przynajmniej to, na co zgodziłyby się cenzura obyczajowa, czyli KRRiTV. Pokazywało się całe ciało – ale na pokazach. Piersi, pośladki, talie, oczywiście ręce, plecy, nogi – to mieliśmy w kolekcjach jako żelazny punkt programu. Nawet fotografowie mody zobojętnieli na te widoki, choć bywają innej orientacji niż autorzy kolekcji. Ale to moda w nurcie pokazowym. A życie? Życie też lubi coś odsłaniać. Bielizna i kostiumy kąpielowe skurczyły się do symbolicznych ozdób, a obcisłe elastyczne ubranka nie pozostawiają wielu złudzeń co do kształtu nadzienia.

Ale oto mamy coś naprawdę nowego. Odsłaniamy brzuch, a właściwie cały pas ciała od talii w dół do bioder. Jest to poziomy dekolt, powiedzmy, pięciocentymetrowy (więcej lub mniej) fragment ciała, który jakoś, może przez nieuwagę, był dotąd zakryty. Przez ostatnie sezony widywaliśmy śliczne i wzruszające wcięcia w pasie. A także kawałki od talii w górę. Kuse trykociki i leciutko obniżone spodnie dawały brutalną przewagę młodych nad średnimi. A starsze pokolenia w ogóle w to nie grały.

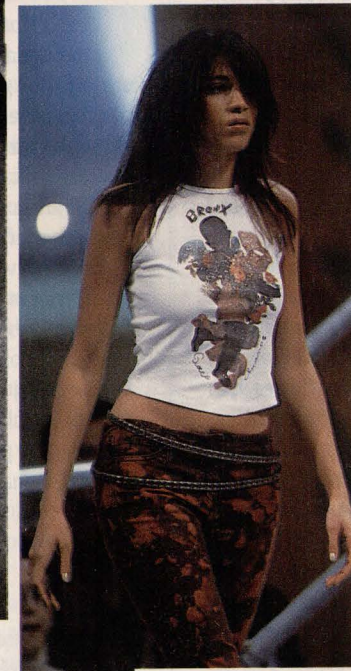
Teraz mamy w modzie wyraźną linię obniżonej talii, zaznaczoną w różny sposób: przez krój, przez pasek noszony na obniżonej talii i przez spodnie i spódnice na wyraźnie obniżonej talii. Tylko nad tą obniżoną talią może nie być nic, a następna część ubrania kończy się w pasie lub lekko nad. To nie jest strój organizacyjny do tańca brzucha w arabskiej restauracji, tylko pewien, czasem nawet niezbyt duży, odsłonięty fragment. Tak, że można mieć trykot za talię, spodnie na obniżonej i widać tylko jeden centymetr skóry właścicielki, która bierze udział w ostrej selekcji na te, które mogą to nosić, i te, które nie mogą.

Moda, ta stara okrutnica, znowu nam zafundowała coś, czym można pognać część ludzkości. Jeżeli jesteś osobą, która już nie może pokazać publicznie górnej części brzucha, to przypomnij sobie, jak chętnie, będąc młodą dziewczyną, nosiłaś coś, czego starsze roczniki założyć już nie mogły. Lub nie chciały. Teraz jedna z linii walki młodych ze starymi biegnie przez pępkowe dekolt.

Jest to modne i nie ma odwołania. Jest to bardzo atrakcyjne, nikt nie zaprzeczy. Obniżona talia, choćby lekko, jest jednym z głównych punktów mody na ten sezon, ale górny brzuch, który się ukazał, przysmaczony kawałkiem kręgosłupa, zapowiada się na jedną z atrakcji tego sezonu.

Może chcecie mnie zapytać, jak się takie spodnie trzymają (kiedy są bardzo nisko) albo jak się w tym siedzi? Och nie, jak są modne, to przecież wiecie, że jakoś się trzymają, i nie będziemy się zajmować takimi drobiazgami.

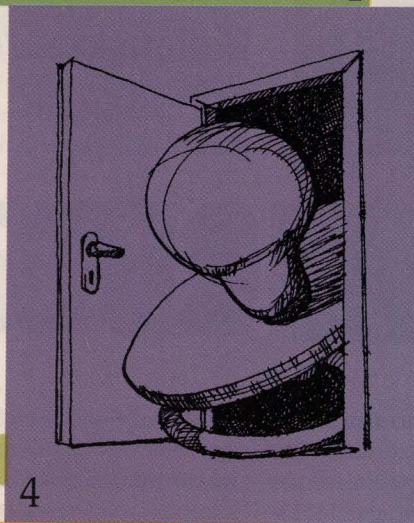
Tylko nie zaczynajcie jojkać, że dla kogo itd. Żadna moda nie jest dla wszystkich. Mamy wybór, cudna sprawa, że choć tu mamy jakiś wybór.



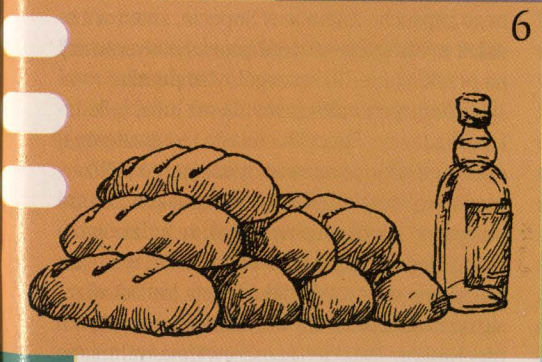
Diabeł w szczególe



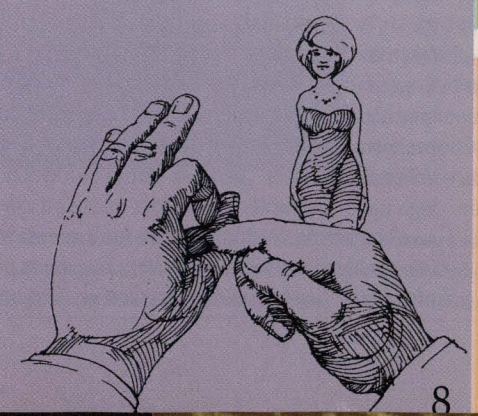
1



4

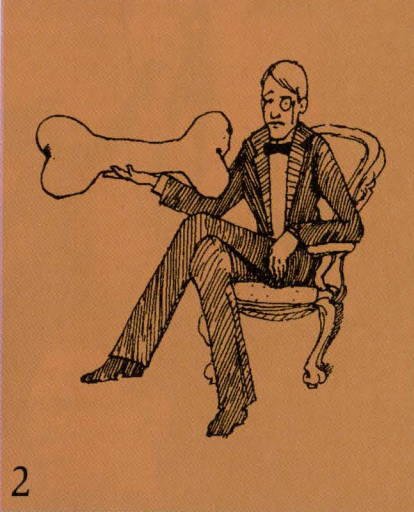


6



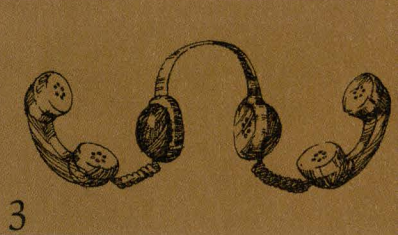
8

CZY COŚ CI TO MOVIE*

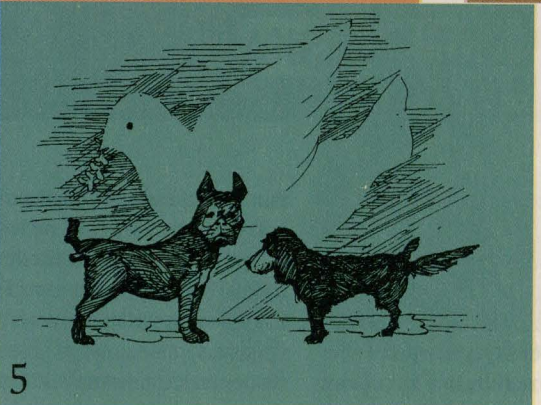


2

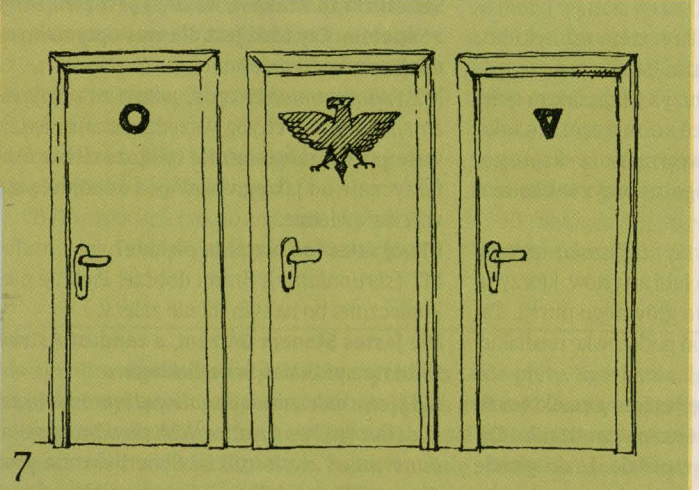
*movie - (ang.) film



3



5



7

Wielkanoc to tradycyjnie... nie, tym razem nie o jajkach, baranku czy dyngusie!

Wielkanoc to tradycyjnie czas przypominania przez telewizję filmów słynnych i sędziwych. Do tej tendencji w ramach naszych skromnych możliwości dołączamy się i my. Oto zestaw ośmiu dzieł X Muzy, których tytuły zilustrował/zaszyfrował Andrzej Gosik.

Proponujemy Państwu potrójną zabawę.

1. Odgadnięcie, o jakie tytuły chodzi.

2. Kibicowanie sobie w czasie losowania nagród (po wysłaniu do nas odpowiedzi).

3. (Przy szczęśliwym trafie) oglądanie filmu „Magnolia” na domowym magnetowidzie.

Prosimy o wypełnienie kuponu i wysłanie do nas, tak by dotarł do 14 kwietnia.

Odpowiedzi i listę osób nagrodzonych podamy za miesiąc.

Życzymy powodzenia i... Wesołych Świąt.

Nasz adres:

Redakcja „Przekroju”
ul. Wiejska 16
00-490 Warszawa
z dopiskiem
„Konkurs filmowy”

kupon



a to nagroda!
10 kaset VHS



FOT. 1 KG RECORDS (2)

FILIP ŁOBODZIŃSKI: Mikołaju, z czym Ci się kojarzy słowo „gie”?

MIKOŁAJ TRZASKA (*niepewnie*): Na początku kojarzy mi się z dźwiękiem G, ale potem... nie, właściwie od razu mi się z gównem kojarzy.

Pytam, bo świat Waszej płyty nie jest światem, który potocznie uznalibyśmy za piękny. Rzeczywistość opisana oraz dźwięki grane nie uwiodą przeciętnego odbiorcy od pierwszego słuchania.

MT (*przepraszając*): Ja jestem muzykiem, który ma trochę przesuniętą skalę. Przepraszam za słowo, ale ta muzyka się czasem ociera o awangardę – nie ze snobizmu, ale taka muzyka wyraża moją wewnętrzną ekspresję, a przebywając dużo ze sobą, przyzwyczaiłem się do tej ekspresji.

JACEK BIELEŃSKI (*mocniej niż Trzaska – jest podziębiony*): Łódź Kaliska lubi artystów, którzy są troszkę z boku, naokoło głównego nurtu. Takich, którzy zaglądają pod podszewkę medialnej rzeczywistości.

Słowo „gie” kojarzy się jeszcze z punktem G, bardzo szczególnym miejscem uwodzenia. Czy grając tamten koncert, czuliście, że dotykacie punktu G u publiczności?

MT (*wreszcie twardo*): Zawsze, kiedy gram na scenie czy w przedstawieniu muzycznym, staram się mówić prawdę o sobie, a warto też tę prawdę komuś przekazać. Bo ona nie jest tylko dla mnie. Mówiąc, staram się nawiązać dialog. Kiedy dialog nastąpi, można powiedzieć, że odbywa się koncert. (*Nagle mięknie*). Ale czy dotykamy wtedy punktu G? Za mało o nim wiem... (*ucieka wzrokiem*).

Pomysł koncertu narodził się spontanicznie?

MT: Grałem ze Świetlickim koncert w Sieradzu w andrzejki. Przyjechał wtedy specjalnie do nas kolejką Andrzej Kwietniewski z grupy Łódź Kaliska. Potem wróciliśmy wieczorem do Łodzi i podczas imieninowego pokera Andrzej wpadł na pomysł koncertu, w którym przedstawilibyśmy coś z północy Polski, coś ze środka i coś z południa.

Świetlicki to Kraków, Mikołaj jest związany z Sopotem. Czy Łódź jest dla was optymalnym miejscem spotkania?

MT (*zrazu romantycznie, potem z pozytywnym*): Marcin chyba wszędzie czuje się jak w domu, ale mogę mówić tylko za siebie. Ale faktycznie od jakiegoś czasu ja odnajduję się w Łodzi świetnie.

I Twój saksofon brzmi tu pięknie?

MT (*skrupulatny*): Brzmi dobrze. Pięknie niekoniecznie, bo na tym mi nie zależy.

Nie jesteś Stanem Getzem, a zamiast Astrud Gilberto spotkałeś Świetlickiego...

MT (*ze znanstwem świadczącym o głębszej wrażliwości, niż świadczyłyby plotki rozpowszechniane przez złych ludzi*): Świetlicki ma głos Astrud Gilberto, tylko pięć oktaw niżej.

Łódź jest specyficzna, to wiemy. Czy to wynika z postindustrialnego oblicza miasta, czy znaleźli się tam odpowiedni ludzie?

JB (*nie siląc się na znanstwo*): Bardzo różni ludzie. Właściciel Łodzi Kaliskiej robił doktorat z antropologii. Inni prowadzili kiedyś hurtownie i się w ogóle na prowadzeniu klubu nie znali. Ci ostatni zresztą szybko odpadają.

MT (*rosnący entuzjazm*): Jest tu mnóstwo kapi-

Hurra!!! Trzaska, Świetliki, Oczi Czarne, Bieleński i Gralak zagrali pod auspicjami sławnej grupy Łódź Kaliska. Z gigantem saksofonu Trzaską i łódzkim bardem Bieleńskim rozmawia Łobodziński

ŁÓDŹ NA HORYZONCIE!!!

domowych). Jak kamień na czajniku powstający na skutek długotrwałego gotowania wody.

Dla jednych ten kamień to uciążliwość, dla innych drogocenny osad...

JB (*w tle syrena policyjna, ale nie zagłusza to dyskursu*): Klubowa Łódź jest o tyle fajna – i podobna do Krakowa – że zamówisz w jednym miejscu kawę, odwiedzisz trzy inne kluby i kawa ci przez ten czas nie zdąży wystygnąć. Ale na skutek kryzysu Łódź zaczyna trochę tonąć. W tej chwili płynie tylko kilka łódek – Łódź Kaliska, Forum Fabricum, Bagdad Café... Powoli zaczyna być znów w Łodzi pustawo. Ważne jest, żeby kluby zapełniały się nie dlatego, że tam można wypić piwo, ale ze względu na wydarzenie. (*Z autoprzekorą, jakby sam się ze sobą przekomarzał*). Ten koncert mnie zaskoczył, bo znając kieszenie publiczności, nie wierzyłem, że ktoś przyjdzie. Ale okazało się, że wydarzenie przyciągnęło. A w wielu miejscach

dzie z południa, u nas ludzie z północy. Trębacz Ziut Gralak bardzo rzadko gości nad morzem. Podobnie saksofonista Włodek Kiniorski. I mam uczucie, że musimy się sobie poprzestawiać. A zwłaszcza ci artyści, którzy nie są medialnie namaszczeni. (*Porzuca nagle mentorski ton, mówi konfidencko*). Ja mam taki zwyczaj, że kiedy wychodzę na scenę, to uprzedzam słuchaczy: „Może wam tego nikt nie powiedział, więc na wszelki wypadek mówię: jestem świetny”. To oczywiście żart, ale faktycznie tak jest, że publiczność często nie wie, z czym się styka, bo nie zna artysty skądinąd.

JB (*uzupełnia*): Gralak czy Kinior to muzycy niepowtarzalni, ale nie do końca inni. Myślą podobnie, choć grają inaczej.

Słuchając płyty, mam wrażenie, że to dopiero zjawka czegoś większego...

MT (*w ekstazie*): Tak! To jest coś w rodzaju singla.

była postawa taka: „W piątek, sobotę nic nie będziemy robili, bo ludzie i tak przyjdą, piwo wystarczy”. Błogosławione działanie kryzysu może polega na tym, że każdy stara się być atrakcyjniejszy.

Zastanawialiście się kiedykolwiek, po co Polakom taka płyta?

JB (*cicho, na granicy słyszalności*): Chodzi o spotkanie.

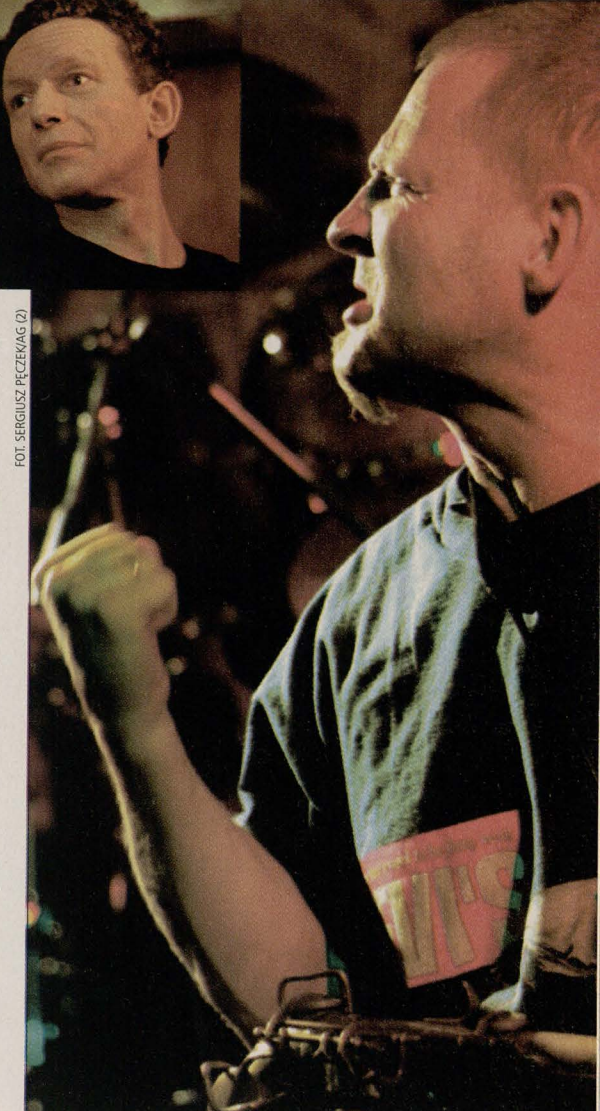
MT (*z antropologiczną troską*): Najważniejszą przyczyną płyty jest taka, że Polska jest podzielona. Ja, mieszkając na północy, widzę, że mamy w Polsce kulturę północną, wybrzeżową, i południową, czyli Śląsk i Małopolskę. To są nie te same wrażliwości. Na południu inni ludzie grają, inne teatry... U nas, na północy, jest więcej pól, mniej miast, też inna wrażliwość. To wiadać po plakatach w Polsce: na południu grają lu-

JB (*rzeczowiej niż Trzaska*): Pomysł jest taki, że Łódź Kaliska ma wydawać po dwie płyty rocznie, następną zobaczymy pewnie na jesieni.

MT (*ciepło*): Tym razem znany Marcin Świetlicki dzięki swojej sławie przedstawia dwóch innych, mniej znanych, wykonawców – zespół Oczi Czarne i Jacka Bieleńskiego. Bo przecież ludzie, którzy słuchają Świetlicków, będą w stanie zauważyć Bieleńskiego. Myślę teraz o podobnych przedsięwzięciach... Na pewno chcę zagrać w czerwcu z moim zespołem Łoskot i z Andrzejem Stasiukiem, który będzie czytał na głos, a my w tle. Oczywiście we współpracy z Łodzią Kaliską.

Jacku, piszesz jako człowiek z Łodzi czy szukasz kontekstu ogólniejszego?

JB (*chrząknięcie mocno znaczące chyba*): Absolutnie jako człowiek z Łodzi. W moich rze-



Rzeczowy Bieleński (na górze) i Trzaska w ekstazie (trochę niżej)

czach jestem bardziej z Łodzi niż naprawdę. Ja mogłbym mieszkać wszędzie, ale pisząc, biorę za punkt wyjścia język Łodzi, patrzenie Łodzi... Łódź jest fajna, bo właśnie nie ma tu (*twardo*) pieprzonej tradycji. Patrzę na te twarze, słucham tutejszych ludzi i wydobywam paradoks tego miasta, które jest Łodzią bez wody. Jesteśmy tu marynarzami suchego łądu.

A co widać z bocianiego gniazda?

JB (*wychyla się; po chwili*): Na horyzoncie? Następne osiedle.

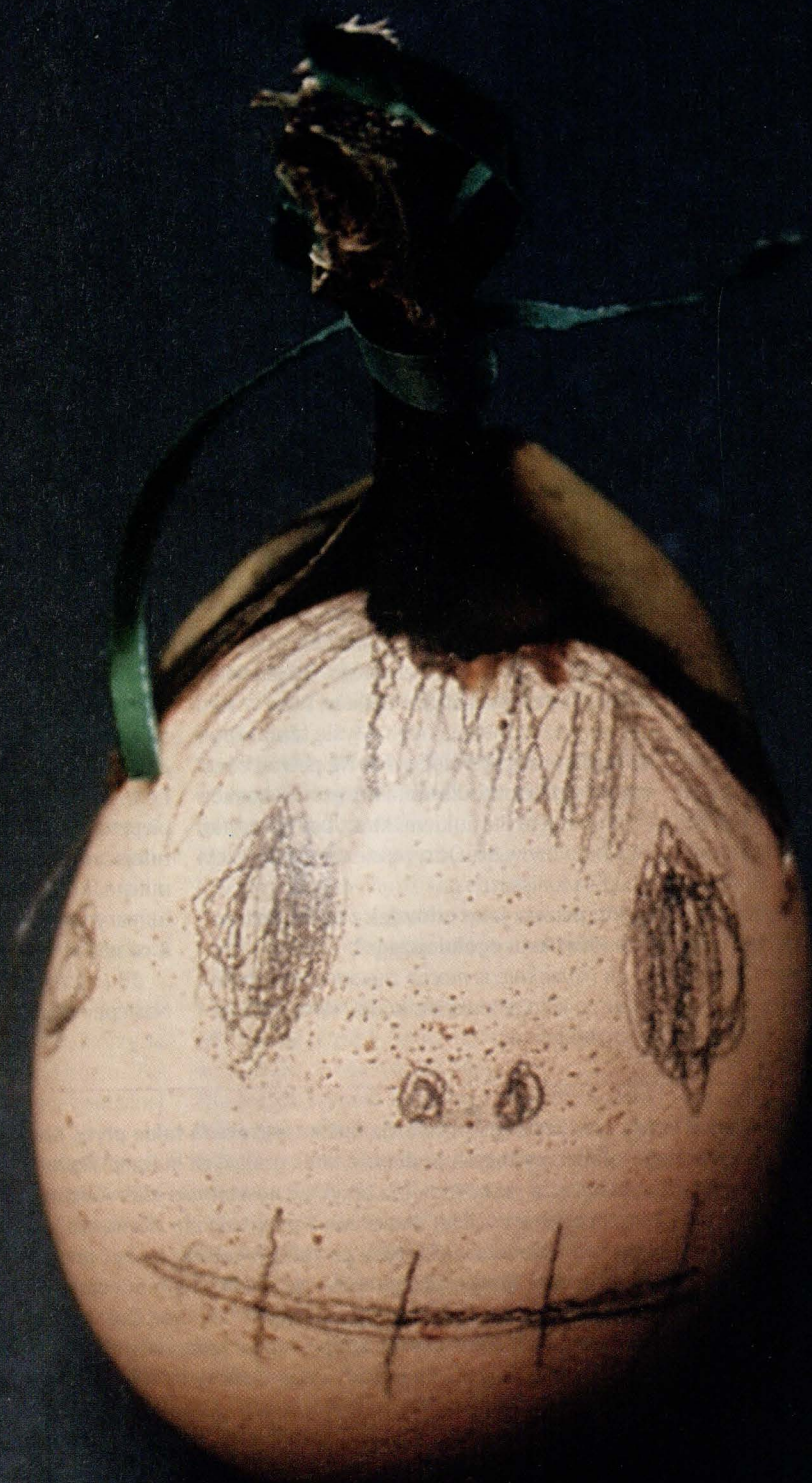


Niemal każda cywilizowana prowincja ludzka wytwarza takie płyty. Spotkania, by zacytować Jacka Bieleńskiego, „ludzi myślących podobnie, choć grających inaczej”. Zazwyczaj patronują takim przedsięwzięciom instytucje niezależne (na przykład nowojorski klub Knitting Factory) uwolnione od krępujących konszachtów z wielkim biznesem. Pojawienie się „Koncertu” to dobry sygnał, że i nasi niepokojni-niepokorni-nieuczestni artyści potrafią wspólnie szukać przygody tam, gdzie szczury ładowe pękają. To początek fascynującego, choć nie dla każdego mięczaka wskazanego, rejsu Łodzią Kaliską. Świetliki, Oczi Czarne, łódzki poeta Jacek Bieleński oraz Ziut Gralak i Mikołaj Trzaska to naprawdę znakomita załoga. Ich nieco ukośne spojrzenie na rzeczywistość jest niewątpliwie „przekrojowe”. Nie mogliśmy więc nie otoczyć „Koncertu” naszą cichą sympatią. Nie jest to recenzja, bo rodzinie cenzurek się nie wystawia. To raczej nasze referencje. (FŁ)

Warszawa sklep płytowy HEY JOE, ul. Złota 8 Poznań sklep płytowy FRIPP, ul. Szewska 18a Łódź kino CHARLIE, ul. Piotrkowska 203/205 Łódź klub ŁÓDŹ KALISKA, ul. Piotrkowska 102 Wrocław GALERIA MIEJSKA, ul. Kiełbaśnicza 28 Wrocław ART & INDUSTRIAL GALLERY, Więzienna 1/4 Kraków sklep płytowy COMPACT, Rynek 28 Gdynia OVERDRIVE, ul. Waszyngtona 21 Sopot RYTMIK, ul. Bohaterów Monte Cassino 61 Gdańsk MUSIC MAN, ul. Garncarska 29

Baroko brzydka pisanka

w I Ogólnopolskim Konkursie na Najbrzydszą Pisanke Dekady I i II miejsce ex aequo zajęła praca Andrzeja Dudzińskiego zatytułowana „Pokrak - ale jajo!”



Dwa koty naszej córki

Bożena i Mariusz Walterowie w rozmowie z Marią Czubaszek



FOT. ARTUR PAWLOWSKI/REPORTER

Udawanie głupszych może pomóc tylko ładnym

MARIA CZUBASZEK: Amerykanie twierdzą, że nie można być za szczupłym i za bogatym. To prawda czy fałsz?

BOŻENA WALTER: Kobieta zawsze chce być szczuplejsza...

A mężczyzna?

MARIUSZ WALTER: Myślę, że to pytanie jest testem na inteligencję rozmówców. Więc nie odpowiem, żeby się nie zdradzić.

I już się Pan zdradził! A czy można być za mądrym? Na przykład dla szefa?

MW: Jeżeli tak, to znaczy, że szef jest za głupi.

To Pan powiedział. Ale skoro już o głupocie... Mówi się, że kobieta potrafi udawać głupszą, niż jest.

BW: Pod warunkiem, że jest sprytna.

MW: I inteligentna. Ale są również mężczyźni, którzy potrafią kreować swój obraz na potrzebę chwili.

I jeśli trzeba – rznąć głupa?

MW: Tego nie powiedziałem.

Wiem. To Janusz Korwin-Mikke. Ale wracając do kobiet...

MW: Udawanie głupszych może pomóc tylko ładnym.

A kiedy ma się urodę bez przeprychu?

MW: Lepiej nie ryzykować. Bo może być dramat.

BW: Mąż dramatyzuje. Ale fakt, że atrakcyjna brunetka mo-

że się zrobić na blondynkę i być jeszcze atrakcyjniejszą, natomiast...

Brzydka blondynka nawet kiedy wyłysieje i tak będzie blondynką? Tyle że głupszą?

BW: Dlaczego?

Bo to głupota wyłysieć. Gorzej być nie może. A propos: co Pani robi najgorzej?

BW: Sprzątam i gotuję.

Mąż nie potwierdza.

BW: I nie zaprzecza. A ja nie rezygnuję. Od 30 lat.

Nie lepiej odpuścić?

BW: Jestem ambitna.

A Pan?

MW: Nie puszczać kości, póki jej nie przegryzę.

Ale w Pańskim gabinecie nie widzę kości, tylko pićczkę. Golfową zresztą. Bo teraz w dobrym tonie grywać w golfa?

MW: Jestem za stary na to, żeby naśladować innych. Chciałbym, żeby naśladowano to, co ja lubię. A golfa naprawdę polubiłem. Niestety, gram bardzo źle. I bardzo się staram, żeby grać lepiej.

Od Strzeleckiego?

MW: Na pewno będę się starać. Ale może mi na to nie starczyć życia.

Bo żyje się tylko raz. I niektórym to wystarcza. Komu nie, wierzy w reinkarnację. A że wiara czyni

cuda, kim chcieliby Państwo być w kolejnym wcieleniu?

BW: Ja motylem. Albo różowym kolorem.

MW: A ja chciałbym być jednym z dwóch kotów mojej córki. Bo wtedy miałbym pewność, że mnie pogłaszcze.

A ja, gdybym była złotą rybką... pewnie jeden z tych kotów by mnie zżarł. Ale poważnie. Lubią Państwo bajki?

BW: Ja lubiłam do czasu. Teraz już nie.

Ale właśnie teraz wraca moda na bajki! „Harry Potter”, „Amelia”, „Władca Pierścieni”...

BW: I bardzo dobrze. Ale osobiście jestem realistką.

I w realnym świecie nie przeszkadza Pani brak tego, co jest w tych filmach? Wyrażnego rozgraniczenia co jest dobre, a co złe?

BW: Ludzie, wbrew pozorom, chyba to wiedzą.

Co jest czarne, a co białe?

BW: Ale te filmy nie są czarno-białe. Są kolorowe.

Jeden zero dla Pani.

MW: A dla mnie dowód, że za mało ze sobą rozmawiamy. Żona mnie zaskakuje.

Że przypuszcza, iż ludzie wiedzą, co jest dobre, a co złe?

MW: Wiem, że są tacy. Czasem nawet im zazdroszczę. Jak na przykład porannemu idiocie, który w pewnym radiu na każdy temat, zwłaszcza filmów i programów telewizyjnych, ma tak jasny, klarowny i oczywisty pogląd, że nie ma cienia zawahania w głosie. On po prostu wie. Co jest dobre, a co złe. Nominowany prorok.

Najtrudniej być prorokiem...

MW: A jednak czasem mu zazdroszczę. Bo mój cały dzień to rozmowy z ludźmi. A cały wysiłek tej pracy polega na tym, żeby powiedzieć im coś wartościowego. Czyli coś, co wynika z mojego doświadczenia albo co tak naprawdę myślę o przedstawionym pomysle. I mam mnóstwo wątpliwości.

I wtedy zazdrości Pan „porannemu idiocie”?

MW: Niestety.

BW: Ale nie do tego stopnia, żeby zieleniał.

Bo może „łapie” Pan zdrowy kolor, kiedy gra w golfa?

MW: Mówiłem. Nie puszczać kości...

Póki piłka w gabinecie? Może Pan strzelać.

MW: To po rozmowie. To dziękuję.

Zwiewna rum-baba



Najlepiej od razu upiec kilka rum-bab, bo mają one niezwykłą cechę. Bez względu na to, gdzie się je schowa – nieodmiennie i tajemniczo znikają

W oczach Zachodu najsłynniejszym polskim gastronomem był król Stanisław Leszczyński. Zawdzięczamy mu między innymi deser, który po francusku nazywa się *baba-au-rhum*, czyli rum-baba. Król zanurzył zwyczajne ciasto drożdżowe w lukrze zaprawionym rumem, cmoknął

i narodziła się babka, nieodłączna część wielkanocnego śniadania. Mam wrażenie, że nasi cukiernicy skąpią na rumie, dodając go za mało i używając ostatniej jakości trunku. Jeśli mogę z okazji świąt życzyć Państwu czegoś poza zdrowiem i dobrym apetytem, to właśnie skosztowania babki z dodatkiem wysokiej jakości rumu. Dodajemy sześć łyżek stołowych karaibskiego rumu do lukru zrobionego z 200 mililitrów wody i 200 gramów cukru. Takich babek najlepiej upiec kilka, bo jak pisze Aniela Rubinstein, „babka ma tę właściwość, że bez względu na to, gdzie się ją schowa, bardzo szybko i tajemniczo znika”.

Istotą babki jest lekkość. A właściwie zwiewność i eteryczność. Kosztując ją, powinniśmy czuć słodycz wiosennego powietrza, z rzadka kontrapunktowaną ciężarem rodzyńka. Przeciwnieństwem babki jest mazurek – dlatego tak dobrze wypieki te uzupełniają się na wielkanocnym stole. Pewien leśniczy z północnej Polski tak wyjaśnił mi swoje rozumienie mazurka: „Chodzi o przesyt, przesadę, wszystkiego musi być za dużo, zwłaszcza cukru w kajmaku. Mazurek wbrew swojej nazwie to tureckie zwyrodnienie, niemożliwa słodycz Wschodu, haremove wyuzdanie. I tak powinno być po długim i ciężkim poście”. Wiem, że nikt mi nie uwierzy, lecz na nazwisko ów leśniczy miał Dąbrowski. Ożenił się w dość późnym wieku, a do serca wybranki trafił, jak to mówią, przez żołądek (choć akuratniej byłoby powiedzieć – przez podniebienie

nie). W lany poniedziałek zaprosił ją na degustację kilku mazurków, które upiekł zgodnie z wyłożoną powyżej filozofią. Psotna kobieta postanowiła podstępnie oblać go wodą, lecz zabawa wymknęła się spod kontroli i wszystkie mazurki zostały oblane, a właściwie zatopione. Zażenowanie i smutek nie trwały długo, ponieważ Dąbrowski miał w odwodzie babkę i rum. Kiedy po roku na wielkanocny stół ponownie wjechały mazurki, świeżo upieczona nadleśniczowa nie miała już możliwości odwrotu.

O ile tradycja wyraźnie wskazuje, co podać na wielkanocne śniadanie, jadłospis na dzień następny rzadko bywa przedmiotem dociekań bądź kontrowersji. Jest jasne, że zjada się resztki po niedzielnej uczcie. Lecz jeśli ucztowaliśmy u rodziny, a w lany poniedziałek zapraszamy gości na obiad, resztki nie wchodzą w grę. Mając żołądki objuczone jajami, pasztetem, a w ekstremalnych przypadkach nawet mazurkiem *à la* Dąbrowski, marzymy o eterycznej zwiewności rum-baby (niestety, zjedzonej), o rzeczach lekkich, choć stosownie odświeżających. Połączenie takie można osiągnąć, odchodząc od wywarów mięsnych i tłuszczów zwierzęcych, zamiast nich wprowadzając oliwę, świeże warzywa, owoce i zioła. Na przykład sałatka z wędzonej piersi kurzej podanej z awokado, pomidorem i łyżką ukreślonego w domu majonezu aromatyzowanego świeżymi listkami estragonu może być miłym początkiem całkiem udanego posiłku. Jeśli szczęśliwym trafem mamy do dyspozycji wędzoną gęś – tym odświeżniej, choć lepszy niż pomidor byłby wówczas wężowy ogórek. Do popicia – słoneczne *chardonnay* z południowej półkuli naszego globu.

Pieczony udziec jagnięcy – przełożony (czy nawet obłożony) sosem *pesto* bądź naszpikowany posiekаныmi suszonymi morelami z czosnkiem i świeżym tymiankiem, podany z pieczoną w całości małą cukinią skropioną octem balsamicznym i oliwą z pierwszego tłoczenia oraz z pieczonymi ziemniakami – uwiarygodni wyjątkowość naszego obiadu. Charakterne wino z Toskanii lub Doliny Rodanu świetnie się temu przysłuży. Zielenina i pleśniowy ser ożywią podniebienie i przygotują na deser, być może tak prosty jak półówka melona wypełniona winem porto lub bardziej wymagający, na przykład kruche babeczki z budyniem, skrawkami migdałów, plasterkiem kiwi i ćwiartką nowozelandzkiej truskawy.

Oczywiście, propozycje te kieruję do zwolenników innowacji, reformatorów kulinarnych zwyczajów. Zatwardziali tradycjoniści i tak zostaną przy swoich pasztetach i kiełbasach. O pasztetach właściwie nie wypada pisać, ponieważ, jak głosi jeden z celniejszych (i bardziej tajemniczych) aforyzmów Brillat-Savarina, „można zostać kucharzem, ale człowiek rodzi się pasztetnikiem”.

TADEUSZ PIÓRO

CHRISTIAAN VAN LIEROP

WSPÓŁCZUCIE ŚWIĄT

Wielkanoc w Polsce urzeka swoim pięknem. Szczególnie urzekająca jest tradycja malowania pisanek. Sztuka ta słusnie cieszy się na całym świecie wielkim uznaniem. Znacznie mniej urzekające jest jednak to, że ktoś musi te wszystkie jaja zjeść. Słynna polska gościnność sprawia, że jak spędzam Wielkanoc u rodziny mojej żony, tą osobą jestem właśnie ja. Nie żebym specjalnie narzekał. Jajka są bardzo zdrowe. A z biegiem lat nauczyłem się nie jeść ich już po Niedzieli Palmowej, tak żeby przygotować moje ciało na przyjęcie tak dużej dawki białka i cholesterolu w ten szczególny dzień.

Znacznie większym wyzwaniem jest dla mnie jednak samo dzielenie się święconym jajkiem. Proszę mnie źle nie zrozumieć – tradycja ta jest wielce wzruszająca i nie sposób nie ulec jej urokowi. Dzielać się jajkiem, czujemy niepowtarzalną więź z rodziną, a my, cudzoziemcy, przypominamy sobie, dlaczego zdecydowaliśmy się zamieszkać właśnie w Polsce. Jednak co roku mam ten sam problem. Jakie życzenia złożyć, żeby nie wyszły tak samo jak w Wigilię? Okazuje się bowiem, że Polacy, uczeni od małego, są mistrzami w sztuce składania ży-

czeń. Zawsze powiedzą coś z serca, co niekiedy wprowadza mnie, flegmatycznego Angoła, w zakłopotanie, gdy niezręcznie życzę kolejnej osobie samych sukcesów w życiu zawodowym.

Tak jak wszystkie święta w Polsce, Wielkanoc jest prawdziwą uroczą. Myli się jednak ten, kto uważa, że będzie odpoczywał w ten dzień. Odpoczywać może po świątach, póki co ma jeść, jeść i jeszcze raz jeść. Biesiadowanie to trwa nieraz cały dzień. Zważywszy na to, że dzień ten oznacza koniec wielkiego postu, trudno byłoby się spodziewać czegośkolwiek innego. Jednak szczególnie piękne jest to, że każde danie ma swoje znaczenie. A więc jajka symbolizują nowe życie i zmartwychwstanie, natomiast chleb – ciało Chrystusa itd. Co prawda w Anglii mamy jagnięcinę i *hot-cross buns*, tradycyjne świąteczne bułeczki, ale Wielkanoc często sprowadza się wyłącznie do tego, że ludzie obżerają się czekoladkami przez cały wielki post, w tym roku też zamierzam nawiązać do tej tradycji. Zresztą tradycji musi stać się zadość.

W Anglii poniedziałek po świątach jest dniem wolnym, tak jak w Polsce, jednak

niczym się nie różni od innych poniedziałków – może oprócz tego, że puszczają jeszcze więcej filmów Bonda w telewizji niż zwykle. Nic więc dziwnego, że mój ojciec doznał niemałego szoku, gdy spacerując sobie w Warszawie pewnego kwietniowego dnia, patrzył osłupiały, jak trzech rośliwych mężczyzn nagle wyskakują zza rogu i opróżniają zawartość trzech pełnych wiader wody na jego żonę. Wściekły, niewiele myśląc, rzucił się w stronę napastników. Skąd miał wiedzieć, że w Polsce w lany poniedziałek jest taki zwyczaj. Dobrze, że nie ożenił się z Czeszką. Ponoć tam biją kobiety kijami. Nie wiem, czy dałby się tak łatwo przekonać, że tradycja tego wymaga.

Tradycja tradycją, święta to jednak przede wszystkim wspólne spędzanie czasu w gronie rodziny. Może zdrętwieją nam nogi od tego siedzenia przy stole, może brzuchy nas trochę pobolą od przejedzenia, ale to będzie wspólny ból, razem z naszymi najbliższymi. I chyba właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Pozostaje mi więc życzyć Państwu smacznego jajka. Albo może raczej smacznych jajek. Zresztą, tak jak mówiłem, zawsze mam problemy z tymi życzeniami.



Kazimierz Wyka „Wyznania uduszonego”, Wydawnictwo LSM (Littera scripta manet). Brak daty i miejsca wydania, 421 s.

40 lat temu, w czasie gomułkowskiej małej stabilizacji, Kazimierz Wyka ogłosił „Wyznania uduszonego” – esej o swojej książce wymarzonej, lecz nie-napisanej. Książce zrodzonej z przekonania, że każda chwila jest wiązką odmiennych możliwości, że w każdym momencie swojego istnienia świat mógł być inny, aniżeli stał się naprawdę. Właściwy temat owej książki to literatura polska, która zdaniem Wyki „od Bogurodzicy do braci Brandysów (B + B + B)” mogła być inna, powinna być inna, nawet w najtrudniejszych dla siebie warunkach – w czasie porzobiorów.

Wybitny krytyk i historyk literatury nie miał wątpliwości, że odpowiedzialność za zawstydzający niedorozwój naszego piśmiennictwa ponoszą ci, którzy znajdowali upodobanie w „malutkich zadaniach pisarskich, byle je chętnie kwitował ogół hodujący pszenicę

i buraki”. „Ci, którzy nie wnosili fermentu, lecz byli pogodzeni. Nie z niewolą, nikomu nie będziemy zarzucać niedostatku uczuć patriotycznych. Pogodzeni ze skutkami intelektualnymi niewoli, z implikacjami filozoficznego i światopoglądowego minimalizmu jako rzekomo koniecznymi warunkami życia porzobiorowego narodu”. Pogodzeni z cenzurą własną, społeczną, gorszą od cenzury instytucjonalnej, ponieważ „nie pochodziła z przymusu, lecz z aprobaty, z przyzwolenia tylko na nieszkodliwe i niedrażniące funkcje literatury”. Nazwiska? Niestety, nazwisk nie było. „Nazwiska – wyjaśniał Wyka – pozostawiam w brudnopisie”.

Chyba nikt z nas, czytelników tamtego eseju, nie przypuszczał, że brudnopis „Wyznań uduszonego” istnieje naprawdę i że autor przez długie lata będzie go poszerzał i przekształcał, aż powstanie zasadnicza „rozprawa o pogodzonych” – rozprawa z pogodzonymi, książka, przy której pamiętne zbiory polemiczne Artura Sandauera „Bez taryfy ulgowej”, „Dla każdego coś przykre” okażą się wielce powierzchowne i zbledną. A jednak. Pamiętajmy: w każdym momencie świat może być inny, powinien być inny...

ZBMENTZEL@WP.PL

AKAPIT PRESS

Stefania Grodzka poleca zbiory wspomnień, felietonów i humoresk Stefani Grodzkiej:

- KAWAŁKI** - egz. 24 zł
- Wspomnienia chaturzyskie** - egz. 25 zł
- Urodził go Niebieski Ptak** - egz. 20 zł

ZAMAWIAM:

Akapit Press ul. Beczkowa 30/3 93-487 Łódź
tel./fax (042) 680-93-70

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów
w różnych językach świata



- po polsku, po litewsku, a tak naprawdę po łacinie: PRIMA APRILIS
- po rosyjsku: PIERWOAPRIELSKAJA SZUTKA (pierwszokwietniowy żart)
- po japońsku: BANGUSETSU (święto 10 tysięcy głupców)
- po turecku: BIR NIŞAN SAKAS (żart pierwszokwietniowy)
- po angielsku: APRIL FOOL'S DAY (dzień kwietniowego głupka)
- po francusku: POISSON D'AVRIL - ryba kwietniowa (tradycja polega na przyczepianiu na plecach nieświadomemu delikwentowi ryby - najczęściej papierowej)
- po włosku: PRIMO D'APRILE, ale także (no cóż, niedaleko do Francji) PESCE D'APRILE (*pesce* to właśnie ryba)

- po portugalsku: O DIA DA MENTIRA (dzień kłamstwa)
- po hiszpańsku: EL DÍA DE LOS INOCENTES (dzień niewiniątek, nie chodzi jednak o niewinne kłamstewka, lecz o rocznicę rzezi niewiniątek; żeby nie oszukiwać, dodajmy, że obchodzoną nie w kwietniu, lecz 28 grudnia)
- po szwedzku: APRILSKÄMT (żart kwietniowy)
- po węgiersku: ÁPRILIS BOLONDJA (kwietniowy głupek, błazen)
- po fińsku: APRILLIPILA (żart kwietniowy)
- po niemiecku: APRILSCHERZ (kwietniowy żart) lub APRIL! APRIL! (kwiecień! kwiecień!)
- po albańsku: zwyczaj, a co za tym idzie, nazwa nie istnieje

Kocham radio

O co chodzi radiowcom? Mówią o magii radia, a co chwila któryś z nich trafia do telewizji.

- Mam nadzieję, że nie tylko mnie masz na myśli.

Pani jest świetnym przykładem: zaczynała Pani w radiu, a na emeryturę odeszła z telewizji.

- Wszyscy, którzy zdradzili radio dla telewizji, przy każdej okazji powtarzają: „Kocham radio”. Sytuacja podobna do małżeńskiej: tu ma jedną babę, gdzie indziej drugą, ale wciąż powtarza: „Kocham moją żonę”. Słuchacze też podkreślają swoją miłość do radia, a godzinami gapią się w telewizor, radio włączając najczęściej podczas gotowania obiadu albo jak nie mogą zasnąć.

Czy jest coś, za co lubi Pani telewizję?

- Za to, że oglądam i nie myślę.

A co, za co Pani nie lubi telewizji?

- Za to, że inni oglądają i nie myślą.

Niedługo Święta, pewnie będziesz chodziła z wizytami do rodziny i najróżniejszych przyjaciół, w niektórych domach spotkasz interesujących ludzi, z którymi chciałabyś porozmawiać. Zrób eksperyment: w trakcie wizyty włącz radio. Zobaczysz, że jeśli trafisz na muzykę, to będzie podbijała nastrój, a jeśli na gadanie, to będzie sobie szumiało, nie przeszkadzając w konwersacji dla której tam poszłaś, bo przecież nie dla wyzerki. W innym domu poproś o włączenie telewizora. Większość natychmiast pograży się w oglądaniu, wszystko jedno, na co się trafi.

Czyli oglądanie jest atrakcyjniejsze od słuchania?

- Może raczej mniej absorbujące i bardziej wciągające. Ale mogą tę oglądania zabronić. Światowe agencje prasowe obiegała ostatnio

chwale, ale...



wiadomość o jakimś Edwardzie Bello z Waszyngtonu, wielokrotnie aresztowanym za drobne przestępstwa i wykroczenia, który dotąd nie siedział w więzieniu, ale wreszcie wpadł. Sędzia dał mu do wyboru albo odsiadkę, albo areszt domowy z zakazem oglądania telewizji, żeby, jak głosiło uzasadnienie wyroku, skazany miał czas na spokojne zastanowienie się nad swoim życiem. Adwokaci pana Bello twierdzili, że wyrok narusza konstytucyjny zakaz stosowania „kar niezwykle i okrutnych”. Sam przestępca początkowo wołał zrezygnować z telewizora, niż dać się zamknąć w kiciu. Ale przemyślał to i jednak poprosił o więzienie.

Jeszcze trochę i może znajdzie się sposób, żeby mąż na prośbę o odkręcenie słoika z gulaszem na kolację przestał odpowiadać: „Jak skończy pokazywać mecz”.

Gorzej, jeśli to mąż traci kontakt z żoną oglądającą brazylijskie seriale.

- Nie bądź męską szowinistką. Żona też ma prawo do wyboru wyroku.

A Pani w czasie Wielkanocy zamierza oglądać czy słuchać?

- Przecież wiesz, że kocham radio.

I jaki program Pani wybierze?

- Mam nadzieję, że na Święta dadzą jakiś dobry film.

Stefania Grodzieńska

Rozmawiała BEATA KĘCZKOWSKA („GW”)

Za 1000 złotych można (kupić dla jaj) • w hurtowni 5000 jaj kurzych; cena dotyczy najmniejszych jajek, które od niedawna określa się jako rozmiar S • 3333 małe jajka z czekolady nadziewane masą orzechową lub kakaową • 1 lampę ze strusiego jaja, możliwe wykonanie wzoru na zamówienie, sprzedaż w Internecie • w Cepelii 500 najtańszych drewnianych pisanek wielkości jajka przepiórczego malowanych ręcznie • 10 jaj strusia afrykańskiego do jedzenia - cena dotyczy jaj o wadze około 1,8 kilograma. Gotuje się je półtorej godziny • 20 pisanek z jaj gęsich zdobionych emalią, wzory stylizowane na secesyjne • 2000 jajek na twardo w barze mlecznym w Gdańsku, jajka bez żadnych dodatków • 250 jajek faszerowanych pikantną pastą rybną w eleganckiej restauracji w Warszawie • 43 kilogramy jajek w proszku - cena hurtowa dla cukierników • 3214 jajek przepiórzych w sklepie, opakowania po 18 sztuk • 344 jajka z niespodzianką, czekoladowe, z zabawką w środku



WILHELM SASNAL

Święta



To liczba mnoga. Liczba pojedyncza to święto. Tak podają wszystkie słowniki, gdzie się nie znajdzie osobnego słowa „święta”, chyba że w znaczeniu „kanonizowana kobieta”.

A powinno się je znaleźć, bo to niezupełnie tak. Nie zawsze liczba mnoga wynika z rozmnożenia pojedynczej. Weźmy choćby takie warunki. Jak ktoś żyje w trudnych warunkach, to nie znaczy, że każdy warunek, w którym żyje, jest trudny.

Warunki w tym znaczeniu to nie zwykła liczba mnoga, to nie „wiele warunków”.

I ze świętami podobnie. Jak mam święta, takie prawdziwe, do spędzania, to to nie jest jedno święto i drugie święto, tylko jedno święta. To znaczy albo Boże Narodzenie, albo Wielkanoc.

Boże Narodzenie może trochę bardziej. Powinienem mówić o wyższości świąt Wielkanocy nad świętami Bożego Narodzenia, ale tu nie bardzo mogę. Bo Boże Narodzenie to dwa dni właśnie i tylko dlatego święte, a jeszcze i Wigilia, też jakby święto. A Wielkanoc ma w sobie i tak

świętą niedzielę. Może dlatego, jak mówię święta, to częściej mam na myśli Boże Narodzenie.

Chyba że tak mówię przed Wielkanocą. Albo Wielkanocą. Komputer mi tę drugą formę podkreśla, że niby niepoprawna, ale słowniki różnie mówią, najczęściej się wykręcają, że można i tak, i tak, ale zdarza się, że wołają: „Odmieniać oba człony!”, a potem zaraz same nie odmieniają i piszą Wielkanocą.

Ale z drugiej strony Wielkanoc ma nie tylko Niedzielę i Poniedziałek, który zresztą jest do tego lany, lecz także przed sobą Wielką Sobotę i Wielki Piątek, i Czwartek Wielki, a nawet i Środę, też Wielką.

Tak że może Wielkanoc jest jednak wyższa także językowo.

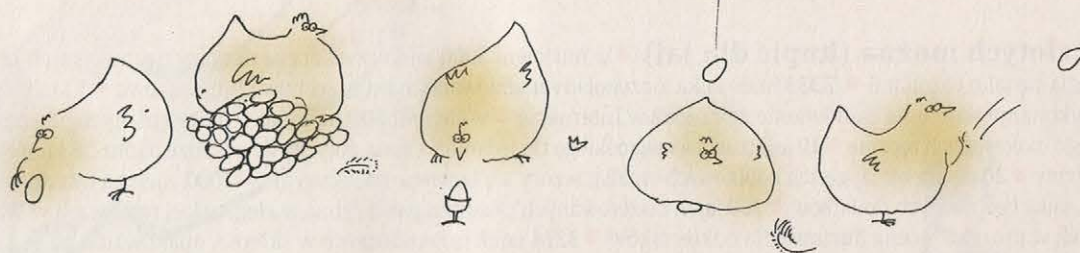
W każdym razie święta (takie święta) to nie zwykła liczba mnoga. Świeckie święta są pojedyncze: a to Święto Kobiet, a to Święto Lasu, a to Leśnika i Drzewiarza czy wręcz Pracy. A „święte” święta – mnogie. Nawet gdy jednodniowe, to jeśli nie są Świętami, to są przynajmniej Świątkami, jak Zielone. Tylko Święto Zmarłych jest i święte, i pojedyncze. Ale i tak mówię zwykle bardzo mnogo Wszystkich Świętych.

W ogóle jak mam pojedyncze święto, to, oczywiście, dobrze, ale nic znowu takiego nadzwyczajnego. Sam mogę zrobić sobie święto i na przykład nic nie robić. A świąt sobie sam nie zrobię.

Jerzy Bralczyk

Matka

kurcząt



Kura jaka jest, każdy widzi. Lecz bez kury świat byłby smutniejszy. Kura lubi ludzi, puszcza do nas oko z rosołu. Ludzie też lubią kury – choćby Ryszard Tymański tak nazwał swą grupę muzyczną. Januszowi Gajosowi w „Czterech pancernych i psie” wymykało się często: „kurza twarz!”, a selekcjoner reprezentacji piłkarskiej zwykł mówić o wyniku meczu, na przykład, „dwa do jaja”.

Są w kraju środowiska podejrzewające polityków o kurzą ślepotę. A niektórzy ludzie posiadają kurzy mózdzek. Ślepa kura też znosi jaja, ale bardzo źle je znosi – obraża się, zwłaszcza gdy trafi w żarna! Znana dobranocka dla dzieci o misiui w pierwotnej wersji miała się nazywać „Kuralgol”,

a popularna melodia z niej pochodząca to oczywiście kurza melodia.

Po dzieciach czas na dorosłych – Kury Coryntu. Mīt o kociakach wśród kobiet minął bezpowrotnie, gdy sprężyste i pełne powabu ruchy kur poczęły wykonywać kobiety lekkich obyczajów zwane kokotami, kurtyzanami lub inaczej, choć też na cześć omawianego ptaka.

Teraz geografia. Takie miejsca na ziemi jak Kurlandia, Kuryle czy Kurdistan mówią same za siebie. Wróćmy jednak na nasze zakurzone podwórko – całkiem popularne są dowcipy o kurach. Weźmy pierwszy z brzegu: Spotykają się dwie kury i jedna mówi do drugiej: „Gdzie twój stary?”.

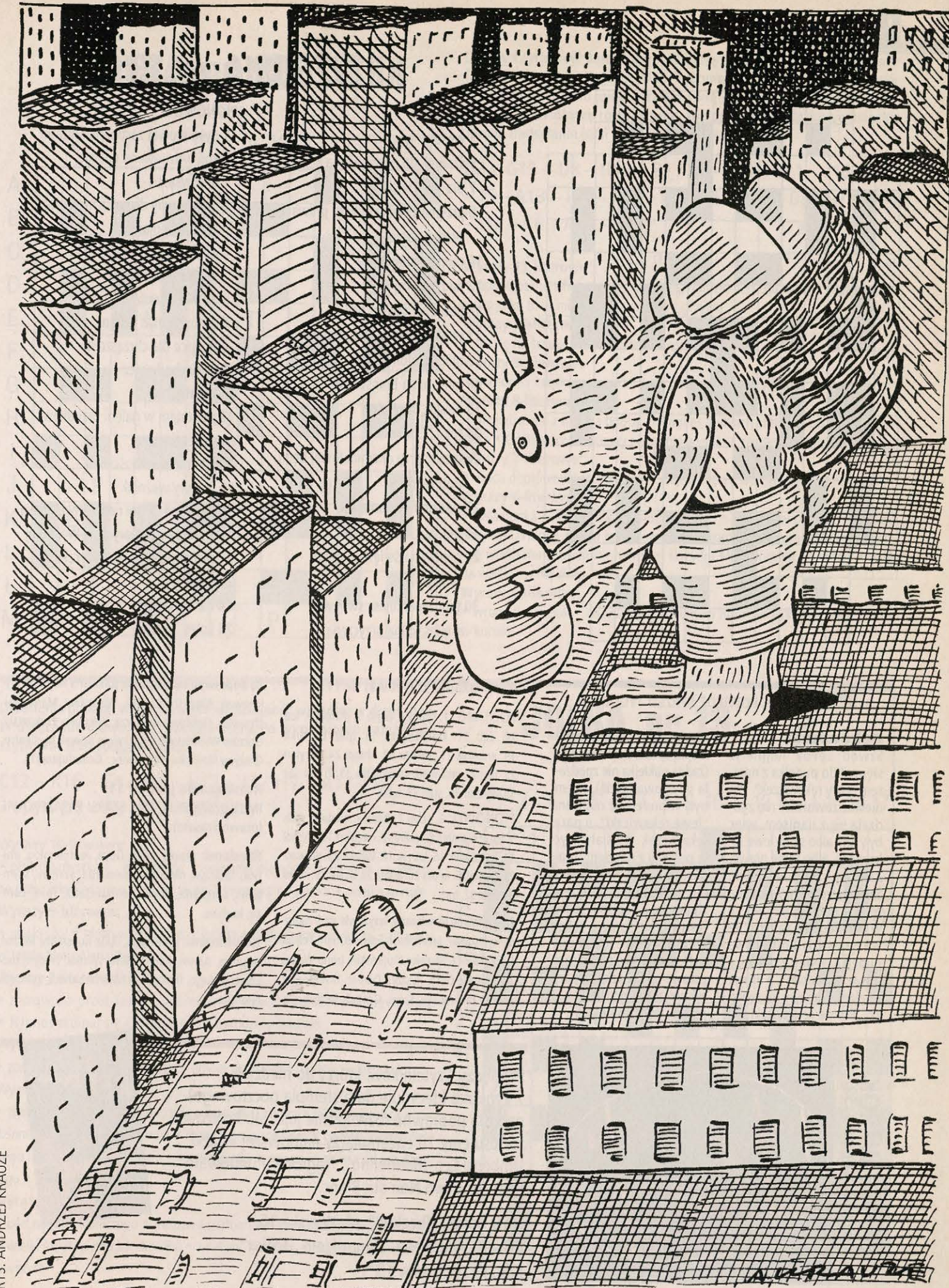
Na co druga odpowiada: „A grzebie przy samochodzie!”. Inna kura pyta jeszcze inną, czy jej mąż jest z nią poważnie, czy tylko dla jaj...

Kurki można spotkać nie tylko na wsi, lecz także obok niej – w lesie. To nie drób, tylko grzyby, jednak nie te ze stóp (kurzych). A wiecie, czemu kura z kurą się nie zejdzie i kura kurze nierówna? Bo jedna z nich to kurka siwa, a druga wodna. No, kurczę, czas nam się kurczy, zaraz nas wykurzą, ale jeszcze apel: Nie traktujmy kur wyłącznie w kategoriach kurzynarnych, bo to bardzo niekulturalne. Mam nadzieję, że teraz państwo są już z tematem o kurą.

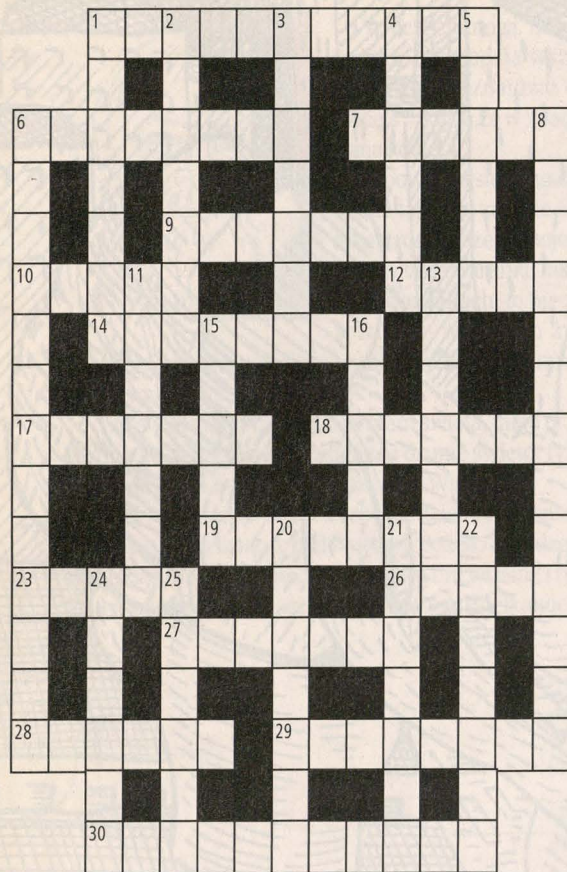
– Akurat!

Paulus Mazur

rys. ANDRZEJ KRAUZE



KRZYŻÓWKA nr 13



POZIOMO:

- 1 wesolek w pierzu
- 6 sznurek do poprawiania kondycji
- 7 dla reportera
- 9 przymusowe w obliczu prawa przeszkąwanie
- 10 ranna wstawaczka
- 12 nad Notecią
- 14 Sezamie, otwórz się!
- 17 w jednym kawałku: gramofon, magnetofon i radio
- 18 miejsce na bransoletkę
- 19 nawóz mineralny
- 23 tuk
- 26 oczyść przy akumulatorze, będą dobrze służyć
- 27 siedziba dyplomaty
- 28 pejzaż z tonem
- 29 pilnowała świętego ognia w Rzymie
- 30 tam zaparkujesz swój wóz z mieszkalną przyczepą

PIONOWO:

- 1 dysponował zasobami spiżarni
- 2 koń wdziewa na wielkie uroczystości
- 3 niefortunny do zakochania się wybór Goplany
- 4 gdyby rósł w raju, to Ewa wybrałaby jego liść w charakterze wdzianka
- 5 autor znany i uznany
- 6 miejsce dla chrząszcza
- 8 samochodowicz
- 11 notatki
- 13 portretem w galerii przodków uwieczniony
- 15 kwiat niewinności
- 16 kinowy waśniak
- 20 dzielnica Gdyni nad Zatoką Pucką z Akademią Marynarki Wojennej
- 21 małe, płaczące w wózekczu
- 22 psiolog
- 24 coś z magla
- 25 koleś

Rozwiązanie krzyżówki nr 11:

POZIOMO: 1. śpiew 4. pchła 7. ostrogi 9. Ida 10. Ząb 11. krakowianka 15. głaz 17. orka 19. empiryk 21. robota 22. chłopci 24. akrylan 25. Ikar 27. imam 30. szczeciobka 33. PIT 34. las 35. agresor 36. start 37. tęcza

PIONOWO: 1. ścieg 2. Itaka 3. woda 4. pion 5. huzar 6. ambra 8. rewiry 12. rzeźbiarz 13. alkohol 14. koczownik 16. lotrzyk 18. kalinka 20. potwarz 23. grabie 25. impas 26. astma 28. macek 29. miska 31. chat 32. tort

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 9 nagrody wylosowali: Jacek Rogowski, Poznań; Felicja Łukaszewicz, Strzelce Krajeńskie; Irena Witos, Tarnowskie Góry; Ryszard Daniec, Nowy Sącz; Milena Jankowska, Śrem. **Gratulujemy!**

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 9 nagrody wylosowali: Alicja Dziekońska, Warszawa; Maria Majchrowicz, Dąbrowa Górnicza; Zbigniew Żbikowski, Gorzów Wielkopolski; Kazimiera Kowal, Myślenice; Grażyna Nowicka, Sosnowiec. **Gratulujemy!**

Rozwiązanie jolki nr 11:

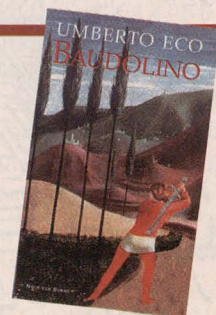
IM DŁUŻSZY REJS, TYM STARSI PASAŻEROWIE (prawo Frasera).

Rzędami: skorek, jajko, Goya, rentgenolog, obibok, Tatarzyn, niedobór, mansarda, szafirek, szympan, sprzężyna, aukcja, denuncjator, róża, łomża, kurhan.

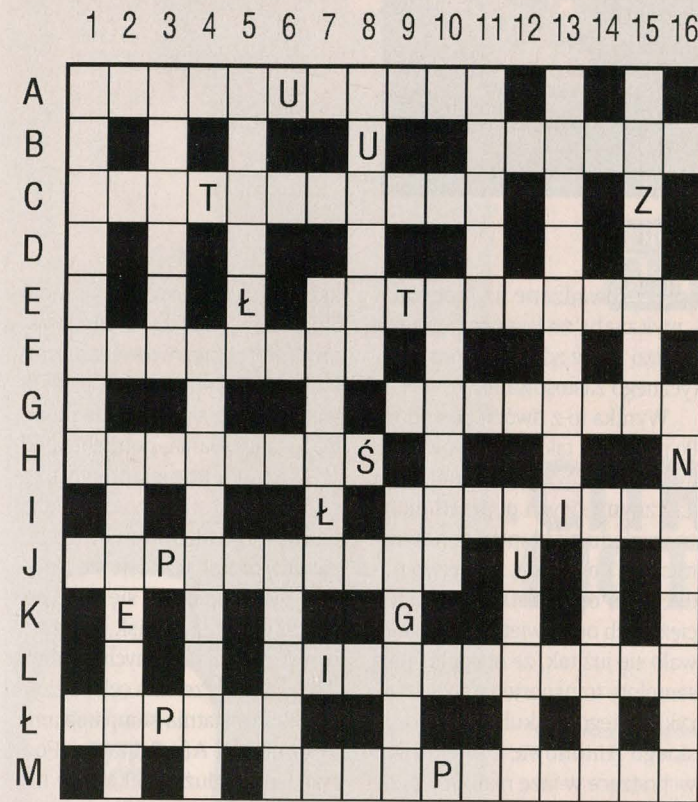
Kolumnami: transmisja, upór, Konstanty, Michał, rogatka, Adam, kontredans, spinka, Jelcyn, niezbednik, Jago, fryzjer, ogniwo, birbantka, żyto, karykatura.

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 7 kwietnia (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy najnowszej książki **Umberto Eco „Baudolino”**. Nagrody ufundowało wydawnictwo Noir sur Blanc.

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa, z dopiskiem „Jolka” lub „Krzyżówka 13”.



JOLKA nr 12



AUTOR: JERZY BUCZEK

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu należy rozszyfrować następujące hasło:

C12 – K16 – E4 – H2 – H17 – J7 / J12 – A12 – A2 – I10 – D1 – F8 – F3 – L1 – I14.

Wyrazy 10-literowe:

• pismo z myszką i... bez myszki • autorytet dla nóg • z diabłem – wietrzne przez inkwizytorów • ojciec, że hej! • krewny po beciku • wielka nurtuje

Wyrazy 9-literowe:

• piaski spoi • efektywniejsza od dziecięcia • w donicze bazyliuszka • płonące w tytule filmu Alana Parkera

Wyrazy 7-literowe:

• złuzowana przez karty • ogórek w objęciach śledzia • piła przy mapie • Hypnos skumał się z Deimosem • narodziny bóstwa

Wyrazy 6-literowe:

• zamów, zanim zamówisz zupę • zbytek do kopytek, do klusek luksusek

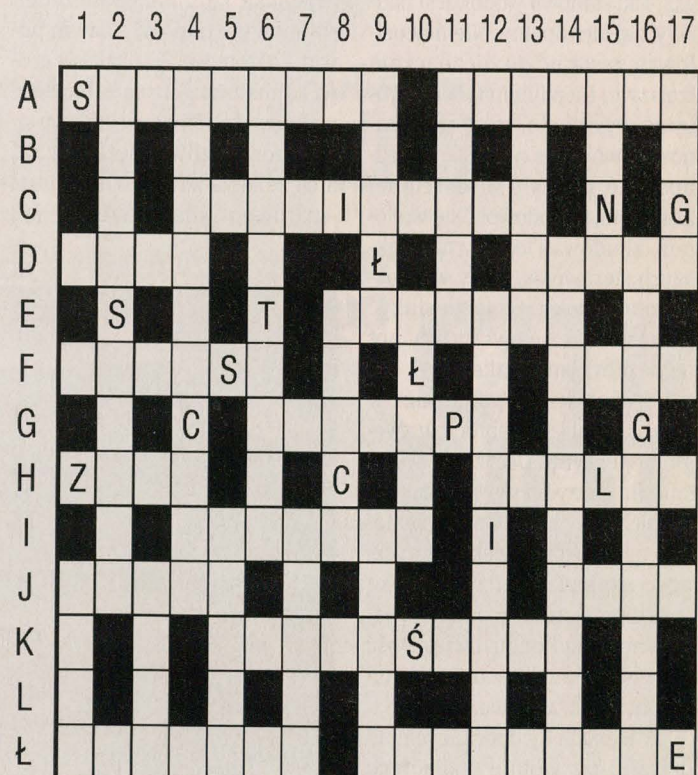
Wyrazy 5-literowe:

• złamany do niedania • nie czynią z kaktusa sprintera • lektura Hamleta • rodzinne miejsce opodal Krakowa • rodzinne miejsce opodal Lwowa • czterolistnego i brydżysta nie znajdzie • siostra pietra • muszę • czarna po arachnologu • niebieskie w lunecie

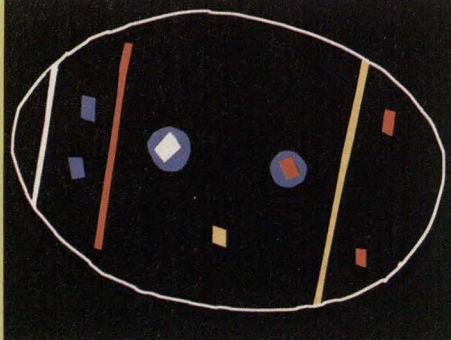
Wyrazy 4-literowe:

• pod nogami leśniczego • makowa partnerka • zmaurycyzowany Żeromski • wielki świat igły • ciek choroba • z natury – piórem • oka na taśmę • wziął faworyta

JOLKA nr 13



AUTOR: JERZY BUCZEK



PROSIMY POWTARZĄĆ



Miał dobre
nawyki,
ale złe wyniki.

odrobinka luksusu

W 10 numerze „Przekroju” znalazła się informacja, że „za 1000 złotych można powiększyć mieszkanie o 25 cm kw.”.

Wprawdzie mowa jest o apartamentowcu w centrum Warszawy, ale chyba niezwykle luksusowym, skoro za 1 metr kwadratowy trzeba zapłacić 400 tysięcy złotych. Z takim cenami nic dziwnego, że lokale w stojącej świecą pustkami.

(Nadesłał: Marek Kowalczyk z Poznania)

HUMOR ZESZYTOW SZKOLNYCH

Mam dwie siostry cioteczne i jedną ciocię siostrzaną.

Pomponik to koniuszek okrycia głowy, na przykład: chusty, cylindra lub parasola.

Żeromski napisał podręcznik dla kulturystek mieszkających na wsi.

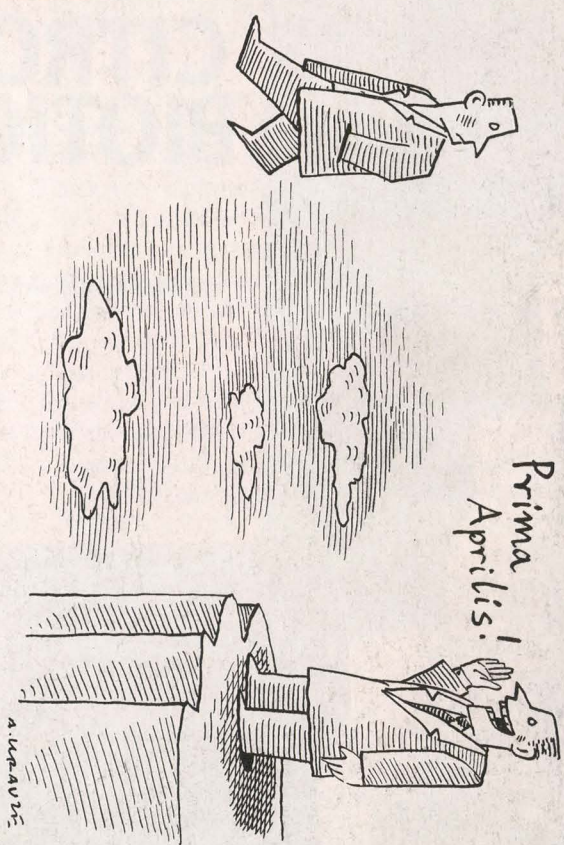
Duch w ziemi nie zostawia tropów.

Michał Anioł pięknie malował niebo z racji swego imienia.

Telimena nie przeczuwała, że wystrzeliwszy Zosię na ucztę, w ten sposób zerwała więzy miłosne z Tadeuszem. Gdy babcia zmarła, chłopiec żył w wnućka, bo była młodszą.

Trzymając się na włosku, walczyli. W balladzie „Rybka” pan ją uwiódl.

Rys. Andrzej Kranez



HE!

— Starsi ludzie, którzy twierdzą, że już wszystko więdzą o życiu, mało co z tego wszystkiego pamiętają.

KINOTEATRZYK P. JURKA

„Inni”

Występuje:
NICOLLE KIDMAN...

...i INNI

KURTNA/THE END

Dobrze poinformowany

W telewizji CNN amerykański sekretarz obrony Donald Rumsfeld powiedział o ben Ladenie:

„Albo zginął w jakiejś kryjówce, albo żyje. Jeśli żyje, to może być w Afganistanie lub gdzie indziej”.

Jak w wierszyku o pogodzie: „Jeśli na świętego Prota jest pogoda albo sióra, to po świętej Katarzynie będzie deszcz albo i nie”.

(Nadesłał P. Chiopecki)

ARTUR ANDRUS

Wierszowana sielanka, którą autor napisał po obejrzeniu wystroju miast, uświadamiając sobie, że wszystko ładnie, ale wszystko ma swoje granice

Idą, idą po łączce,
Trzymając się za rączki,
Wielkanoce Kurczaczki,
Baranki i Zajączki.

Pomachają żonkilem,
Uśmiechną się do Krówki...
Scena wypisz-wymaluj
Z wielkanocnej pocztówki.

Idą Kurczaczki, idą,
Szeregiem idą równym,
Zajączki noszą zdjęcie
Elzbiety Zającowej.

Idą Baranki, idą,
Łąka Baranków pełna,
I wszystkie takie śliczne...
No... czysta żywa wehna...

Idą Zajączki, idą,
Przystanęły nad rzeczka,
Pomogły zrobić gniazdko
Gawronkom i Szpaczekom.

Idą zwierzątką, idą,
Już są na rykowisku.
Spolizowały na Jelonka
I dały mu po pysku...

WIELKI I STARY

Napoleon Bonaparte mino swego nieszczennego wzrostu był uważany za człowieka wielkiego. Ale to nie cała prawda o nim. „Najwyższy Czas!” (nr 9) przekonuje, że był również długowieczny.

(Nadesłał Marian Rączka z Makowa Podhalaskiego)



Skoro już przy
Napoleonie jeste-
śmy, warto wspo-
mnieć o Elbie.

toskańskiej wyspie, na której cesarz Francuzów spędził lata 1814-1915. W tym okresie, aby nie sprawić Bonapartemu przykrości, obwołano Elbę księstwem i pozwolono mu na niej rządzić. Przysłał flagę białą z pasem